

E.L. Doctorow

Ragtime



Państwowy
Instytut
Wydawniczy



E. L. Doctorow

Ragtime

Przełożyła
Mira Michałowska



Państwowy Instytut Wydawniczy 1983

Autor dziękuje fundacji Johna Simona Guggenheima i organizacji Creative Artists Program Service za stypendia, które umożliwiły mu napisanie niniejszej powieści.

Rose Doctorow Buck książkę tę – z wyrazami szacunku – poświęcam

*Nie graj tej melodii szybko.
Ragtime'u szybko grać nie trzeba...*
Scott Joplin

Część I

W 1902 roku ojciec zbudował dom na Broadview Avenue w New Rochelle, w stanie Nowy Jork, na niewielkim pagórku. Trzypiętrowy, z małymi okienkami w spadzistym gontowym dachu, z wykuszami, oszkloną werandą i markizami w biało-niebieskie paski. Wprowadziliśmy się do tego solidnego domu pewnego słonecznego, czerwcowego dnia i przez wiele lat żyliśmy w przekonaniu, że wszystkie nasze dni będą zawsze ciepłe i jasne. Główne dochody ojca pochodziły z produkcji materiału na flagi, flag, najrozmaitszych dekoracji patriotycznych, a także sztucznych ogni. We wczesnych latach dwudziestego wieku na patriotyzmie można było jeszcze zarobić. Prezydentem był Teddy Roosevelt. Ludzie mieli zwyczaj zbierania się tłumnie na dworze organizując parady, koncerty publiczne, degustacje smażonych ryb, pikniki polityczne, zbiorowe wycieczki lub w halach na wiecach, koncertach, przedstawieniach wodewilowych, operach i balach. Wszystkie te imprezy przyciągały wielkie rzesze ludzkie, przenoszące się z miejsca na miejsce pociągami, parowcami, tramwajami. Taki panował wtedy styl, tak ludzie żyli. Kobiety były tęższe. Zwiedzały okręty floty wojennej, chroniąc się pod białymi parasolkami. Latem wszyscy ubierali się na białą. Rakiety tenisowe były ciężkie i miały eliptyczny kształt. Omdlenia z nadmiaru emocji seksualnych zdarzały się co chwila. Murzyni nie istnieli. Nie istnieli też imigranci. W niedzielę po południu, zaraz po obiedzie, ojciec i matka szli na górę i zamykali się w sypialni. Dziadek zasypiał w bawialni na kanapie. Chłopiec w marynarskiej bluzie siadał na werandzie i odganiał muchy. Młodszy brat matki opuszczał dom, schodził ze wzgórza, wsiadał do tramwaju i jechał do ostatniego przystanku, za którym ciągnęło się już tylko puste pole porośnięte wysoką, bagienną trawą. Był to młody samotnik z jasnym wąsem, którego uważano za człowieka mającego trudności z odnalezieniem własnego ja. Powietrze przesycone było solą. Młodszy brat matki miał na sobie białe płócienne ubranie, a na głowie słomkowy kapelusz. Podwijał nogawki spodni i boso przemierzał podmokłą łąkę. Spod jego nóg zrywały się mewy. Działo się to w tym okresie naszej historii, kiedy malował swoje obrazy Winslow Homer. Wschodnie wybrzeże słynęło jeszcze z pewnego szczególnego światła, a Winslow Homer to światło malował. Nadawało ono morzu atmosferę ciężkiej, apatycznej grozy, jego zimne promienie uwypuklały skały i mielizny wybrzeży Nowej Anglii. Zdarzały się niczym nie wytłumaczone zatonięcia statków i bohaterskie akcje ratunkowe. Dziwne rzeczy działy się w latarniach morskich i szałasach ukrytych w sitowiu dzikiej plaży. W Ameryce seks i śmierć były niemal jednoznaczne. Wiele kobiet uciekało ze swoich domów, potem umierały w konwulsjach ekstazy. Jeżeli miały zamożne rodziny, to robiły one wszystko, żeby zatuszować skandal opłacając reporterów. Czytało się o tych historiach pomiędzy wierszami dzienników i periodyków. W samym Nowym Jorku gazety rozpisywały się o szczegółach zbrodni stulecia, za jaką uznano zastrzelenie słynnego architekta Stanforda White'a przez Harry'ego K. Thaw, ekscentrycznego potomka wielkiej fortuny zbudowanej na koksie i kolejach żelaznych. Harry K. Thaw miał za żonę Ewelinę Nesbit, słynną piękność, dawną kochankę Stanforda White'a. Strzelanina zdarzyła się w ogrodzie założonym na dachu hali Madison Square Garden przy Dwudziestej Szóstej Ulicy. Był to okazały, długi na cały odcinek ulicy, budynek z żółtej cegły i terakoty w stylu sewilskim, zaprojektowany przez tegoż White'a. Właśnie odbywała się tam premiera rewii pod tytułem *Mamzelle Champagne* i podczas gdy chór śpiewał i tańczył w najlepsze, ekscentryczny potomek króla koksu, otulony mimo ciepłej nocy ciężkim czarnym płaszczem i w słomkowym kapeluszu na głowie, wyciągnął z zanadru pistolet i strzelił słynnemu architektowi trzykrotnie w głowę. Na dachu. Rozległy się krzyki. Ewelina zemdląła. Już w piętnastym roku życia była modelką kilku znanych malarzy. Uznawała wyłącznie białą bieliznę. Mąż bił ją regularnie batem. Pewnego dnia poznała przypadkowo rewolucjonistkę Emmę Goldman, która ją zwymyślała. Od niej dowiedziała się o istnieniu Murzynów, o istnieniu imigrantów. Gazety nazwały zabójstwo White'a zbrodnią stulecia, Goldman uświadomiła Ewelinie, że jest dopiero rok 1906 i że do końca stulecia pozostało dziewięćdziesiąt cztery lata.

Młodszy brat matki był zakochany w Ewelinie Nesbit. Śledził szczegóły związanego z nią skandalu i doszedł do wniosku, że śmierć kochanka, Stanforda White'a, i uwięzienie męża, Harry'ego K. Thaw, postawiło ją w sytuacji, w której przydałby jej się dystyngowany młody człowiek z mieszczańskiej rodziny, nie posiadający grosza przy duszy. Myślało niej nieustannie. Pragnął jej jak potępieniec. Powiesił w swoim pokoju na ścianie wycinek z gazety przedstawiający rysunek Charlesa Dany Gibsona zatytułowany *Odwieczne pytanie*. Rysunek ukazywał Ewelinę z profilu, z wysoko spiętrzonymi na głowie włosami, z których wymykał się kosmyk w kształcie znaku zapytania. Oczy miała spuszczone. Nosek leciutko zadarty. Usta kapryśne. Przysłonięte powiekami oczy upiększał opadający lok. Długa szyja przypominała szyję ptaka gotującego się do lotu. Ewelina Nesbit była przyczyną śmierci jednego człowieka i całkowitej ruiny drugiego i właśnie dlatego młodszy brat matki uznał, że jedyną rzeczą na świecie, o której warto marzyć, której warto chcieć, to znalezienie się w objęciach jej wątych ramion.

Popołudnie tonęło w błękitnej poświacie. Morska woda wypełniała wgłębienia pozostawione przez jego stopy w piasku. Pochylił się i podniósł doskonałą w kształcie muszlę, odmianę rzadką w zachodniej części Zatoki Long Island. Miała formę naparstka, była różowozłota, i stojąc tak w promieniach lekko przymglonego

słońca, z nogami w słonej, płytkiej wodzie, odrzucił głowę w tył, przyłożył muszlę do ust i jednym haustem opróżnił ją. Nad jego głową, wydając z siebie płaczący krzyk, szybowały mewy, z daleka dochodziło przytłumione wysoką trawą ostrzegawcze dzwonienie tramwaju sunącego po North Avenue.

Po drugiej stronie miasta chłopczyk w marynarskim ubraniu poczuł nagły niepokój, wstał więc i krokami przemierzał długość werandy. Potem stanął i zaczął bujać nogą wyplatany fotel na biegunach. Miał już pewien zasób wiadomości i posiadał mądrość, której dorośli nie spodziewają się po takich dzieciach i w rezultacie nie zdają sobie z niej sprawy. Codziennie czytał gazetę i teraz z zainteresowaniem śledził dyskusję prowadzoną przez zawodowych baseballistów z pewnym naukowcem, który twierdził, że krzywizna piłki jest optycznym złudzeniem. Czuł, że układy rodzinne, w jakich żyje, stoją na przeszkodzie jego dążeniom do poznania świata i podróżowania. Ostatnio, na przykład, interesował się żywo pracą i karierą iluzjonisty Harry'ego Houdiniego. Jednakże nie chciano go zabrać na występ tego słynnego artysty. Houdini był główną atrakcją ówczesnych wodewilów. Jego widownia składała się z ludzi biednych – tragarzy, domokrażców, a także policjantów i dzieci. Prowadził nedorzeczny tryb życia. Jeżdżąc po całym świecie kazał się wiązać i więzić na wszelkie skomplikowane sposoby i zawsze się wyzwalał. Przywiązywano go do krzesła. Uwalniał się. Zakuwano go w kajdanki, nogi brano mu w dyby, zakładano kaftan bezpieczeństwa i zamykano w szafie. Uwalniał się. Uwalniał się ze skarbców bankowych, z zabitych gwoździami beczek, z zaszytych worków pocztowych. Uwolnił się z wybitej blachą cynkową skrzyni fortepianu marki Knabe, z olbrzymiej piłki futbolowej, z żeliwnego kotła, z biurka z zamknięciem żaluzjowym, z gigantycznej skóry od kiełbasy. Jego wyczyny były tym bardziej tajemnicze, że nigdy nie uszkadzał pojemników, z których się wyzwalał, i nie pokazywał, jak je otwiera. Odsłaniano kurtynę i oto stał rozchełstany, ale triumfalnie uśmiechnięty obok na pozór nie tkniętego pojemnika, w którym przed chwilą był uwięziony. Pozdrowiał widzów machając rękami. Wydostał się z wypełnionej wodą bańki na mleko. Uciekł z kibitki, takiej, jakie wiozły więźniów na Sybir. Uwolnił się z chińskiego krzyża tortur. Z hamburskiego więzienia. Z angielskiego statku-więzienia. Z więzienia w Bostonie. Przykuwano go łańcuchami do opon samochodowych, do kół wodnych, do armat, a on się wyzwalał. Z zakutymi w kajdanki rękami skakał z mostu do Mississipi, do Sekwany, do Mersey, aby po chwili wyłonić się na powierzchnię i pozdrawiać tłumy. Wieszano go głową w dół – i owiniętego kaftanem bezpieczeństwa – na dźwigach, dwupłatówcach i dachach budynków. Ubrano go w odpowiednio obciążony strój nurka, odcięto dopływ powietrza i spuszczone do oceanu. Wyplynał. Raz zakopano go żywcem w grobie, ale ta próba nie udała się. Uratowano go w ostatniej chwili.

Ziemia jest zbyt ciężka, powiedział dysząc. Krew sączyła się spod jego paznokci, piasek osypywał się z oczu. Był blady jak śmierć, nie mógł stać. Jego asystent dostał torsji. Houdini dyszał, kaszłał i pluł krwią. Oczyszczono go i odwieziono do hotelu. Dzisiaj, blisko pięćdziesiąt lat po jego śmierci, ludnie jeszcze tłumniej przychodzą na tego rodzaju widowiska.

Chłopiec stał w rogu werandy i wodził oczami za wielką muchą, która przesuwała się po siatce w taki sposób, iż mogłoby się zdawać, że wspina się w górę od strony North Avenue. Mucha odleciała. A od North Avenue nadjeżdżał samochód. Kiedy się zbliżył, chłopiec zauważył, że jest to czarny, czterdziestopięciokonny Pope-Toledo. Chłopiec przebiegł na drugą stronę werandy i stanął na najwyższym stopniu schodów. Samochód minął dom, głośno zazgrzytał i zatoczył się wprost na słup telefoniczny. Chłopiec wrócił pędem do domu i zaczął wzywać rodziców, którzy wciąż byli na górze. Dziadek przebudził się gwałtownie. Chłopiec biegiem powrócił na werandę. Szofer i pasażer wyszli z samochodu, stali na ulicy i spoglądali na pojazd, który miał duże koła z drewnianymi szprychami pomalowanymi czarnym lakierem, pneumatyczne opony, duże mosiężne latarnie na przedzie, mniejsze, także mosiężne, na zderzakach, dwie pary drzwi i wybite pikowanym aksamitem fotele. Nie był chyba uszkodzony. Szofer w liberii otworzył składaną maskę i gejzer białej pary wzniósł się z sykiem w powietrze.

W pobliskich domach kilka osób przyglądało się tej scenie ze swoich ogródków. Ojciec, poprawiając łańcuszek od zegarka, wyszedł na ulicę, żeby się zorientować, czy potrzebna jest pomoc. Właścicielem samochodu okazał się słynny iluzjonista Harry Houdini. Spędzał dzień na przejażdżce po okręgu Westchester, gdzie miał ochotę kupić kawałek ziemi. Ojciec zaprosił go do domu, żeby zaczekał, aż woda w chłodnicy ostygnie. Houdini zaskoczył nas swoim bezpretensjonalnym, rzec można, bezbarwnym sposobem bycia. Robił wrażenie człowieka przygnębionego. Jego sukces skłonił wielu artystów wodewilowych do naśladownictwa. Musiał wymyślać coraz to niebezpieczniejsze ucieczki. Był niski, mocnej budowy – prawdziwy atleta – o silnych dłoniach, pod materiałem wymiętego tweedowego garnituru rysowały się wydatne mięśnie ramion i barków. Ubranie miał wprawdzie dobrze skrojone, ale niezbyt odpowiednie na tak upalny dzień. Termometr wskazywał ponad trzydzieści stopni ciepła. Włosy Houdiniego były sztywne, niesforne, oczy jasnoniebieskie i stale rozbiegane. Do mojej matki i ojca odnosił się z szacunkiem, a o swoich wyczynach mówił bez zarozumiałości. To spodobało się moim rodzicom. Chłopiec przyglądał mu się bacznie. Matka kazała podać lemoniadę. Przyniesiono ją do salonu i Houdini wypił ją z wdzięcznością. Dzięki markizom nad oknami w bawialni było chłodno. Okna trzymano zamknięte, żeby nie wpuszczać do środka nagrzanego powietrza.

Houdini miał ochotę rozpiąć kołnierzyk koszuli. Czuł się osaczony przez nasze wielkie, ciężkie meble; ciemne dywany i draperie, atlasowe poduszki ze Wschodu, abażury z zielonego szkła. Na szezlongu leżała skóra zebry. Kiedy wzrok Houdiniego spoczął na niej, ojciec powiedział mu, że osobiście zastrzelił zebkę podczas afrykańskiego safari. Ojciec był dość nawet znanym amatorem-podróżnikiem. Przez wiele lat pełnił funkcję prezesa nowojorskiego Klubu Podróżników i co roku wpłacał im pewną sumę pieniędzy. Za kilka dni miał wyruszyć z porożcem klubu na Biegun Północny jako członek trzeciej arktycznej ekspedycji Peary'ego. Czy to znaczy, że wybiera się pan z Pearym na podbój bieguna? – zapytał Houdini. Z boską pomocą, odparł ojciec. Odchylił się w fotelu i zapalił cygaro. Houdini rozgadywał się. Chodził tam i z powrotem po pokoju. Opowiadał o swoich własnych podróżach, o tournée po Europie. Ale biegun! To dopiero jest coś! Pan musi być w świetnej kondycji, jeżeli pana wybrali. Zwrócił niebieskie oczy na matkę. Pilnowanie ogniska domowego pod nieobecność męża też nie jest łatwe, zauważył. Nie był pozbawiony wdzięku. Uśmiechnął się, a matka – dorodna, jasnowłosa kobieta – spuściła oczy. Następnie Houdini, żeby zrobić przyjemność chłopcu, wykonał kilka sztuczek używając do tego drobnych przedmiotów, które akurat były pod ręką. Kiedy odchodził, cała rodzina odprowadziła go do drzwi. Ojciec i dziadek pożegnali się z nim uściskiem dłoni. Houdini przeszedł pod wielkim klonem, po czym zszedł ze stopni na ulicę. Szofer czekał na niego, samochód był zaparkowany, jak należy. Houdini usiadł z przodu obok kierowcy i pomachał nam ręką na pożegnanie. Ludzie przyglądali mu się stojąc w swoich ogródkach. Chłopiec pobiegł za nim na ulicę i teraz stał przed Pope-Toledo i wpatrywał się w odkształcony obraz swojej głowy w błyszczącym mosiężnym obramowaniu przedniego ref lektora. Ładny chłopczyk, pomyślał Houdini, jasnowłosa jak jego matka, ale może trochę zbyt delikatny. Wysunął głowę z bocznego okna. Do widzenia, synu, powiedział i wyciągnął dłoń. Niech pan ostrzeże arcyksięcia, powiedział chłopiec. I puścił się biegiem.

Tak się złożyło, że nie zapowiedziana wizyta Houdiniego przerwała moim rodzicom miłosne igraszki. Matka nie dała ojcu znaku, że mógłby je podjąć na nowo. Uciekła do ogrodu. W miarę upływu dni i zbliżania się chwili odjazdu ojciec coraz częściej wpatrywał się w jej twarz w nadziei, że pozwoli mu przyjść do sypialni. Wiedział, że każda inicjatywa z jego strony jest niebezpieczna. Był krzepkim mężczyzną o dużym apetycie seksualnym, ale rozumiał niechęć żony do przybierania mało eleganckich póz dla zaspokajania jego potrzeb. Tymczasem cały dom zajęty był przygotowaniami do wyjazdu ojca. Trzeba było zapakować ekwipunek, znaleźć zastępcę na czas jego nieobecności w pracy i zająć się tysiącem innych spraw. Matka dotykała wierzchem dłoni czoła, odsuwając niesforny kosmyk włosów. Wszyscy członkowie rodziny zdawali sobie sprawę, że ojciec naraża się na szczególne niebezpieczeństwa. Jednakże nikt nie próbował z tego powodu nakłonić go do pozostania w domu. Małżeństwo moich rodziców zdawało się kwitnąć z powodu częstych wyjazdów ojca. Podczas pożegnalnej kolacji matka niechętnie, mankietem bluzki, straciła łyżkę ze stołu i zarumieniła się gwałtownie. Kiedy wszyscy domownicy spali, ojciec wszedł do ciemnej sypialni matki. Był poważny i delikatny, jak wymagała okazja. Matka zamknęła oczy i zasłoniła uszy rękami. Krople potu spadały z podbródka ojca na jej piersi. I nagle doznała olśnienia. Pomyślała, że są to zapewne najlepsze ich lata. Że przed nimi jest tylko ciąg wielkich zmartwień.

Nazajutrz rano wszyscy odprowadzili ojca, na dworzec w New Rochelle. Czekali tam już niektórzy urzędnicy ojca, jego zastępca wygłosił krótkie przemówienie. Rozległy się słabe oklaski. Nadjechał pociąg nowojorski, pięć ciemnozielonych, błyszczących wagonów z lokomotywą typu Baldwin 4-4-0, sunącą na kołach ze szprychami. Chłopiec przyglądał się z zainteresowaniem kolejarzowi, który oliwił mosiężne tłoki. Poczul czyjąś dłoń na ramieniu, odwrócił się i spojrzał wprost w uśmiechniętą twarz ojca, który uściśnił mu rękę. Dziadka trzeba było powstrzymać od dźwigania walizek. Ojciec i młodszy brat matki wnieśli je z pomocą tragarza do przedziału. Ojciec podał dłoń młodszemu bratu matki. Przed kilkoma dniami awansował go na wyższe stanowisko w firmie i dał mu podwyżkę. Pilnuj mi tu wszystkiego, napomniał go. Młody człowiek skinął głową na znak zgody. Matka uśmiechała się promiennie. Objęła męża czule ramieniem, a on pocałował ją w policzek. Stojąc na tylnej platformie ostatniego wagonu ojciec zdjął z głowy słomkowy kapelusz i machał nim na pożegnanie, aż pociąg zniknął za zakrętem.

Nazajutrz rano, po konferencji prasowej połączonej ze śniadaniem zakrapianym szampanem, członkowie ekspedycji polarnej Peary'ego odbili od brzegu East River niewielkim, ale solidnie zbudowanym statkiem o nazwie „Roosevelt”. Eskortowały go kutry straży pożarnej puszczając wysoko w powietrze fontanny wody, które mieniły się wszystkimi kolorami tęczy w promieniach wschodzącego nad miastem porannego słońca. Statki pasażerskie zegnały ich basowym trąbieniem. W kilka dni później, kiedy „Roosevelt” znajdował się na pełnym morzu, ojciec także doznał pewnego rodzaju olśnienia. Stał przy burcie i nagle poczuł w kościach potężny rytm oceanu. Nieco później „Roosevelta” mijał statek wypełniony po brzegi imigrantami z Europy. Ojciec przyglądał się przecinającemu fale oceanu błyszczącemu, szerokiemu kadłubowi statku. Na pokładach kłębił się tłum ludzi. Kilka tysięcy męskich głów w miękkich kapeluszach. Kilka tysięcy głów kobiecych nakrytych chustkami. Statek nędzarzy, z którego patrzyło na ojca tysiące ciemnych oczu. Ojciec, człowiek z natury spokojny, był wstrząśnięty do głębi. Ogarnęła go dziwna rozpacz. Podniósł się wiatr, niebo pokryły chmury. Wielki ocean zaczął się piętrzyć i rozwalać, jak gdyby składał się z gigantycznych granitowych brył i milionów zsuwających się łupkowych tarasów. Ojciec wodził wzrokiem za statkiem; aż stracił go z oczu. A przecież na jego pokładzie znajdowali się po prostu nowi klienci, albowiem wszyscy imigranci przykładali wielką wagę do amerykańskiej flagi.

Większość imigrantów przyjeżdżała z Włoch i Europy Wschodniej. Przewożono ich szalupami na Ellis Island. Tam, w dziwnej, bogato zdobionej przechowalni ludzi, w gmachu z czerwonej cegły i szarego kamienia, przywiązywano im kartki z nazwiskiem, kazano wziąć prysznic i sadzano na ławach w poczekalniach. Natychmiast odczuwali władzę urzędników imigracyjnych. Zmieniali przybyszom nazwiska, jeżeli nie potrafili ich wymówić, i rozdzielali rodziny każąc wracać do swego kraju ludziom starym, chorym na oczy lub takim, którzy wyglądali na hołotę albo wicherzycieli. Była to istotnie oszałamiająca władza. Imigrantom przypominała stosunki w ich własnych krajach. Wreszcie wychodzili na ulice i jakoś wchłaniały ich slumsy. Nowojorczycy gardzili nimi, bo byli brudni, nie umieli ani pisać, ani czytać. Cuchnęli rybą i czosnkiem. Mieli ropiejące wrzody. Nie znali pojęcia honoru i pracowali za byle jaką zapłatę. Kradli. Pili. Gwałcili własne córki. Mordowali się nawzajem z najbliższych powodów. Najbardziej nienawidzili ich Irlandczycy, Amerykanie w drugim zaledwie pokoleniu, których ojcowie mieli na sumieniu takie same grzechy. Irlandzkie wyrostki ciągnęły starych Żydów za brody i powalały na ziemię. Przewracały też stragany włoskich przekupniów.

Przez okrągły rok ulicami miasta przejeżdżały wozy i zbierały ciała bezdomnych. Późną nocą w kostnicach zjawiały się stare kobiety w chustkach na głowach w poszukiwaniu zwłok mężów czy synów. Zwłoki leżały na metalowych stołach. Na każdym stole był prysznic, a dokoła jego brzegu rynna, do której spływała woda spryskująca zwłoki. Woda ta ciekła po zwróconych ku górze twarzach zmarłych, jak strumienie nie dających się powstrzymać łez.

Ale po pewnym czasie zaczynało się przebąkiwać o lekcjach gry na fortepianie. Ludzie urządzali się jakoś. Otrzymywali pracę przy tłuczeniu kamieni brukowych. Śpiewali. Opowiadali kawały. Rodzina mieszkała w jednym pokoju i wszyscy pracowali: mama, tata i dziewczynka w fartuszkach na szelkach. Mama i dziewczynka szyły pumpy, za co płacono siedemdziesiąt centów od tuzina. Pracowały od świtu do nocy. Tata handlował po ulicach. Powoli poznawali miasto. Pewnej niedzieli ogarnięci szaleńczą rozrzutnością zapłacili dwanaście centów za przejazd tramwajem do górnej części miasta. Przespacerowali się po Madison Avenue i po Piątej Alei przyglądając się rezydencjom. Właściciele nazywali je pałacami. I rzeczywiście były to pałace. Wszystkie zaprojektował Stanford White. Tata był socjalistą. Patrzył na te pałace i czuł gniew w sercu. Szli szybkim krokiem. Policjanci w wysokich hełmach patrzyli na nich. W tej części miasta, na szerokich pustych chodnikach, policja niechętnie widziała imigrantów. Tata wytłumaczył mamie i dziewczynce, że to dlatego, iż przed kilkoma laty w Pittsburghu pewien imigrant zastrzelił magnata stalowego Henry'ego Fricka.

Rodzina przeżyła szok, kiedy nadszedł list wzywający dziewczynkę na naukę do szkoły. Oznaczało to, że nie będą mogli związać końca z końcem. Ale mama i tata nic na to nie mogli poradzić i zaprowadzili dziecko do szkoły. Tam zapisano ją do klasy, do której chodziła co dzień. Tata nadal przemierzał ulice. Nie wiedział, co robić! Był handlarzem, ale nie umiał zdobywać dla swojego wózka dobrego miejsca przy chodniku. Mama siedziała przy oknie za stertą skrojonych części i wprowadzała w ruch nożną maszynę do szycia. Była drobną, ciemnoką kobietą o falujących kasztanowych włosach, które dzieliła na środku głowy i zbierała w kok na karku. Kiedy tak siedziała sama, nuciła miłym cieniem głosem. Piosenki bez słów. Pewnego popołudnia poszła na poddasze domu przy Stanton Street, żeby odnieść gotową robotę. Właściciel firmy zaprosił ją do kantorka. Obejrzał starannie spodnie i powiedział, że jest z niej zadowolony. Wyplacił pieniądze i do należnej sumy dołożył dolara. Wytłumaczył, że robi to wszystko z powodu jej urody. Uśmiechnął się. Dotknął jej piersi. Mama uciekła zabierając dodatkowego dolara. Następnym razem powtórzyło się to samo. Tacie powiedziała, że dostała więcej szycia. Z czasem przyzwyczaiła się do natrętnych rąk pracodawcy. Pewnego dnia, ponieważ zalegali od dwóch tygodni z czynszem, oddała się właścicielowi firmy na stole do krojenia spodni. Na zakończenie złożył pocałunek na jej słonym od łez policzku.

W tym samym czasie Jacob Riis, niestrudzony reformator i dziennikarz, zaczął pisać o konieczności budowania mieszkań dla biedoty. Pisał, że ludzie ci gnieźdzą się całymi rodzinami w pojedynczych pokojach. Bez urządzeń sanitarnych. Że ich ulice śmierdzą ekskrementami. Że dzieci umierają od zwykłego kataru czy wysypki. Że nie umierają w łózkach, ale na dwóch zsuniętych krzesłach kuchennych. Że umierają na podłodze. Wielu obywateli wierzyło, że imigranci to przestępcy i degeneraci i dlatego zasługują na nędzę, brud i choroby. Ale Riis wierzył w przewody wentylacyjne. Wierzył, że wentylacja, światło i czysta woda przywrócą tym nędzarzom zdrowie. Chodził więc po slumsach, wspinał się po ciemnych schodach, pukał do drzwi i za pomocą fleszu robił zdjęcia wewnątrz, w jakich wegetowali. Wysoko unosił kolbę fleszu, wsuwał głowę pod czarną płachtę, wywoływał błysk. Po jego odejściu zniechęcony z wrażenia rodzina pozostawała przez dłuższy czas w pozycji, w jakiej została sfotografowana. W slumsach czekano na zmianę. W slumsach czekano na cud. Riis sporządzał kolorowe mapy etniczne Manhattanu. Te części miasta, w których mieszkali Żydzi, oznaczał kolorem szarym, bo twierdził, że to ich ulubiony kolor, dzielnice smagłych Włochów czerwonym, zapobiegliwych Niemców niebieskim, mieszkańców Afryki czarnym, Irlandczyków zielonym, czyściutkich jak

koty i jak koty okrutnych, przebiegłych i niebezpiecznych w gniewie Chińczyków — żółtym. Dodajcie tu i ówdzie barwne plamy dla Finów, Arabów, Greków i tak dalej, wołał Riis, a otrzymacie jedyną w swoim rodzaju pstrą łataninę złożoną ze strzępów ludzkiej niedoli.

Pewnego dnia Riis postanowił zrobić wywiad z wybitnym architektem Stanfordem White'em. Chciał go zapytać, czy kiedykolwiek projektował osiedla mieszkaniowe dla biedoty. Chciał go zapytać o jego poglądy na takie budownictwo, na temat wentylacji i światła. Znalazł go w dokach, gdzie White odbierał transport elementów architektonicznych i dzieł sztuki. Riis patrzył z podziwem na obiekty, jakie wyładowywano ze statku. Były tam całe fasady florenckich pałaców i ateńskich atriów rozłożone na części i poznakowane, obrazy, rzeźby, gobeliny, rzeźbione i malowane plafony umieszczone w płaskich skrzyniach, kafle, płyty kamienne, marmurowe fontanny, marmurowe schody i balustrady, klepki dębowe do układania parkietów, jedwabne tapety; armaty, chorągwie, zbroje, kusze i najrozmaitsza stara broń; łóżka, szafy, fotele, refektarzowe stoły, kredensy, klawesyny; beczki pełne szkła, fajansu i porcelany, srebrnych i złotych naczyń; skrzynie pełne kościelnych ornamentów, cennych książek i tabakierok. White, krzepki, szorstki mężczyzna z krótko przyszyżonymi, lekko siwiejącymi rudymi włosami, krzątał się pomiędzy tragarzami waląc ich po plecach dobrze zwiniętym parasolem. Ostrożnie, durnie! – wrzeszczał. Riis chciał mu postawić kilka pytań. W sprawie budownictwa mieszkaniowego dla biedoty. Ale teraz zobaczył, że zaczęła się parcelacja Europy, rabowanie starych krajów, i że w Ameryce rodzi się nowa estetyka oparta na europejskiej architekturze i sztuce. Sam był Duńczykiem.

Tegoż wieczoru White poszedł na premierę *Mamzelle Champagne* do ogrodu na dachu hali Madison Square. Był początek czerwca i pod koniec poprzedniego miesiąca straszliwa fala upałów zaczęła zabijać dzieci w slumsach. Rudery rozpały się jak piece hutnicze, ich mieszkańcy byli pozbawieni wody. Zlewy umieszczone pod schodami były nieczynne. Ojcowie pędzili po ulicach w poszukiwaniu lodu. Tammany Hall¹ zostało wprawdzie zniszczone przez reformatorów, ale spekulanci wciąż mieli monopol na dostawę lodu i sprzedawali małe kostki na wagę złota. Wykładano poduszki na chodniki. Ludzie spędzali noce na werandach i w sieniach. Konie padały i zdychały na ulicach. Wozy wydziału sanitarnego miały je wprawdzie natychmiast zabierać, ale często spóźniały się i brzuchy zdechłych koni eksplodowały od gorąca. W końskich wnętrznościach roiło się od szczurów. Z zaułków poprzecinanych zawieszoną na sznurach brudnoszarą bielizną szedł zapach smażonych ryb.

¹ Tammany Hall – stowarzyszenie powstałe w końcu osiemnastego wieku w Nowym Jorku, założone w celach towarzyskich i charytatywnych, przemieniło się z czasem w organizację polityczną, zjednoczyło z Partią Demokratyczną i potrafiło doprowadzić we wszystkich niemal wyborach na burmistrza do zwycięstwa swojego kandydata. W ten sposób objęło kontrolę nad zarządzaniem i całym życiem metropolii. W roku 1971 jego przywódcy stanęli przed sądem za machinacje finansowe i polityczne. Przez długi czas nazwa Tammany Hall była symbolem korupcji politycznej. Mimo to stowarzyszenie przez długie lata miało jeszcze olbrzymi wpływ na losy miasta. Ostatnio znaczenie jego zmalało (przytłum.).

Mimo zabójczych upałów politycy ubiegający się o ponowny wybór zapraszali swoich zwolenników na wycieczki za miasto. Pod koniec lipca jeden z nich zorganizował paradę przez ulice Czwartego Okręgu. Wsunął sobie gardenię do butonierki.

Orkiestra grała marsza Sousy. Zwolennicy kandydata sunęli za orkiestrą, która zaprowadziła ich na brzeg rzeki. Tam wszyscy wsiedli na pokład parowca „Grand Republic” i popłynęli przez Zatokę Long Island do miasteczka Rye położonego tuż za New Rochelle. Parowiec, na którym tłoczyło się pięć tysięcy ludzi, był przeładowany i wkrótce zaczął się silnie przechylać w prawo. Słońce przypiekało niemiłosiernie. Stłoczeni na pokładzie pasażerowie przechylali się przez burty, żeby nabrać choćby odrobiny świeżego powietrza w płuca. Powierzchnia wody była gładka jak szkło. W Rye wszyscy wysiedli i pomaszrowali do „Pawilonu”, gdzie ustawiono długie stoły. Mały zastęp ubranych na biało kelnerów podał tradycyjną zupę rybną. Po posiłku zaczęły się przemówienia z muszli orkiestrowej przybranej wstęgami w patriotycznych barwach. Dostarczyła je firma ojca. W całym parku rozmieszczono transparenty z nazwiskiem kandydata wypisanym złotymi zgłoskami, rozdawano proporczyki w barwach narodowych zamocowane na pozłacanych kijkach. Zwolennicy kandydata spędzili resztę popołudnia popijając piwo rozlewane z wielkich beczek, grając w baseball i zabawiając się rzucaniem podków. Na łąkach, w wysokiej trawie, mężczyźni ucinali sobie drzemki zasłoniwszy twarze kapelusami. Pod wieczór podano kolację, orkiestra wojskowa urządziła koncert, po czym nastąpił kulminacyjny punkt wycieczki – fajerwerki. Młodszy brat matki przyjechał, żeby osobiście dopilnować tej sprawy. Bardzo lubił projektować fajerwerki. Była to jedyna praca, która go naprawdę interesowała. Rakiety wystrzelały w duszne, naelektryzowane wieczorne powietrze. Niebo nad zatoką rozdzierały błyskawice. Wielka kula ognia przetaczała się nad powierzchnią wody. Na nocnym niebie wyrosła gigantyczna twarz kobiety z profilu, niczym nowa konstelacja. Deszcz białych, czerwonych i błękitnych iskier spływał na ziemię, niczym deszcz gwiazd, ogniste kule wybuchały jak bomby, oświetlając stary parowiec przycumowany do mola. Wszyscy klaskali w dłonie i wznosili okrzyki. Kiedy fajerwerki się skończyły, zapalono pochodnie, żeby wytyczyć drogę na przystań. Teraz stary parowiec przechylał się w lewą stronę. Wśród pasażerów znajdował się młodszy brat matki, który lekkim susem wskoczył na pokład w ostatniej chwili. Przeszedł pomiędzy leżącymi pokotem, uśpionymi ludźmi. Stał na dziobie i głęboko oddychał. Lekka bryza unosiła się nad czarną wodą. Wpatrywał się płonącymi oczami w noc i myślał o Ewelinie.

W tym czasie Ewelina uczyła się całymi dniami na pamięć zeznań, jakie miała złożyć na zbliżającej się rozprawie męża oskarżonego o zamordowanie Stanforda White’a. Musiała nie tylko widywać się codziennie z Thawem w miejskim więzieniu, zwanym Tombs, gdzie go trzymano, ale również z obrońcami, których było kilku, z jego matką, dostojną matroną z Pittsburga, która nią gardziła, i ze swoją własną matką, której najśmielsze marzenia o majątku córka zrealizowała z nawiązką. Dziennikarze śledzili każdy ruch Eweliny, więc przeniosła się do małego pensjonatu, gdzie próbowała żyć możliwie najspokojniej. Starła się nie myśleć o tym, jak wyglądała zmasakrowana twarz Stanforda White’a. Jadała wszystkie posiłki w pokoju. Uczyła się godzinami tekstu zeznań. Kładła się spać wcześniej w nadziei, że sen poprawi jej cerę. Nudziła się. Zamawiała sobie suknie u krawcowej. Głównym argumentem obrony miało być twierdzenie, że Harry K. Thaw doznał chwilowego pomieszenia zmysłów, kiedy żona zwierzyła mu się, iż mając lat piętnaście została zgwałcona. Była wówczas modelką malarza i początkującą aktorką. Stanford White zaprosił ją do swojego apartamentu w wieży Madison Square Garden i poczęstował szampanem. W szampanie był środek nasenny. Kiedy zbudziła się nazajutrz rano, uda jej pokryte były, niczym lukrem, dowodem jurności Stanforda White’a.

Wiedziała, że niełatwo będzie przekonać sąd o tym, iż Harry K. Thaw oszalał dopiero wtedy, kiedy opowiedziała mu to zdarzenie. Był człowiekiem gwałtownym, który przez całe życie wywoływał awantury w restauracjach. Wjeżdżał samochodem na chodniki. Miał skłonności samobójcze i kiedyś połknął zawartość całej buteleczki laudanum. W srebrnym pudełku przechowywał strzykawki. Wstrzykiwał sobie różne leki. Często zaciskał nagle pięści i bił się w skronie. Był porywczy, zachłanny i nieprzytomnie zazdrosny. Tuż przed ślubem zażądał, żeby Ewelina podpisała oświadczenie oskarżające Stanforda White’a o pobicie. Odmówiła i powiedziała o tym White’owi. Harry wywiózł ją do Europy, żeby ją mieć wyłącznie dla siebie i nie bać się, że White dobierze się do niej, kiedy on z nią skończy. Matka Eweliny towarzyszyła im jako przyzwoitka. Wsiedli na statek o nazwie „Kronprinzessin Cecile”. W Southampton Thaw przekupił matkę i ruszył z Eweliną na kontynent. Po kilku dniach zajechali do wynajętego przez Harry’ego, starego zamku austriackiego, Schloss Katzenstein. Pierwszej nocy Thaw zerwał z Eweliny szlafrok, rzucił ją na łóżko i wychłostał batem po udach i pośladkach. Echo jej wrzasków huczało po pustych korytarzach i krużgankach. Niemiecka służba w podziemiu nastawiała uszu. Podnieceni lokaje i pokojówki wypili kilka butelek Goldwassera i zaczęli ze sobą kopulować. Na ciele Eweliny wykwitły wielkie, czerwone pręgi. Szlochała i jęczała przez całą noc. Nad ranem Harry powrócił do jej pokoju, tym razem z paskiem do ostrzenia brzytwy. Przeleżała kilka tygodni w łóżku. W czasie

rekonwalescencji przynosił jej trójwymiarowe przezrocza z widokami Schwarzwaldu i Alp Austriackich. Kiedy się kochali, był czuły i delikatny i uważał, żeby nie dotykać zbolących miejsc. Mimo to Ewelina uznała, że złamał ich niepisaną umowę. Zażądała, żeby odesłał ją do domu. Jej matka dawno już powróciła do Stanów, więc pojechała sama statkiem „Carmania”! W Nowym Jorku poszła natychmiast do Stanforda White’a i opowiedziała mu wszystko. Pokazała bliznę na wewnętrznej stronie prawego uda. Boże, Boże, jęknął Stanford White. Pocałował obolałe miejsce. Pokazała mu małą żółtofioletową plamkę na lewym pośladku tuż przy przedziałku. To straszne, powiedział Stanford White. Pocałował plamkę. Nazajutrz posłał ją do adwokata, który sporządził opis tego, co zdarzyło się w Schloss Katzenstein. Ewelina podpisała dokument. A teraz, kochanie, jak Harry wróci do domu, pokażesz mu to, powiedział Stanford White i uśmiechnął się od ucha do ucha. Zrobiła, co jej kazał. Harry K. Thaw przeczytał dokument, zbladł i natychmiast zaproponował jej małżeństwo. Była tylko chórzystką, ale karierę zrobiła nie mniejszą niż niejedna solistka.

Osadzony w więzieniu Harry stał się sensacją dnia. Cela jego znajdowała się w bloku morderców, na najwyższym piętrze przepastnego więzienia. Co wieczór strażnik przynosił mu gazety, bo Harry pilnie śledził karierę swojej ulubionej drużyny „Pittsburgh Nationals” i ich gwiazdy Honusa Wagnera. Przy okazji czytał, co pisano o nim samym. Przeglądał gazety, takie jak: „World”, „Tribune”, „Times”, „Evening Post”, „Journal”, „Herald”. Przeczytaną płachtę składał, podchodził do kraty i przerzucał ją górami, tak że spadała – rozwijając się – sześć pięter w dół i lądowała na podłodze głównej hali czy też studni obudowanej kondygnacjami cel. Jego zachowanie fascynowało strażników. Rzadko zdarzali im się podopieczni tej klasy. Thawowi nie bardzo smakowało więzienne jedzenie, przysyłano mu zatem posiłki z restauracji Delmonico. Lubił czystość, więc jego służący przynosił codziennie do więzienia świeżą odzież. Nie lubił Murzynów, więc pilnowano, żeby w sąsiednich celach byli sami biali. Thaw nie był obojętny na życzliwość strażników. Okazywał im to w sposób może niezbyt dyskretny, ale nie pozbawiony swoistego stylu. Rzucił im pod nogi zmięte dwudziestodolarowe banknoty, a kiedy nachylali się po nie, wyzywał ich od świń. Ale strażnicy byli zachwyceni. Kiedy pod koniec zmiany opuszczali więzienie, oblegali ich reporterzy. Ewelina, w świeżo upranej i uprasowanej, wysoko pod szyją zapiętej bluzce i plisowanej lnianej spódnicy, odwiedzała męża każdego popołudnia. Pozwalano małżeństwu przechadzać się po Moście Westchnień, jak nazywano pomost łączący więzienie z gmachem sądu. Thaw szedł krokiem niepewnym, stawiając stopy na zewnątrz, jak człowiek z uszkodzeniem mózgu. Miał szerokie usta i połyskujące porcelanowe oczy lalki, niczym maskujący się pederasta z epoki królowej Wiktorii. Czasami strażnicy widzieli, jak gestykuje gwałtownie, a Ewelina stoi z pochyloną głową, z twarzą zasłoniętą rondem kapelusza. Czasami prosił, aby pozwolono mu wejść z nią do rozmównicy dla więźniów i ich adwokatów. Strażnik, którego stanowisko znajdowało się tuż przed drzwiami tego pomieszczenia zaopatrzonymi w małe, okrągłe okienko, opowiadał, że Thaw czasami wybucha płaczem, a czasami trzyma Ewelinę za rękę. Niekiedy chodzi tam i z powrotem po pokoju, wali się pięściami w skronie, to znów siedzi i tępo patrzy w zakratowane okno. Raz zażądał od żony dowodu miłości, ale nie dał rady i wymógł, żeby zaspokoila go ustami. Przy tym zabiegu wielki, ozdobiony sztucznymi kwiatami i tiulem kapelusz Eweliny ześliznął jej się z głowy. Kiedy było po wszystkim, strzepnął trociny z jej spódnicy i wręczył kilka banknotów.

Ewelina mówiła reporterom, którzy zawsze czekali na nią przed więzieniem, że jej mąż, Harry K. Thaw, jest niewinny. Przewód sądowy dowiedzie, że mąż mój jest niewinny, powiedziała pewnego dnia wchodząc do kabrioletu z elektrycznym zapłonem, należącym do jej dostojnej teściowej. Szofer zamknął drzwiczki. Kiedy Ewelina została sama, rozplakała się. Wiedziała lepiej od wszystkich, jak bardzo niewinny jest Harry. Zgodziła się zeznawać na jego korzyść za kwotę dwustu tysięcy dolarów. Za rozwód zamierzała zażądać jeszcze większej sumy. Opuszkami palców gładziła aksamitne obicie wnętrza wozu. Po chwili przestała płakać. Ogarnęło ją uczucie dziwnej, gorzkiej egzaltacji. Zimnego triumfu. Wychowała się na ulicach jednego z górniczych miasteczek Pensylwanii. To ona pozowała Gaudensowi do rzeźby, jaką Stanford White umieścił na szczycie wieży Madison Square Garden, przedstawiającej wspaniałą, nagą, odlaną w brązie Dianę, trzymającą w rękach napięty łuk, z twarzą uniesioną ku gwiazdom.

Tak się złożyło, że w tym samym okresie naszych dziejów posępny pisarz Theodore Dreiser okrutnie cierpiał z powodu złych recenzji i raczej opornie idącej sprzedaży pierwszej powieści *Siostra Carrie*. Dreiser nie miał pracy, był bez grosza przy duszy i tak przygnębiony, że nie chciał się z nikim widywać. Wynajął w Brooklynie umeblowany pokój i tam zamieszkał. Siedział całymi godzinami na krześle pośrodku pokoju. Pewnego dnia uznał, że krzesło stoi w złym miejscu. Wstał więc i przesunął je oburącz w prawo. Przez chwilę był zadowolony, ale zaraz potem doszedł do wniosku, że trzeba je jeszcze trochę dalej przesunąć i także w prawo. Zrobił to. Usiadł na nim ponownie, ale wciąż nie był zadowolony. Przesunął je więc jeszcze raz. W ten sposób zatoczył nim pełne koło. Za brudną szybą sublokatorskiego pokoju zapadł zmierzch. Przez całą noc Dreiser przesunął krzesło, szukając dla niego odpowiedniego miejsca.

Zbliżający się proces Thawa nie był jedyną sprawą, którą ekscytowano się w miejskim więzieniu. Dwaj strażnicy zaprojektowali w czasie wolnym od zajęć nowy model kajdan na nogi i twierdzili, że jest lepszy od dotychczasowych. Żeby to udowodnić, zaproponowali Harry'emu Houdiniemu, aby poddał je próbie. Wielki iluzjonista zjawił się więc pewnego ranka w gabinecie dyrektora więzienia, gdzie go sfotografowano, jak ściska rękę tegoż dyrektora stojącego pomiędzy dwoma uśmiechniętymi strażnikami. Wymieni! kilka ciętych dowcipów, żartobliwych słów z reporterami. Rozdał mnóstwo biletów na swoje wieczorne przedstawienie. Obejrzał starannie przy świetle nowe nożne kajdany. Zgodził się przeprowadzić próbę. Powiedział, że uwolni się z tych kajdan nazajutrz w czasie wieczornego występu w Keith Hippodrome. W obecności oblegającego go tłumu dziennikarzy zaproponował dodatkową atrakcję, a mianowicie, kazał, żeby zaraz rozebrano go do naga, zamknięto w celi i ułożono jego odzież na zewnątrz pod drzwiami. Następnie, żeby wszyscy oddalili się i poszli do biura dyrektora, a on zjawi się tam dokładnie w pięć minut później, całkowicie ubrany. Dyrektor więzienia nie chciał się na to zgodzić. Houdini wyraził zdumienie. Ostatecznie on, Houdini, bez wahania przyjął propozycję dyrektora. Czyżby dyrektor nie był pewny swego więzienia? Reporterzy stanęli po stronie Houdiniego. Dyrektor zrozumiał, że z satysfakcją opiszą jego odmowę w gazetach, i zgodził się. Był naprawdę pewny, że cele więzienia są odpowiednio zabezpieczone. Ściany jego gabinetu pomalowane były na seledynowo. Na biurku stały fotografie żony i matki. Obok, na małym stoliku, leżały pudełka z cygarami, stała karafka z irlandzką whisky. Podniósł słuchawkę nowego aparatu telefonicznego i trzymając w jednej ręce trzon, a w drugiej słuchawkę patrzył znacząco na reporterów.

W kilka minut później zaprowadzono zupełnie nagiego Houdiniego na szóste, jednocześnie najwyższe piętro więzienia, do tak zwanego bloku morderców. Na piętrze tym znajdowało się mniej więźniów niż na pozostałych, a cele były specjalnie zabezpieczone. Strażnicy zamknęli Houdiniego w pustej celi. Złożyli jego odzież w kostkę i umieścili przed kratą tak, że była poza zasięgiem jego ramion. Następnie wraz z reporterami wycofali się i w myśl umowy poszli do gabinetu dyrektora. Houdini miał ukryte w różnych zakamarkach ciała małe kawałki stalowego drutu i miniaturowe stalowe sprężynki. Przesunął dłonią po stopie i wyciągnął spod zgrubienia skóry na lewej pięcie kawałek metalu szerokości pół i długości około trzech centymetrów. Z gęstej czupryny wyjął ukryty tam inny kawałek sztywnego drutu i przymocował do sprężynki, tworząc coś w rodzaju uchwytu. Przesunął rękę przez kratę, wcisnął zaimprovizowany klucz do zamka i obrócił go powoli w kierunku ruchu wskazówek zegara. Otworzyły się drzwi celi. W tym momencie Houdini zorientował się, że cela znajdująca się po przeciwnej stronie jest oświetlona. Jakiś więzień siedział w niej i przyglądał mu się uważnie. Więzień miał szeroką, płaską twarz ze świńskim nosem, grube usta i nienaturalnie błyszczące wielkie oczy. Nasada sztywnych włosów tworzyła łuk na jego czole. Houdini, człowiek wodewilu, skojarzył go sobie natychmiast z kukłą brzuchomowcy. Więzień siedział przed stołem nakrytym obrusem i zastawionym porcelaną. Były tam resztki sutego posiłku. W pojemniku na lód sterczała – dnem do góry – butelka po szampanie. Żelazna prycza nakryta była puchową kołdrą i kilkoma poduszkami. Pod jedną z kamiennych ścian stała szafa w stylu regencji. Lampa sufitowa osłonięta była abazurem Tiffaniego. Houdini patrzył na to wszystko ze zdumieniem. Cela więźnia promieniowała światłem niczym scena teatralna. Więzień wstał i pozdrowił Houdiniego majestatycznym ruchem ręki. Jego szerokie usta skrzywiły się w przelotnym uśmiechu. Houdini zaczął się szybko ubierać. Nałożył slipy, spodnie, skarpetki, podwiązki i buty. Tamten w swojej celi zaczął się rozbierać. Houdini zawiązał krawat i wpiął spinkę do kołnierzyka. Poprawił szelki i naciągnął marynarkę. Więzień był teraz zupełnie nagi, tak jak przed chwilą Houdini. Podszedł do kraty i podnosząc do góry rękę dziwnie nieprzyzwoitym ruchem wyrzucił naprzód biodra i wysunął członek przez pręty. Houdini puścił się pędem przez korytarz, drżącymi rękami otworzył drzwi bloku morderców i zamknął je za sobą.

Houdini nie zamierzał opowiedzieć nikomu o tej dziwnej przygodzie. Jednakże przyjmował gratulacje z okazji swojego niezwykłego wyczynu spokojnie, bez charakterystycznego dlań entuzjazmu. Nawet pochwalne artykuły w popołudniówkach, które sprowadziły tłumy ludzi na jego wieczorne przedstawienie, nie poprawiły mu humoru. Wyzwolił się z kajdan na nogi w ciągu dwóch minut, ale nie sprawiło mu to przyjemności. Dopiero po kilku dniach zorientował się, że owym groteskowym szydercą z bloku morderców jest z pewnością Harry K. Thaw. Ludzie, którzy nie reagowali na jego wyczyny, wprawiali Houdiniego w stan głębokiej depresji. Przekonał się po pewnym czasie, że byli to z reguły przedstawiciele wyższych sfer. Znali się na jego sztuczki, czuł się przy nich jak dureń. Houdini był człowiekiem dość prymitywnie ambitnym i postęp techniczny budził w nim niepokój. Chłubił się tym, że na nędznych deskach sceny potrafi budzić w ludziach podziw i strach. A tymczasem człowiek zaczął latać w powietrzu na maszynach, ścigać się na samochodach pędzących z szybkością stu kilometrów na godzinę. Roosevelt pobił Hiszpanów na wzgórzu San Juan, a teraz posłał flotę złożoną z białych okrętów w rejs dokoła świata – okrętów wojennych, białych jak jego zęby. Bogaci wiedzieli, co się liczy. Patrzyli na niego jak na dziecko albo na wariata. A przecież narzucił sobie

żelazną dyscyplinę, dążył we wszystkim, co robił, do absolutnej perfekcji, zgodnie z amerykańskim ideałem. Dbał o kondycję fizyczną niczym atleta. Nie palił i nie pił. Wiedział, że jest równie silny jak każdy inny mężczyzna z jego, wagą. Czasami napinał mięśnie brzucha i z uśmiechem proponował ludziom, żeby bili go pięściami ze wszystkich sił w splot słoneczny. Był ogromnie silny, zwinny i – jak tego wymagał jego zawód – odważny. Ale dla bogatych wszystko to nie miało znaczenia.

Jeden z jego nowych popisów polegał na tym, że wychodził z dużej zamkniętej kasy pancерnej, po chwili otwierał ją i oczom widzów ukazywał się jego asystent ze skutymi rękami, który przed chwilą jeszcze stał na scenie. Cieszyło się to wielkim powodzeniem. Pewnego wieczoru po przedstawieniu menażer Houdiniego powiedział mu, że dzwoniła niejaka pani Stuyvesant Fish z Siedemdziesiątej Ósmej Ulicy prosząc, aby wystąpił na urządzanym przez nią balu. Pani ta należała do najwyższych sfer towarzyskich. Słyszała z dowcipu, kiedyś wydała przyjęcie, na którym wszyscy musieli bełkotać dzieciennym językiem. Tym razem pani Fish oświadczyła, że wyprawia bal dla uczczenia pamięci przyjaciela, zmarłego niedawno Stanforda White'a, który zaprojektował jej dom w stylu pałacu dożów. Dożowie rządząli republikami Wenecji i Genui. Nie chcę mieć nic wspólnego z tymi ludźmi, oświadczył Houdini menażerowi. Ten przekazał pani Fish wiadomość, że Houdini jest zajęty. Podwoiła honorarium. Bal odbył się w poniedziałek. Okazał się pierwszą wielką imprezą nowego sezonu. Około godziny dziewiątej Houdini zajechał przed rezydencję wynajętym Pierce Arrow, w towarzystwie menażera i asystenta. Za samochodem jechała ciężarówka z jego akcesoriami. Menażerowi i asystentowi kazano wejść przez drzwi dla dostawców.

Houdini nie wiedział o tym, że pani Stuyvesant Fish zaangażowała na ten wieczór część zespołu cyrku Barnuma i Baileya. Lubiła szokować starych przyków. Houdiniego zaprowadzono do pokoju wyglądającego jak poczekalnia, gdzie otoczyła go gromada najdziwniejszych na świecie ludzi, którzy oczywiście o nim słyszeli i koniecznie chcieli go dotknąć rękami. Były wśród nich dziwne stworzenia pokryte łuszczącą się, opalizującą skórą, ludzie, którym ręce wyrastały prosto z ramion, karły o głosach brzmiących jakby poprzez słuchawkę telefonu, siostry syjamskie odchyłone w przeciwne strony, jakiś mężczyzna, który podnosił ciężary za pomocą żelaznych obręczy przytwierdzonych na stałe do piersi. Houdini zdjął pelerynę, cylinder, białe rękawiczki i podał je asystentowi. Opadł na fotel. Jego pomocnicy czekali na instrukcje. Potworki jazgotały.

Ale pokój był przepiękny, z sufitem z rzeźbionego drzewa i ścianami zawieszonymi flamandzkimi gobelinami przedstawiającymi Akteona rozszarpywanego przez psy.

Na samym początku swojej kariery Houdini pracował w niewielkim cyrku w zachodniej Pensylwanii. Teraz, żeby się uspokoić, próbował sobie przypomnieć przyjaźnie z tamtych lat. Jedna karlica wysunęła się naprzód i kazała cofnąć się reszcie potworków o kilka kroków. Okazało się, że jest to Lavinia Warren, wdowa po generale Tomciu Paluchu, najstynniejszym karle wszechczasów. Lavinia Warren Paluch miała na sobie wspaniałą suknię wieczorową, dostarczoną jej przez panią Fish. Pani Fish chciała zakpić ze swojej rywalki, pani Williamowej Astor, która poprzedniej wiosny pokazała się w tym właśnie modelu na kilku przyjęciach. Karlica miała włosy uczesane dokładnie tak jak pani Astor, a na szyi i rękach błyszczące kopie astorowskich klejnotów. Dobiegała siedemdziesiątki i nosiła się jak prawdziwa dama. Pięćdziesiąt lat temu, zaraz po ślubie, Lavinia i pułkownik Tom Paluch zostali przyjęci w Białym Domu przez prezydenta Lincolna i jego żonę. Houdiniemu zaczęło zbierać się na płacz. Lavinia nie występowała już w cyrku, przyjechała jednakże do Nowego Jorku z Bridgeport, ze swojego pięknego, drewnianego domu z ozdobną szczytową ścianą i długim tarasem na dachu, bo potrzebowała pieniędzy na jego utrzymanie. Tylko dlatego zgodziła się na dzisiejszy występ. Mieszkała w Bridgeport, bo chciała być blisko grobu męża, który zmarł wiele lat temu i któremu na cmentarzu Mountain Grove wystawiła marmurowy pomnik ukazujący go stojącego na wysokiej kolumnie. Lavinia miała sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Siegała Houdiniemu równo do kolan. Z wiekiem zgrubiał jej głos i brzmiał teraz jak głos normalnej, dwudziestoletniej dziewczyny. Miała błyszczące, niebieskie oczy, srebrnobiałe włosy, piękną, jasną cerę i sieć drobniutkich zmarszczek na policzkach. Przypominała Houdiniemu matkę. Bądź taki dobry, chłopcze, powiedziała Lavinia, i zrób dla nas małe przedstawienie.

Houdini wykonał dla potworków kilka prostych sztuk i trochę żonglerki. Wsunął do ust kulę bilardową, zamknął usta, otworzył je, kuli nie było. Zamknął, je ponownie, otworzył i wypluł kulę. Przebił sobie prawy policzek zwykłą igłą do szycia. Otworzył zaciśniętą dłoń. Trzymał w niej żywe kurczątko. Wyciągnął sobie z ucha kilka metrów kolorowego jedwabiu. Potworki były zachwycone. Klaskały i zanosily się śmiechem. Kiedy Houdini uznał, że spełnił swą powinność, wstał i powiedział menażerowi, że nie wystąpi przed gośćmi pani Stuyvesant Fish. Menażer usiłował go skłonić do zmiany decyzji. Houdini pchnął drzwi i wybiegł z pokoju. Natychmiast oślepiły go światła kryształowych żyrandoli. Znalazł się w sali balowej pałacu dożów. Na balkonie grała orkiestra smyczkowa. Długie, różowe firanki zasłaniały okna, które zdobiły niegdyś dach bocznej nawy jakiegoś europejskiego kościoła. Po marmurowej posadzce walcowało czterysta par. Houdini przesłonił ręką oczy i nagle zobaczył nacierającą na niego panią Fish we własnej osobie. W jej wysoko upiętych i ozdobionych brylantami włosach sterzczały pióra, na szyi kołysały się sznury pereł, z ust wydobywała się dowcipna uwaga, niczym piana z ust epileptyka.

Mimo takich przeżyć Houdini nigdy nie zdobył tego, co nazywa się potocznie świadomością polityczną. Nie umiał wyciągać wniosków z przykrych doświadczeń. Aż do końca nie był pewny sensu swojej kariery, nie zdawał sobie sprawy z tego, jak przełomowy charakter miało jego życie. Był Żydem. Naprawdę nazywał się Erich Weiss. Kochał ponad wszystko matkę, którą umieścił w ładnym domu przy Sto Trzynastej Ulicy Zachodniej. Tak się złożyło, że w owym czasie do Ameryki przyjechał Zygmunt Freud celem wygłoszenia cyklu wykładów na Uniwersytecie Clarka w Worcester, w stanie Massachusetts, toteż Houdiniemu wraz z Al Jolsonem przeznaczone było zostać ostatnim bezwstydnym wielbicielem swojej matki, spadkobiercą takich dziewiętnastowiecznych postaci jak Poe, John Brown, Lincoln i James McNeill Whistler. Freud, oczywiście, nie od razu został w Ameryce entuzjastycznie przyjęty. Kilku zawodowych psychiatrów rozumiało znaczenie jego teorii, ale dla większości słuchaczy był po prostu kolejnym niemieckim seksuologiem, zwolennikiem wolnej miłości, używającym wielkich słów dla mówienia nieprzyzwoitych rzeczy. Co najmniej dziesięć lat musiało upłynąć, zanim Freud z satysfakcją stwierdził, że jego idee zaczynają na dobre niszczyć życie seksualne Amerykanów.

Freud przyjechał do Ameryki statkiem „George Washington” należącym do linii oceanicznej Lloyd’a. Towarzyszyli mu jego uczniowie Jung i Ferenczi, obaj trochę od niego młodszy. Na przystani czekali dwaj inni młodzi freudyści, dr Ernest Jones i dr A. A. Brill. Panowie zjedli wspólną kolację w restauracji Hammersteina w ogrodzie na dachu dużej kamienicy. Stały tam palmy w donicach. Duet skrzypcowy grał *Rapsodię węgierską* Liszta. Uczniowie Freuda mówili do niego i zaglądali mu w oczy, żeby zobaczyć, jak reaguje. Freud jadł budyń waniliowy. Brill i Jones wzięli na siebie rolę gospodarzy. W ciągu następnych kilku dni pokazali Freudowi Central Park, Metropolitan Museum i Chinatown. W ciemnych sklepikach siedzieli podobni do kotów Chińczycy i przyglądali im się uważnie. W szklanych gablotach piętrzyły się stosy chińskich orzeszków. Panowie obejrżeli jeden z niemych filmów, jakie pokazywano w sklepikach i salkach kinowych w całym mieście. Biały dymek wydobywał się z luf karabinów, a mężczyźni o karminowych ustach i uróżowanych policzkach padali do tyłu chwytając się za serce. Przynajmniej milczą, myślał Freud. Najbardziej przerażał go w Nowym Jorku hałas. Potworne klekotanie wozów, stuk końskich kopyt, pisk i dzwonięcie tramwajów, klaksony samochodów. Brill obwoził swoich freudystów po Manhattanie otwartym Marmonem. Na jednym ze skrzyżowań, przy Piątej Alei, Freud doznał uczucia, że ktoś go obserwuje. Podniósł wzrok, i zobaczył grupkę dzieciaków przyglądających mu się z dachu piętrowego autobusu.

Brill zawiązał przyjaciół na wschodnią stronę miasta, gdzie była kolejka nadziemna, wiele żydowskich teatrów i niezliczone stragany. Przerażająca, hałaśliwa kolejka przejeżdżała tuż przed oknami ruder, w których mieszkali skazani na nie ludzie. Okna trzęsły się, trzęsły się budynki. Freud chciał się załatwić, ale nikt nie potrafił mu powiedzieć, gdzie jest publiczny szalet. Musieli więc wszyscy wejść do baru mlecznego i zamówić kwaśną śmietanę z jarzynami tylko po to, żeby Freud mógł pójść za swoją potrzebą. Później, już w samochodzie, zatrzymali się, żeby obejrzeć starego ulicznego artystę, który za pomocą nożyczek wycinał w czarnym papierze sylwetki portretowe za kilka centów. Pozowała mu właśnie piękna, dobrze ubrana kobieta. Ferenczi, który łatwo się ekscytował – żeby zamaskować wrażenie, jakie zrobiła na nim uroda kobiety – zaczął się zachwycać tym, że stara sztuka robienia sylwetek wciąż kwitnie na ulicach Nowego Świata. Freud milczał i ścisnął w zębach cygaro. Silnik pracował na luzie. Tylko Jung zauważył małą dziewczynkę w fartuszu na szelkach, która stała za młodą kobietą trzymając ją za rękę. Dziewczynka zerknęła na Junga i jego ogoloną czaszkę, a Jung, który już wtedy nie zgadzał się z pewnymi zasadniczymi przesłankami ukochanego mistrza, patrzył na śliczne dziecko poprzez grube szkła okularów w stalowej oprawie i doznał czegoś w rodzaju olśnienia, chociaż nie potrafiłby wówczas nawet samemu sobie wytłumaczyć dlaczego. Brill nacisnął gaz i panowie ruszyli w dalszą drogę. Zamierzali jechać do Coney Island, położonego dość daleko za miastem. Przybyli tam późnym popołudniem i natychmiast zabrali się do zwiedzania trzech wielkich ośrodków rekreacyjnych, zaczynając od Steeplechase, przez Dreamland, aż wreszcie, już późnym wieczorem, dotarli do wież i diabelskich kolejek Lunaparku. Dostojni goście przejechali się jedną z nich, a Freud i Jung przepłynęli łódką przez Tunel Miłości. Dzień skończył się tym, że Freud poczuł wielkie zmęczenie i zemdłał. Zdarzało mu się to ostatnio coraz częściej w towarzystwie Junga. W kilka dni później panowie pojechali do Worcesteru, gdzie Freud miał wygłosić szereg odczytów, a po ich zakończeniu namówiono go na przejażdżkę do wodospadu Niagara, uznanego za jeden z największych cudów przyrody.

Panowie przybyli tam w pochmurny dzień. Kilka tysięcy nowożeńców, stojąc parami, przyglądało się wielkiej wodzie. Na linie przymocowanej do przeciwległych brzegów balansował jakiś szaleniec w trykotach i baletkach, utrzymując równowagę z pomocą parasola. Freud pokiwał głową. Następnie panowie poszli do Groty Wiatrów. Kiedy stali na jednym z podziemnych mostków, przewodnik chwycił Freuda za ramię i ruchem ręki odsunął jego przyjaciół. Proszę puścić starszego pana przodem, zażądał. Wielki uczonec, który miał wówczas pięćdziesiąt trzy lata, postanowił w tym momencie opuścić Amerykę. Wraz z uczniami powrócił do Niemiec na pokładzie statku „Kaiser Wilhelm der Grosse”. Nie przyzwyczał się do amerykańskiego jedzenia, a szczególnie do braku publicznych szaletów. Był pewny, że ta podróż zrujnowała mu żołądek i pęcherz. Cała ludność tego kraju wydała mu się prostacka, arogancka i nieopanowana. Wulgarnie, hurtowe przywłaszczanie sobie europejskiej architektury i sztuki, niezależnie od tego, z jakiej pochodziły epoki czy kraju, napawało go pogardą. Widoczne na każdym kroku współlistnienie wielkiego bogactwa i skrajnej nędzy przypominało mu chaos i bełład europejskiej cywilizacji. Siedział w swoim zacisznym wiedeńskim gabinecie i cieszył się, że powrócił do domu. Powiedział do Ernesta Jonesa: Ameryka to pomyłka, kolosalna pomyłka.

W owym czasie i po tej stronie oceanu sporo ludzi podzielało jego zdanie. Armia bezrobotnych liczyła miliony. Szczęśliwców, którzy pracowali, namawiano, aby zaryzykowali przystąpienie do związku zawodowego. Aresztowano ich. Stawiano pod sąd, policjanci rozbijali im czaszki, przywódców pakowano do więzienia, nowi ludzie zajmowali ich miejsca pracy. Związki zawodowe uważano za obrazę boską. Losem robotników, ich dobrobytem mają zajmować się nie agitatorzy, powiedział pewien bogacz, ale prawdziwi

chrześcijanie, którym Bóg w swojej nieskończonej mądrości powierzył ochronę interesów możliwych tego kraju. Kiedy wszystko inne zawodziło, wzywano na pomoc wojsko. W miastach Ameryki powstawały zbrojownie. W kopalniach górnicy mieli dniówkę dolar sześćdziesiąt za wydobycie trzech ton węgla. Mieszkali w budach należących do właścicieli kopalń, kupowali żywność w ich sklepach. Na plantacjach tytoniu Murzyni zbierali liście po trzynaście godzin dziennie – mężczyźni, kobiety, dzieci.

Płacono im sześć centów za godzinę. Dzieci nie były dyskryminowane. Ceniono je i zatrudniano wszędzie. Nie narzekały, tak jak to często czynili dorośli. Pracodawcy mówili o nich, że są jak radosne elfy. Jedynym problemem był ich brak wytrzymałości. Chociaż szybsze i zwinniejsze od dorosłych, pod wieczór zaczynały tracić siły. W fabrykach konserw i tkalniach – w tych właśnie godzinach – ulegały wypadkom, obcinało im palce, miażdżyło stopy lub ręce. Trzeba je było pilnować, żeby nie zasypiały. W kopalniach sortowały węgiel i czasami wpadały do korytarza zrzutowego i ginęły. Ostrzegano je, żeby były ostrożne. Każdego roku linczowano około stu Murzynów. Tyluż górników ginęło od pożarów w kopalniach. Co najmniej tyleż dzieci zostawało kalekami. Mogłoby się wydawać, że są określone normy wypadków. Na przykład: norma śmierci z głodu.

Powstały kartele naftowe, kartele bankowe, kartele kolejowe, kartele mięsne i kartele stalowe. Powstała moda na opiekowanie się biedotą. W pałacach Nowego Jorku i Chicago urządzano dobroczynne bale, na które goście przychodzili w łachmanach, jedzenie podawano na cynowych talerzach, trunki w wyszczerbionych kubkach. Sale dekorowano w stylu wnętrza kopalni, z szynami, kaskami i lampami górniczymi. Scenografowie teatrów przemieniali ogrody na ubogie ферmy, a wytworne jadalnie na przędzalnie bawełny. Na srebrnych tacach podawano gościom niedopałki cygar. Przemalowani na Murzynów śpiewacy zabawiali gości murzyńskimi piosenkami. Pewna dama zaprosiła przyjaciół na bal w rzeźni. Gości przebrano w długie fartuchy i białe czepki ochronne. Spożywano kolację i tańczono pod krwawymi pościami mięsa zawieszony mi na ruchomych blokach. Wnętrza zwierząt poniewierały się pod nogami. Dochód przeznaczony był na cel dobroczynny.

Pewnego dnia, w drodze powrotnej z więzienia, Ewelina Nesbit wyjrzała przez okno kabrioletu i zorientowała się, że po raz pierwszy od dłuższego czasu żaden reporter za nią nie jedzie. Zazwyczaj całe sfory ludzi Hearsta i Pulitzera deptały jej po piętach.

Wiedzona nagłym impulsem kazała zawrócić do wschodniej części miasta. Szofer, który służył u matki Harry'ego Thawa, zmarszczył brwi. Ewelina zignorowała go. Samochód ruszył przez śródmieście, silnik mrucał rytmicznie. Popołudnie było ciepłe. Jechali czarnym kabrioletem typu Detroit Electric z twardymi gumowymi oponami. Kiedy Ewelina zobaczyła przez okno stragany i wózki handlarzy, wiedziała, że jest we wschodniej części Dolnego Manhattanu.

Twarze o ciemnych oczach zwracały się w jej stronę. Mężczyźni z sumiastymi wąsami uśmiechali się do niej złotymi zębami. Na brzegach chodników siedzieli zamiatacze ulic i wachlowali się melonikami. Grupy wyrostków w pumpach biegły po jednej i drugiej stronie kabrioletu, dźwigając na barkach ciężkie paki. Ewelina zauważyła, że na wystawach niektórych sklepów widnieją szyldy z hebrajskimi napisami. Hebrajskie pismo kojarzyło jej się z piszczelami. Przyglądała się fasadom ruder, z których każda miała żelazne schody przeciwpożarowe, przypominające wnętrze miejskiego więzienia. Wynędzniałe szkapy podnosiły karki i przyglądały się jej. Łachmaniarze mocujący się z załadowanymi dwukołowymi wózkami, kobiety roznoszące w koszach chleb na sprzedaż – wszyscy oni patrzyli na Ewelinę. Szofer zdenerwował się. Miał na sobie szarą liberię z czarnymi, skórzanymi sztylpami. Prowadził błyszczący pojazd bardzo ostrożnie przez wąskie, brudne ulice. Mała dziewczynka w fartusku na szelkach i wysoko sznurowanych bucikach siedziała na krawężniku i bawiła się w błocie. Miała umazaną buzię. Proszę się zatrzymać, powiedziała Ewelina. Szofer wysiadł, obiegł samochód dokoła i otworzył jej drzwi. Ewelina wyszła na ulicę i przyklękła. Dziewczynka miała czarne proste włosy, które ujmowały jej główkę jak hełm, cerę oliwkową, oczy tak ciemne, że niemal czarne. Przyglądała się Ewelinie bez zainteresowania. Ewelina nigdy w życiu nie widziała równie pięknego dziecka. Przegub ręki małej przewiązany był kawałkiem grubego sznura. Ewelina wstała, poszła za sznurem i znalazła się twarzą w twarz z wynędzniałym, wyglądającym na szaleńca starym człowiekiem o krótko ostrzyżonej siwej brodzie. Drugi koniec sznura owinął dokoła pasa. Miał na sobie przetarty płaszcz z naderwanym rękawem, koszulę i krawat, a na głowie miękką czapkę. Stał na chodniku przed wózkiem, na którym zawiesił oprawione miniaturowe sylwetki na de kawałka czarnego aksamitu. To on robił te portrety. Za pomocą małych nożyczek wycinał w białym papierze profil modelu i naklejał go na czarną tekturę. Za taki portret wraz z ramką liczył piętnaście centów. Piętnaście centów, proszę pani, powiedział stary człowiek. Dlaczego trzyma pan małą na sznurku? – zapytała Ewelina. Przyjrzał się wystrojonej damie, roześmiał się, potrząsnął głową i wymamrotał coś do siebie po żydowsku. Odwrócił się plecami do Eweliny. Dokoła nich zgromadził się tłum. Wysoki robotnik wystąpił naprzód, uchylił z szacunkiem kapelusza i przetłumaczył jej słowa starego. Proszę pani, powiedział, chodzi o to, żeby mu nie ukradziono małej. Ewelina zrozumiała, że ten człowiek próbuje jej coś wytłumaczyć. Stary artysta śmiał się z goryczą, wskazywał na nią palcem i mamrotał coś pod jej adresem. Powiada, że bogata pani na pewno nie wie o tym, że w slumsach codziennie porywają małe dziewczynki, zabierają je rodzicom i sprzedają. Ewelina zgorszyła się. Ta mała ma najwyżej dziesięć lat, powiedziała. Stary nagle zaczął wrzeszczeć i wskazał palcem na stojącą po drugiej stronie ulicy rudere, a potem odwrócił się i wskazał na jeden róg ulicy, następnie na drugi. Widzi pani, tłumaczył Ewelinie wysoki robotnik, spotyka to mężatki, małe dziewczynki, każdą, która da się złapać. Hańbią je, a potem te zbezczeszczone istoty schodzą na psy. Nawet domy na tej ulicy służą temu niecnemu procederowi. Gdzie są rodzice małej, zapytała Ewelina. Stary mówił teraz do tłumy, bił się w piersi, wznosił ręce do nieba. Kobieta w czarnym szalu potrząsała głową i jęczała na znak współczucia. Stary zerwał czapkę z głowy i szarpał sobie włosy. Wysoki robotnik tak przejął się historią starca, że przestał tłumaczyć jego słowa. Proszę pani, powiedział wreszcie, ten człowiek jest ojcem dziewczynki. Wskazał ręką naderwany rękaw płaszcza starego i dodał: jego własna żona, żeby zdobyć pożywienie dla rodziny, zaczęła się sprzedawać, ale on wygnał ją z domu i nosi po niej żalobę jak po zmarłej. Osiwiał w ciągu jednego miesiąca. Ma trzydzieści dwa lata.

Stary szlochał i przygryzał dolną wargę. Spojrzał na Ewelinę i stwierdził, że i ona się wzruszyła. Przez chwilę wszyscy, którzy tu sali, współczuli mu – Ewelina, szofer, robotnik, kobieta w czarnym szalu, przechodnie. Potem od tłumy oderwała się jedna osoba. Za nią druga. Tłumek rozproszył się. Ewelina podeszła do dziewczynki, która wciąż siedziała na krawężniku. Przyklękła i załzawionymi oczami spojrzała w suche oczy małej. Hej, malutka, powiedziała.

I tak zaczęła się historia Eweliny Nesbit, trzydziestodwuletniego artysty-starca i jego córki. Artysta miał bardzo długie żydowskie nazwisko, którego nie potrafiła zapamiętać, więc zaczęła mówić do niego Tata, bo tak zwracała się do niego dziewczynka. Tata był prezesem Socjalistycznego Związku Artystów Wschodniej Części Dolnego Manhattanu. I dumnym człowiekiem. Ewelina przekonała się, że można mu pomóc tylko w jeden

jedyny sposób. Przez pozowanie do sylwetkowego portretu. Przez następne dwa tygodnie stary wykonał sto czterdzieści wycinankowych portretów Eweliny. Za każdy zapłaciła mu piętnaście centów. Czasami prosiła, żeby zrobił na jej koszt profil małej. Powstało ich ponad dziewięćdziesiąt. Poświęcał im więcej czasu. Następnie Ewelina zwróciła się do niego o zrobienie dwóch portretów – jej i małej – w jednej ramce. Stary spojrział na nią strasznym wzrokiem, jakby chciał rzucić na nią jakąś żydowską klątwę. Ale zrobił to, o co prosiła. Ewelina zorientowała się szybko, że chociaż mnóstwo ludzi zatrzymuje się, żeby przyjrzeć się jego pracy, to prawie nikt nie zamawia portretu. A stary wycinał coraz to bardziej skomplikowane obrazki. Różne postaci z tłem, przedstawiające Ewelinę i małą. Raz wyciął sylwetkę konia zaprzęzonego do wozu z piwem, innym razem pięciu mężczyzn ze sztywnymi kołnierzykami w otwartym samochodzie. Potrafił nożyczkami wyczarować nie tylko kontury, ale charakter postaci, walor tkaniny, nastrój rozpaczy. Większość tych wycinanek znajduje się dzisiaj w zbiorach kolekcjonerów. Ewelina przyjeżdżała teraz niemal każdego popołudnia i pozostawała tak długo, jak tylko mogła. Ubierała się możliwie najskromniej, bo nie chciała zwracać na siebie uwagi. Za przykładem Thawów dawała szoferowi duże łapówki za dyskrecję. Reporterzy z kroniki towarzyskiej, którzy regularnie tracili ją z oczu, doszli do wniosku, że Ewelina ma licznych kochanków, i zaczęto jej nazwisko kojarzyć z całymi tuzinami znanych lowelasów. Im rzadziej ją widywano, tym skandaliczniejsze rozpuszczano o niej plotki. Nie przejmowała się tym wcale. Przemykała się na wschodnią stronę miasta do swej nowej miłości. Głowę zasłaniała szalem, na bluzkę nakładała stary, nadgryziony przez mole sweter, który szofer trzymał dla niej pod pledem. Szła na skrzyżowanie ulic, przy którym urzędował Tata. Ustawiała się do portretu i napawała oczy widokiem dziewczynki przywiązanej sznurem do ojca. Była po prostu zakochana. I przez cały ten czas jedynym mężczyzną w jej życiu był obłąkany mąż, Harry K. Thaw. Chyba że uznałaby za adoratora cichego, młodego człowieka o wystających kościach policzkowych i jasnych wąsach, który chodził za nią wszędzie. Zauważyła go po raz pierwszy po drugiej stronie ulicy na skrzyżowaniu, przy którym Urzędował Tata, ale kiedy spojrzała mu prosto w oczy, spuścił głowę. Wiedziała, że teściowa wynajmuje tajnych detektywów, ale ten młodzieniec był zbyt nieśmiały jak na detektywa. Dowiedział się, gdzie Ewelina mieszka, znał jej codzienną trasę, ale nigdy nie próbował się do niej zbliżyć. Jego obecność nie przeszkadzała jej, czuła się dzięki temu bezpiecznie. Intuicja mówiła jej, że ten człowiek jest jej wielbicielem. Nocą śniła jej się dziewczynka, budziła się wtedy, myślała o niej. Snuła plany na przyszłość, które rozpały się w jej sercu jak fajerwerki i zaraz gasły. Była niespokojna, nerwowa, podniecona, ale dziwnie szczęśliwa. Postanowiła zeznawać w obronie męża, i to naprawdę dobrze. Miała nadzieję, że sąd uzna jego winę i skaże na dożywotnie więzienie.

Dziewczynka w fartuszkach trzymała Ewelinę za rękę, ale nic nie mówiła. Nawet z Tatą prawie nigdy nie rozmawiała. Tata powiedział: nikt tak nie potrafi tęsknić jak dziecko, nawet kochanek. Ewelina zdawała sobie sprawę, że z powodu dumy starzec dawno już by ją odgonił, gdyby nie uznał jej wizyt za dobre dla dziecka. Pewnego dnia Ewelina podjechała na skrzyżowanie, ale nie zastała ani dziewczynki, ani Taty. Na szczęście wiedziała, gdzie mieszkają – na Hester Street, nad łaźnią publiczną. Poszła tam szybkim krokiem, bojąc się nawet myśleć o tym, co zastanie. Na Hester Street było rojne i gwarne targowisko, na brzegach jezdnia stały wózki, na których sprzedawano warzywa, owoce, kury i pieczywo. Po chodnikach przewalały się tłumy nabywców, przed każdym domem stał wielki, przepełniony pojemnik na śmieci. Na schodach pożarowych wietrzyła się pościel. Ewelina wbiegła na żelazne schody i weszła do ciemnej, niewiarygodnie śmierdzącej sieni. Tata i mała mieszkali na najwyższym piętrze w dwóch pokojach z oknami wychodzącymi na podwórze. Zapukała do drzwi. Zapukała po raz drugi. Po chwili drzwi się uchyliły. Były zabezpieczone łańcuchem. Co się stało? – zapytała Ewelina. Proszę mnie wpuścić.

Tata był zgorszony wizytą. Miał na sobie tylko koszulę, spodnie na szelkach, a na nogach kapcie. Zażądał, żeby nie zamykała frontowych drzwi, chociaż od schodów silnie wiało. Szybko włożył marynarkę i buty. Równie szybko zaścielił swoje łóżko i nakrył je barwnym kocem. Mała leżała w drugim pokoju na łóżku z mosiężną ramą. Miała gorączkę. Obydwa pokoje oświetlone były świecami. Pokój Taty, mimo że miał okna, był niemal równie ciemny jak pokój małej, którego okno wychodziło na studnię podwórza. Całe mieszkanie było bardzo ciasne. Kiedy jednak oczy Eweliny przywykły do ciemności, zorientowała się, że w obu izbach panuje idealna czystość. Starego artystę zdenerwowała wizyta Eweliny. Chodził tam i z powrotem po oświetlonych świecami pokojach i zastanawiał się, co z nią zrobić. Wielce podniecony zapalił papierosa trzymając go po europejsku – między kciukiem a palcem wskazującym, wierzchem dłoni zwróconym do góry. Zostanę z nią, powiedziała Ewelina, niech pan idzie do pracy. Po chwili wahania stary uległ jej namowom, głównie dlatego, żeby uciec przed nieznośnym napięciem, jakie wytwarzała obecność obcej kobiety w jego domu. Wybiegł z mieszkania dźwigając drewniany stelaż i skrzynkę z przyborami, przez ramię przerzucił czarną kotarę. Ewelina zamknęła za nim drzwi. Spojrzała na oszkloną szafkę, w której stało kilka poobijanych porcelanowych talerzyków i filiżanek. Sprawdziła szuflady pełne bielizny pościelowej; stwierdziła, że dębowy stół jest starannie wyszorowany, krzesła czyste. Pod oknem przy łóżku stała maszyna do szycia, a obok niej sterta skrojonych spodni. Maszyna miała żelazny, kunsztownie wykonany pedał. W czystej szybie okiennej

odbijał się płomień świecy. Mosiężne gałki wąskiego łóżka małej były starannie wypolerowane. Ewelina poczuła wielką sympatię do nieobecnej matki dziewczynki. Mała patrzyła na nią z poduszek, milczała i nie uśmiechała się wcale. Ewelina zdjęła z siebie szal, stary sweter i położyła je na krześle. Przy łóżku, na odwróconej do góry dnem skrzynce, niczym na nocnym stoliku, leżały rzędy schludnie ułożonych książek w języku żydowskim. Również kilka książek angielskich o socjalizmie i broszury z okładkami, na których maszerujący robotnicy szli spleceni potężnymi ramionami. Żaden z nich nie był podobny do wątłego, siwego Taty. Na ścianach nie wisały ani lustra, ani fotografie nieobecnej żony i matki. Ewelina znalazła we frontowym pokoju blaszaną wanienkę. Znalazła też wiadro, zesza z nim na dół i napełniła je wodą z kranu. Podgrzała wodę na węglowej kuchni we frontowym pokoju i weszła do sypialni małej niosąc wanienkę, kubek pełen wody i cienki, nakrochmalony ręcznik. Mała podciągnęła kołdrę pod szyję. Ewelina odsunęła delikatnie pościel, posadziła dziewczynkę na skraju łóżka, potem postawiła na ziemi, ściągnęła jej nocną koszulę przez głowę i poczuła ciepło promieniujące z ciała dziecka. Chodź, powiedziała, postoisz sobie przez chwilę w wanience. Ukłękła przed małą i – czerpiąc obiema rękami ciepłą wodę z kubła – oblewała ją całą, smagła ramiona, sutki malutkich piersi, brązowe jak laskowe orzeszki, jej panieństwo, twarz, plecy pokryte meszkiem, szczupłe uda, płaski brzuch. Woda chłodziła rozgorączkowane ciało dziewczynki, opadając do wanienki jak rzęsy deszcz. Ewelina wykapała małą, złożyła ręcznik we czworo, wytarła delikatnie i włożyła jej świeżą nocną koszulę wyjętą z szuflady. Koszula była z cienkiego batystu – o wiele za duża na dziewczynkę, co ją rozbawiło. Ewelina wygładziła prześcieradło, wyklepała poduszki, położyła małą do łóżka i przyłożywszy rękę do jej czoła stwierdziła, że jest chłodne. Ciemne oczy dziewczynki świeciły się w mroku pokoju. Ewelina rozczesła jej włosy, nachyliła się i pogłaskała delikatnie po twarzy, a wtedy dziecko zarzuciło jej ręce na szyję i pocałowało prosto w usta.

Tego dnia Ewelina zastanawiała się poważnie nad tym, czy porwać córeczkę Taty, a jego pozostawić własnemu losowi. Stary artysta nigdy nie zapytał o jej nazwisko i nic o niej nie wiedział. Rzecz była do zrobienia. Ale w końcu zarzuciła ten zamiar i ze zdwojoną energią zaczęła zajmować się tą dziwną parą. Przywoziła im przysmaki, bieliznę pościelową, robiąc wszystko, żeby nie urazić dumy starego. Oszałała na punkcie tych dwojga. Chciała za wszelką cenę być taka jak oni, wciągała Tatę w rozmowy, od małej nauczyła się zszywać pumpy. Całymi godzinami, każdego dnia i każdego wieczora żyła tak, jak kobiety w żydowskich slumsach, a potem biegła kilka ulic dalej, gdzie czekał na nią szofer Thawa i jechała do domu – zawsze z rozpaczą w sercu, była tak szaleńczo zakochana, że coś jej się stało z oczami, zepsuł jej się wzrok. Nieustannie mrugała powiekami, jak gdyby chciała się pozbyć mgiełki przesłaniającej pole widzenia. Patrzyła na świat przez zasłonę z łez. Głos jej zrobił się niski od nieustannego, nie dającego się opanować płaczu. Płakała ze szczęścia.

Pewnego dnia Tata zaprosił ją na wiec zorganizowany przez Socjalistyczny Związek Artystów Wschodniej Części Dolnego Manhattanu i siedem innych stowarzyszeń. Było to bardzo ważne wydarzenie. Głównym mówcą miała być ni mniej, ni więcej tylko Emma Goldman we własnej osobie. Tata wytłumaczył Ewelinie, że wprawdzie jest gorącym przeciwnikiem Emmy – ona jest anarchistką, on zaś socjalistą – szanuje ją za osobistą odwagę i uczciwość i dlatego zgodził się na chwilowe zawieszenia broni pomiędzy socjalistami a anarchistami, chociażby na dzisiejszy wieczór, zwłaszcza że pieniądze, jakie miano zebrać na sali, przeznaczone były na fundusz strajkowy robotników fabryki bluzek i stalowni w McKeesport, w Pensylwanii, oraz na obronę anarchisty Francisco Ferrery, któremu groziła kara śmierci i egzekucja w Hiszpanii za namawianie robotników do strajku generalnego. Ewelina o mało nie utonęła w tej retoryce radykalnego idealizmu. Nie miała odwagi powiedzieć Tacie, że nie wie, czym różni się anarchizm od socjalizmu i że przeraża ją perspektywa zobaczenia osławionej Emmy Goldman. Nasunęła szal na włosy, chwyciła małą za rękę i poszła za Tatą na Czternastą Ulicę Wschodnią do Domu Robotnika. W pewnej chwili odwróciła się, chcąc się przekonać, czy nieśmiały adorator za nią idzie, i oczywiście zobaczyła go w odległości kilkunastu metrów. Słomkowy kapelusz zasłaniał mu szczupłą twarz.

Emma jako temat przemówienia wybrała postać wielkiego dramaturga Ibsena, którego sztuki, mówiła, zawierają wszystkie dane potrzebne do analizy dzisiejszych społeczeństw. Emma nie grzeszyła urodą. Była krępa, przysadzista, miała męską twarz o szerokiej szczęce, a na nosie szła w rogowej oprawie, które powiększały jej oczy do tego stopnia, że robiła wrażenie osoby nieustannie wzburzonej tym, co widzi dokoła siebie. Miała piękny głos, ogromną żywotność i Ewelina z ulgą stwierdziła, że Emma Goldman jest zwykłą kobietą – na dodatek raczej drobną. Porwało ją przemówienie pełne podniosłych idei, jej myśli zaczęły płynąć wartko niczym wody wezbranej rzeki. Na sali było gorąco, panowała w niej podniecająca atmosfera, toteż Ewelina opuściła szal na ramiona. Publiczność składała się z blisko stu ludzi. Niektórzy siedzieli na ławkach, inni podpierali ściany. Goldman przemawiała zza stołu w głębi sali. Przy drzwiach stali ostentacyjnie policjanci i w pewnym momencie jeden z nich usiłował przerwać odczyt Emmy twierdząc, że zgodnie z zapowiedzią na plakatach miała mówić o dramacie, a zamiast tego mówi o Ibsenie. Rozległy się gwizdy i krzyki, policjant pośpiesznie opuścił salę. Emma Goldman nie brała udziału w ogólnej radości. Wiedziała z doświadczenia, co z reguły robi policja, kiedy czuje się obrażona. Mówiła teraz bardzo szybko, a oczami wodziła po twarzach słuchaczy i co chwila zatrzymywała się na alabastrowej twarzy Eweliny Nesbit, która siedziała w pierwszym rzędzie na prawo od stołu, pomiędzy dziewczynką a Tatą. Było to honorowe miejsce należące się Tacie jako prezesowi Socjalistycznego Związku Artystów. Miłość i wolność! – wołała Emma Goldman. Ci, którzy tak jak pani Alving zapłacili krwią i łzami za swoje duchowe przebudzenie, odrzucają instytucję małżeństwa jako oszustwo, jako zwykłą, nędzną kpinę. Niektórzy słuchacze, a wśród nich Tata, krzyknęli: Nie! Nie! Towarzysze i bracia, powiedziała Emma Goldman, czy wy, jako socjaliści, nie rozumiecie, że połowa rodzaju ludzkiego żyje w podwójnej niewoli? Czy nie rozumiecie, że system, który was eksploatuje, wpływa także na to, jak zgodnie z jego dążeniem żyjecie z waszymi kobietami? Nie w wolnych związkach, a w niewoli. Wszyscy reformatorzy mówią dzisiaj o zagadnieniu białego niewolnictwa. Ale jeżeli białe niewolnictwo jest problemem, to czyż nie jest nim również małżeństwo? Czy nie widzicie związku pomiędzy instytucją małżeństwa a instytucją domów publicznych? W tym momencie na sali rozległy się okrzyki: Wstyd! Wstyd! Tata przycisnął do siebie małą i zasłonił jej uszy rękami. Jakiś mężczyzna wstał i zaczął krzyczeć. Emma Goldman próbowała go uciszyć gestami. Towarzysze, dobrze, że mamy różne poglądy, ale nie traćmy panowania nad sobą i nie dajmy policji pretekstu do interwencji. Ludzie obejrzeli się za siebie i zobaczyli około tuzina policjantów w tłumie przy drzwiach. Prawda jest taka, mówiła szybko Emma, że kobiety nie mają prawa głosu, nie mogą kochać mężczyzn z własnego wyboru, nie mogą rozwijać swoich umysłów i charakterów, nie mogą żyć w pełni i korzystać z wielkiej przygody, jaką jest życie, nie, towarzysze, nie mogą! A dlaczego? Czyżby cała nasza mądrość umieszczona była w macicy? Czy nie potrafimy pisać książek, wyklądać na uniwersytetach, grać na instrumentach i tworzyć teorii ku naprawie losu ludzkiego? Czy naszym przeznaczeniem musi być wyłącznie służenie sprawom ciała? Jest tu dzisiaj wśród nas jedna z najwybitniejszych Amerykanek, kobieta, którą nasze kapitalistyczne społeczeństwo zmusiło do mobilizowania wszystkich jej talentów wyłącznie do budzenia w mężczyznach pożądania. A zrobiła to w sposób tak doskonały, że umiejętności organizacyjnych mogliby pozazdrościć jej zarówno Pierpont Morgan, jak i John D. Rockefeller. Jednakże jej imię stało się symbolem skandalu, a ich nazwiska wymawiane są ze czcią i szacunkiem przez służalczych ustawodawców naszego kraju. Ewelina struchlała. Chciała nakryć głowę szalem, ale bała się zwrócić na siebie uwagę. Siedziała więc bez ruchu, z wzrokiem wbitym w złożone na kolanach dłonie. Emma wykazała przynajmniej tyle taktu, że nie patrzyła w jej kierunku. Uwaga ludzi, którzy wyciągali szyje, żeby zobaczyć, o kogo jej chodzi, została jednakże szybko odwrócona. Ktoś z głębi sali wrzasnął ostrzegawczo. Falanga policjantów w granatowych

mundurach wtargnęła do gmachu. Podniósł się krzyk. I zaraz zrobiło się wielkie zamieszanie. Było to typowe zakończenie wieców, na których przemawiała Emma Goldman. Policjanci ruszyli głównym przejściem przez salę. Anarchistka stała spokojnie za stołem i wkładała papiery do teczki. Ewelina Nesbit poczuła na sobie wzgardliwe spojrzenie Taty. Patrzył na nią z takim samym obrzydzeniem, z jakim zapewne spoglądałby na karalucha, zanimby przygniótł go butem. A potem jego twarz jakby się zapadła i przemieniła w inną, o zupełnie odmiennym układzie zmarszczek i fałd, a on sam znalazł się w stanie ducha, który poprzedza śmierć, oczy jego przemówiły do niej z głębi przepastnych oczodołów, tłumacząc żydowskie słowa wydobywające się z popękanych ust. Życie moje jest zbezczeszczone przez kurwy, wyrzucił z siebie. I chwyciwszy za rękę dziewczynkę w fartuszu na szelkach, zniknął w tłumie.

Ewelina wstała i patrzyła za nimi. Zdawało jej się, że za chwilę oślepnie. Wyciągnęła rękę, żeby się o coś oprzeć. Znajomy teraz głos szepnął jej do ucha: Tędy, proszę iść za mną. Emma Goldman we własnej osobie chwyciła ją za ramię. Był to iście żelazny uchwyt. Wyprowadziła Ewelinę przez niewielkie drzwi znajdujące się za prezydialnym stołem, ale zanim się zamknęły, Ewelina odwróciła się i krzyknęła coś cienkim, wysokim głosem. Jej nieśmiały adorator przebijał się ku niej przez skotłowany tłum. Ja jestem do tego przyzwyczajona, powiedziała Emma Goldman, prowadząc Ewelinę po ciemnych schodach. Dla mnie to po prostu normalny wieczór. Znalazły się w zaułku na tyłach gmachu. Minał je rozdzwoniony wóz policyjny. Skręcił za róg. Idziemy, powiedziała Emma. Wzięła Ewelinę pod pachę i ruszyła za nią szybko w odwrotnym kierunku.

Kiedy młodszy brat matki wydostał się wreszcie na ulicę, zdążył jeszcze zobaczyć dwie kobiece sylwetki przechodzące pod latarnią uliczną o jakie dwa skrzyżowania dalej. Puścił się za nimi biegiem. Wieczór był chłodny. Wilgotny pot na karku przyprawiał młodszego brata matki o dreszcze, nogawki bawełnianych spodni trzepotały na wietrze. Dogonił kobiety i zaczął iść za nimi zachowując odległość kilku metrów. Nagle skręciły i weszły do trzypiętrowego domu z brunatnego piaskowca. Podbiegł i stwierdził, że jest to hotelik. Wszedł do hallu i ruszył na schody. Nie wiedział, w jakim pokoju szukać, ale był przekonany, że jakoś je znajdzie. Na podeście drugiego piętra ukrył się w ciemnej niszy. Zobaczył Emmę Goldman idącą z miską do łazienki. Usłyszał szum bieżącej wody. Stwierdził, że drzwi prowadzące do pokoju Emmy są tylko przymknięte. Było to małe pomieszczenie. Zobaczył Ewelinę Nesbit, która siedziała na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach. Szlochanie wstrząsało jej ciałem. Ściany pokrywała tapeta w wyblakły fioletowy wzór. Jedynym źródłem światła była niewielka lampa elektryczna ustawiona przy łóżku. Kiedy młodszy brat matki usłyszał kroki powracającej Emmy, wśliznął się szybko do ściennej szafy, pozostawiając drzwi lekko uchylone.

Emma postawiła miskę na nocnym stoliku i rozłożyła cienki lniany ręcznik. Biedactwo, mówiła, biedactwo. Pozwól, że cię trochę odświeżę. Jestem pielęgniarką, w ten sposób zarabiam na życie. Śledzę przebieg twojej sprawy w gazetach od samego początku. I od początku podziwiam cię. Sama nie wiem dlaczego. Rozsznurowała wysokie buciki Eweliny i ściągnęła je z nóg. Nie chciałabyś się położyć? – zapytała. O tak. Ewelina oparła się na poduszkach i zaczęła przecierać pięściami oczy. Chwyciła ręcznik, który podała jej Emma. Strasznie nie lubię płakać, powiedziała, robię się od tego okropnie brzydka. Zakryła twarz ręcznikiem i szlochała dalej. Zastanów się nad sobą, mówiła Emma Goldman, jesteś po prostu sprytną prostytutką. Zaakceptowałeś warunki, w jakich się znalazłaś, i odniosłaś sukces. Ale cóż to było za zwycięstwo? Zwycięstwo prostytutki. I co zdobyłaś w zamian, na pociechę? Oczywiście, nienawiść i pogardę do mężczyzn, cynizm i zachłanność. Sama nie rozumiem, dlaczego żywię do ciebie tyle siostrzanych uczuć. Nigdy nie zgodziłam się na niewolę. Zawsze byłam wolna. Przez całe życie o tę wolność walczyłam. Nigdy nie położyłam się do łóżka z mężczyzną, którego nie kochałam, jak jeden wolny człowiek kocha drugiego. Byłam z każdym z nich na równej stopie, braliśmy i dawaliśmy sobie miłość, jak równy z równym. Miłość i wolność. Prawdopodobnie spałam z większą liczbą mężczyzn niż ty. Kochałam więcej mężczyzn niż ty. Jestem przekonana, że zgorszyłabyś się, gdybyś się dowiedziała, w jakiej swobodzie żyję, na ile sobie pozwalam. Bo ty, jak wszystkie dziwki, cenisz pieniądze. Jesteś produktem kapitalizmu, a etyka kapitalistyczna jest tak przegniła, tak obłudna, że twoja uroda jest warta akurat tyle, ile warte jest złoto, za które możesz ją przehandlować, innymi słowy: fałszywa, zimna i bezużyteczna.

Żadne inne słowa nie potrafiłyby tak szybko osuszyć łez Eweliny. Odsunęła ręcznik i spojrzała na małą, krępa anarchistkę, która przechadzała się szybkim krokiem tam i z powrotem przed jej łóżkiem. Dlaczegoż więc poczułam, że łączą nas takie silne więzy – ciągnęła Emma – dlaczego? Jesteś ucieleśnieniem wszystkiego, czego nienawidzę, czym gardzę. Kiedy zobaczyłam cię na wiecu, uznałam, że przywiódło cię tam przeznaczenie. Przysłał, bo los tak chciał, bo twoje życie i moje musiało się nieuchronnie ze sobą spleść. Serce wskazało ci drogę wyjścia z otchłani nędzy moralnej, w jakiej żyjesz, i zaprowadziło cię ku nam, anarchistom.

Ewelina Nesbit potrząsnęła głową. Nic nie rozumiesz, powiedziała. I lzy znowu stanęły jej w oczach. Opowiedziała Emmie Goldman o dziewczynce w fartuszu. Opowiedziała jej o Tacie i o swoim drugim życiu w slumsach. A teraz straciłam ich. Straciłam mój promyk słońca. Zapłakała gorzko. Emma Goldman usiadła przy łóżku na bujanym fotelu i złożyła ręce na kolanach. Po chwili pochyliła się nad Eweliną Nesbit.

Rozumiem, gdybym cię nie zdemaskowała, Tata nie uciekłby od ciebie. Ale czy to ważne? Przestań się martwić. Prawda jest lepsza od kłamstwa. Kiedy ich odnajdziesz, będziesz mogła otwarcie patrzeć im w oczy, będziesz mogła być wobec nich taką, jaką w rzeczywistości jesteś. A jeżeli ich nie odnajdziesz, tym lepiej dla ciebie. Kto wie, które z nas jest narzędziem losu, a które zwykłym człowiekiem, kto jest przyczyną, kto żyje w innych ludziach i staje się z kolei przyczyną ich działalności. Czy wiesz, że w swoim czasie próbowałam zostać uliczną prostytutką? Jesteś pierwszą osobą, której to mówię.. Na szczęście zdemaskowano mnie jako nowicjuszkę i odesłano do domu. Było to na Czternastej Ulicy. Usiłowałam wyglądać jak prostytutka, ale nikogo nie nabrałam. Nie sądzę, żeby nazwisko Berkman, Alexander Berkman, coś ci mówiło. Ewelina potrząsnęła przecząco głową. Kiedy Berkman i ja mieliśmy po dwadzieścia kilka lat, byliśmy kochankami i rewolucjonistami. W Pittsburghu wybuchł wtedy strajk. W stalowni pana Carnegie'ego w Homestead. Pan Carnegie postanowił zniszczyć związek zawodowy, pojechał sam do Europy i pozostawił na placu pełnomocnika, tego łajdaka Henry'ego Clay Fricka. Frick sprowadził całą armię pinkertończyków. Robotnicy stalowni strajkowali., z powodu obniżki zarobków. Fabryka stoi nad rzeką Monongahelą, więc Frick przywiózł pinkertończyków łodziami i wysadził ich na brzeg, tuż pod stalownią. Wywiązała się walna bitwa. Można powiedzieć – wojna. Kiedy się skończyła, doliczono się dziesięciu zabitych i dziesiątki rannych. Pinkertończycy musieli się wycofać. Wtedy Frick zwrócił się do rządu o pomoc. Przybyła policja stanowa i otoczyła robotników. Wówczas Berkman i ja zdecydowaliśmy się na dokonanie zamachu. Żeby dodać ducha walczącym robotnikom, żeby zrewolucjonizować ich walkę. Postanowiliśmy zabić Fricka. Ale byliśmy w Nowym Jorku i nie mieliśmy pieniędzy ani na kolej, ani na kupno rewolweru. I właśnie wtedy nałożyłam na siebie haftowaną bieliznę i ruszyłam na Czternastą Ulicę. Jakiś starszy człowiek dał mi dziesięć dolarów i kazał iść do domu. Resztę pożyczyłam. Ale gdyby nie było innego wyjścia, zrobiłabym to, żeby zabić Fricka. A także dla Berkmana i dla rewolucji. Na dworcu pożegnałam go pocałunkiem. Miał zastrzelić Fricka i popełnić samobójstwo i w czasie rozprawy. Biegłam przez chwilę za pociągiem. Mieliśmy pieniądze na jeden tylko bilet. Powiedział, że do tego zadania wystarczy jedna osoba. Berkman wdarł się do gabinetu Fricka i strzelił do skurwysyna trzy razy. Trafił go w kark i szyję. Polała się krew. Frick osunął się na podłogę. Do gabinetu wpadli ludzie. Zabrali Berkmanowi rewolwer. Miał jeszcze nóż. Dźgnął Fricka w nogę. Wyrwali mu nóż. Wsunął sobie coś do ust. Siłą rozwarli mu szczęki. Była to kapsułka z piorunianem rtęci. Gdyby udało mu się ją rozgryźć, cały pokój i wszyscy znajdujący się w nim ludzie wylecieliby w powietrze. Odgięli mu głowę do tyłu. Wyjęli z ust kapsułkę. Pobili do utraty przytomności.

Ewelina uniosła się do pozycji siedzącej i oparła podbródek na kolanach. Emma Goldman wbiła wzrok w podłogę. Spędził osiemnaście lat w więzieniu, powiedziała, z tego kilka w pojedynce, w lochu. Poszłam na jedno widzenie. Nie miałam odwagi na więcej. A ten skurwiel Frick wykaraskał się i został bohaterem prasy. Opinia publiczna obróciła się przeciwko robotnikom, strajk został złamany. Twierdzono, że cofnęliśmy amerykański ruch robotniczy o czterdzieści lat. Żył wtedy jeszcze Most, stary, powszechnie szanowany anarchista, którego wielbiłam. Most wyrzekł się Berkmana i mnie w swojej gazecie. Kiedy spotkałam go na następnym wiecu, byłam przygotowana na wszystko. Kupiłam bat i zdzieliłam go tym batem wobec wszystkich zebranych. Potem zламаłam bat i cisnęłam mu w twarz. Berkman wyszedł z więzienia dopiero rok temu. Stracił wszystkie włosy. Ma cerę koloru pergaminu. Mój młody kochanek przemienił się w garbatego dziadkę. Oczy ma głęboko zapadnięte i podbite. Jesteśmy parą przyjaciół, ale tylko w teorii. Nasze serca nie biją już w tym samym rytmie. Mogę sobie wyobrazić to, co przecierpiał w więzieniu. Leżał tam w ciemnościach, w wilgoci, skuty kajdanami, we własnych ekskrementach. Ewelina wyciągnęła rękę, a Emma ujęła ją mocno w swoje silne dłonie. My to wiemy, powiedziała, ty i ja, wiemy, co to znaczy mieć ukochanego człowieka w więzieniu. Kobiety patrzyły na siebie. Przez chwilę w pokoju panowała cisza. Twój jest, oczywiście, pasożytem, zbrojnym, pijawką, wstrętnym sybarytą, powiedziała Emma. Ewelina wybuchnęła śmiechem. Świnia, dodała Emma, świnia o obłąkanej, głupiej świńskiej mentalności. Teraz obie zanosły się od śmiechu. O tak, nienawidzę go, krzyknęła Ewelina. Emma zamyśliła się. Mamy ze sobą wiele wspólnego, powiedziała, jesteśmy do siebie bardzo podobne, życie nasze jest nastrojone na tę samą nutę, splata się w przedziwny sposób – z punktu widzenia ludzkiej egzystencji jesteśmy siostrami. Czy ty to rozumiesz, Ewelino Nesbit? Wstała i pogłaskała Ewelinę po twarzy. Czy widzisz to, ty moja piękna dziewczyno?

Nagle Emma Goldman spojrzała na talię Eweliny i zmrużyła powieki. Czy ty nosisz gorset? – zapytała. Ewelina skinęła głową. Powinnaś się wstydzić. Spójrz na mnie, nawet z moją figurą nie mam na sobie nic, co by mnie krępowało, noszę odzież luźną i wygodną, pozwalam mojemu ciału swobodnie oddychać i żyć. Już rozumiesz, o co mi chodzi? Jesteś produktem męskich przesądów. A przecież fiszbiny są ci równie niepotrzebne jak nimfie wodnej. Chwyciła Ewelinę za rękę i posadziła ją na brzegu łóżka. Pomacała jej talię. O Boże, fiszbiny jak ze stali. Jesteś ciaśniej zasznurowana niż wór z pieniędzmi. Wstań! Ewelina posłusznie wstała, a Emma, z wprawą pielęgniarki, rozpięła jej bluzkę, ściągnęła, zdjęła z niej spódnicę, wreszcie rozwiązała tasiemkę od halki. Ewelina miała na sobie lekki gorset. Górna część gorsetu podnosiła jej piersi. Na dole, z przodu, przymocowane były tasiemki przeciągnięte pomiędzy nogami. Gorset był ciasno zasznurowany

na plecach. Cóż to za ironia, cała Ameryka uważa cię za sprzedajną bezwstydnicę, powiedziała Emma rozsznurowując gorset i ściągając go w dół. Wyjdź z tego, zażądała. Ewelina zrobiła, co jej kazano. Koszula przylegała jej do ciała, widać było na nim wyraźny zarys fiszbinów. Oddychaj głęboko, komenderowała Emma, podnieś ręce, rozprostuj nogi i oddychaj. Ewelina była jej posłuszna. Emma szarpnęła koszulę Eweliny i ściągnęła przez głowę. Potem przyklękła i zdjęła z niej koronkowe majtki. Wystąp z nich, zażądała. Ewelina posłuchała jej bez słowa. Stała teraz naga w świetle lampy, tyle że miała na sobie czarne, haftowane, bawełniane pończochy podtrzymywane elastycznymi podwiązkami. Emma zwinęła pończochy i Ewelina zrzuciła je z nóg. Skrzyżowała ręce na piersiach. Emma obracała Ewelinę, przyglądając się jej ze wszystkich stron. Zmarszczyła brwi. To cud, że twoja krew w ogóle krąży, powiedziała. Gorset pozostawił jaskrawoczerwone pręgi dokoła górnej części ud Eweliny. Kobiety zabijają się same, powiedziała Emma. Odchyliła kołdrę. Wyjęła z komody małą czarną torbę, taką, jaką zwykle noszą lekarze domowi. Masz piękne ciało, no zobacz, co z nim robisz. Połóż się. Ewelina przysiadła na łóżku i patrzyła, co Emma wyciąga z czarnej torby. Na brzuchu, powiedziała Emma. Otworzyła butelkę i wlała sobie na rękę jakiś płyn. Ewelina położyła się na brzuchu, a Emma zaczęła nacierać czerwone pręgi. Och, krzyknęła Ewelina, szczypie! To jest tonik ściągający, doskonale robi na krążenie krwi, powiedziała Emma masując energicznie pośladki i uda Eweliny. Ewelina kuliła się i jęczała przy każdym dotknięciu. Wbiła twarz w poduszkę, żeby nie krzyczeć. Rozumiem, mówiła Emma, ale jeszcze będziesz mi wdzięczna. Od tych energicznych zabiegów ciało Eweliny zdawało się powracać do życia. Drżała. Zaciskała uda, jakby broniąc się przed ożywczym chłodem toniku. Emma wyciągnęła z torby butelkę z oliwą i zabrała się do masowania karku, ramion, pleców i stóp. Powoli Ewelina zaczęła się odprężyć i poddawać wprawnym rękóm Emmy. Czuła, że odżywa. Jej skóra zaróżowiła się, ogarnęło ją wspaniałe uczucie powracającej samoświadomości. Na plecy! – zażądała Emma. Włosy Eweliny rozsypały się po poduszce, okalając jej twarz. Zamknęła oczy i uśmiechnęła się bezwiednie, podczas gdy Emma masowała jej piersi, brzuch, nogi. Tak nawet to, powiedziała przesuwając szybkim ruchem dłoń po wzgórzu Wenery. Musisz nabrać odwagi do życia. Przez chwilę zdawało się Ewelinie, że lampa przy łóżku przygasła. Położyła ręce na piersiach i zaczęła głaskać sutki. Potem opuściła je na biodra i pieściła je. Wypreżyła nogi jak baletnica, podwinęła palce stóp. Uniosła biodra, jakby na coś czekała. Emma Goldman stała teraz przy komodzie, tyłem do Eweliny i zakręcała buteleczki. Ewelina kołysała się na łóżku, niczym łódź na wodzie. I nagle w Szafie ściennej rozległ się chrapliwy, nieludzki ryk, młodszy brat matki wypadł z niej i runął na podłogę, z twarzą wykrzywioną w paroksyzmie krańcowej udręki. Ręce zacisnął tak mocno na nabrzmiałym członku, jakby chciał go udusić. Rozdygotany penis kpił sobie z jego zamiarów, podczas gdy on wydawał z siebie na przemian tłumione okrzyki rozpacz i ekstazy, a fontanna spermy rozpryskiwała się w powietrzu, niczym deszcz kul z pistoletu, i powoli opadała na ciało Eweliny jak konfetti.

W New Rochelle matka zamartwiała się całymi dniami o brata. Dzwonił od czasu do czasu z Nowego Jorku, ale nie mówił ani dlaczego wyjechał, ani gdzie mieszka, ani kiedy wróci. Mamrotał. Jeżeli w ogóle się odzywał. Matka wpadała w złość. Nie reagował. Po ostatniej rozmowie zdobyła się na to, żeby pójść i rozejrzeć się po jego pokoju. Panował tam jak zwykle porządek. Na stole stał przyrząd do napinania strun rakiet tenisowych. Na ścianach wisiały wiosła. Brat matki sam sprzątał pokój i nawet teraz, podczas jego nieobecności, nie było tam odrobiny kurzu. Na komodzie leżały szczotki do włosów. Łyżka do butów z kości słoniowej. Malutka muszelka w kształcie napastrka z' kilkoma ziarenkami piasku. Matka nigdy przedtem jej nie widziała. Na jednej ścianie wisiała wycięta z gazety reprodukcja rysunku Charlesa Dany Gibsona, do którego najwyraźniej pozowała ta nędzna kreatura Ewelina Nesbit. Brat matki pozostawił wszystkie swoje rzeczy. W szufladach komody leżały jego koszule i kołnierzyki. Matka zamknęła za sobą drzwi pokoju pełna poczucia winy. Cóż to za dziwny młody człowiek. Nigdy nie miał przyjaciół. Samotnik, mało aktywny, a nawet leniwy, czego nie usiłował, a może nie potrafił ukryć. Wiedziała, że ojca to niepokoi. A mimo to powierzył mu nowe odpowiedzialne zadanie.

Nie mogła podzielić się swoim niepokojem z dziadkiem, który spłodził brata matki w dość już podeszłym wieku i w tej chwili właśnie odseparował się właściwie całkowicie od życia. Dziadek miał dobrze ponad dziewięćdziesiątkę. Był emerytowanym nauczycielem greki i łaciny, których to języków uczył przez wiele lat całe pokolenia episkopalnych seminarzystów w Shady Grove College, w środkowym Ohio. Można by go nazwać prowincjonalnym klasykiem. Kiedy był małym chłopcem, w okręgu Hudson w rezerwacie dla osadników zwanym Western Reserve poznał Johna Browna i gdyby mu tylko pozwolono, opowiadałby o tym dwadzieścia razy dziennie. Od czasu wyjazdu ojca matka coraz częściej myślała o fermie rodziców w Ohio. Wspominała upalne lata przepełnione nieokreśloną nadzieją, gromadki czerwonoskrzydłych kosów unoszących się nad łąkami. Dom umeblowany był skromnie wiejskimi meblami. Krzesła były z sosnowego drzewa i miały oparcia z poprzecznych listew. Posadzki ułożono z szerokich, woskowanych i wypolerowanych desek. Kochała ten dom. Bawiła się z młodszym bratem na podłodze przed kominkiem. Ona wymyślała te zabawy. Zimą zaprzęgano do sani klacz Bessie, przywiązywano jej dzwoneczki do chomąta i pędzono po zasypanych śniegiem polach Ohio. Pamiętała brata z czasów, kiedy był młodszy od jej syna. Opiekowała się nim. W deszczowe dni siadali w stajni na sianie i wymyślali sobie najrozmaitsze zabawy. Było tam ciepło i przytulnie, konie rżały i parskały. W niedzielę rano nakładała różową sukienkę, bielutkie jak śnieg majtki i szła razem z całą rodziną do kościoła. Serce waliło jej w piersi z podniecenia. Z wyjątkiem czterech lat spędzonych na stacji w Cleveland, cała jej młodość upłynęła w Shady Grove. Jako dziewczynka miała wystające kości policzkowe, długie nogi i szare, skośne oczy. Zawsze myślała, że wyjdzie za mąż za któregoś z seminarzystów. Ale tuż przed skończeniem szkoły poznała ojca. Przejeżdżał przez Środkowy Zachód w poszukiwaniu nabywców na swoje flagi i patriotyczne ozdoby. Odwiedził ją w Shady Grove, gdzie zjawiał się w interesach dwa razy. Kiedy pobrali się i mąż wywiózł ją na Wschód, zabrała ze sobą ojca. Nieco później brat matki, który jakoś nie potrafił się nigdzie urządzić, także zamieszkał w New Rochelle. Teraz, w kwiecie wieku, sama w pięknym, nowoczesnym domu na szczycie wzgórza eleganckiej Broadview Avenue – towarzystwo małego synka i staruszka ojca w końcu się nie liczyło – poczuła się opuszczona przez mężczyzn i złościła się na siebie, bo ni stąd, ni zowąd o najrozmaitszych porach dnia czy nocy zalewała ją, bez ostrzeżenia, fala nostalgii. Otrzymała list z Komitetu Inauguracyjnego Partii Republikańskiej z zapytaniem, czy firma ojca wzięłaby udział w przetargu na materiały dekoracyjne i fajerwerki z okazji wielkiej parady i balu inauguracyjnego dla Tafta, który — jak przypuszczano — miał zostać w marcu następcą prezydenta Roosevelta. Była to zaiste historyczna chwila, ale jak na złość zarówno ojciec, jak i brat matki znajdowali się poza domem. Matka pobiegła do ogrodu, aby spokojnie rozważyć sprawę. Był koniec września i wszystkie kwiaty jesienne kwitły jak szalone. Szałwia, chryzantemy, nagietki. Matka przechadzała się wśród klombów z założonymi rękami. Chłopiec patrzył na nią z okna swojego pokoju. Zauważył, że posuwając się naprzód wprawia w ruch wahadłowy suknię. Rozkloszowana spódnica kołysała się i ocierała o trawę. Trzymał w ręku list od ojca, wysłany z Cape York, w północno-zachodniej Grenlandii. Przywiózł go do Stanów Zjednoczonych statek „Erik”, który powrócił stamtąd po dostarczeniu trzydziestu pięciu ton wielorybiego mięsa dla psów komandora Peary'ego. Matka przepisała list, a oryginał wrzuciła do śmietnika, bo zalatywał stęchłym tranem. Chłopiec wyciągnął list i tak długo gładził go drobnymi palcami, aż plamki tłuszczu na kopercie wtopiły się w papier czyniąc go półprzezroczystym, jak pergamin.

Podczas gdy chłopiec przyglądał się matce, ta wyłoniła się z cienia wielkiego klonu i złote jej włosy, spiętrzone według panującej podówczas mody na czubku głowy, zabłysły jak słońce. Stała przez chwilę bez ruchu, jakby się czemuś przysłuchiwała. Zakryła uszy rękami i powoli opadła na kolana przed klombem

chryzantem. Potem zaczęła rozgrzebywać rękami ziemię. Chłopiec oderwał się od okna i pognął do ogrodu. Przebiegł przez kuchnię. Przed nim pędziła już irlandzka służąca, wycierając ręce fartuchem.

Matka odkopła jakieś zawiniątko, strzepnęła z niego ziemię i położyła sobie na kolanach. Służąca wydała okrzyk grozy i przeżegnała się. Chłopiec chciał koniecznie zobaczyć, co matka znalazła, ale ona i służąca zasłaniały mu widok pochylając się nad zawiniątkiem, odgarniając zeń brudne grudki ziemi, tak że trudno mu było się przedostać. Matka silnie zbladła, na jej twarzy malowała się groza, kości policzkowe jakby się powiększyły i z pięknej kobiety, którą wielbił, zrobiła się nagle wystraszona staruszka. Po chwili okazało się, że matka znalazła niemowlę. Miało piasek w ustach i oczach. Było to małe, pomarszczone, z zamkniętymi powiekami, brunatne dziecko mocno zawinięte w bawełnianą kołderkę. Matka uwolniła mu rączki. Wydało z siebie cichy pisk i wtedy obie kobiety wpadły w histerię. Służąca uciekła do domu. Chłopiec pobiegł za matką. Maleńkie ramiona ciemnoskórego dziecka trzepotały w powietrzu.

Kobiety postawiły wanienkę na kuchenny stół i wykapały niemowlę. Miało na sobie krew, było niewątpliwie noworodkiem. Służąca obejrzała pępowinę i stwierdziła, że musiała zostać odgryziona. Owinęły je w ręczniki, po czym matka pobiegła do hallu i zatelefonowała po lekarza. Chłopiec uważnie obserwował niemowlę, żeby stwierdzić, czy oddycha. Nie ruszało się prawie. Po pewnym czasie chwyciło małutkimi paluszkami brzeg ręcznika. Powolnym ruchem obróciło głowę, jakby jego zamknięte oczy znalazły coś godnego obejrzenia.

Lekarz zajechał Fordem. Zaprowadzono go do kuchni. Przyłożył słuchawkę do chudej klatki piersiowej noworodka. Otworzył mu usta i wsunął palec do gardła. Co za ludzie, powiedział. Potrząsnął głową. Zacisnął usta. Matka opisała mu okoliczności, w jakich znalazła dziecko. Usłyszała cichy płacz dochodzący jakby spod ziemi i przez chwilę była pewna, że ma halucynacje. Co by to było, gdybym po prostu poszła dalej, powiedziała jakby do siebie. Doktor zażądał miski z gorącą wodą. Wyjął z torby jakiś instrument. Służąca zacisnęła rękę na zawieszonym na szyi krzyżyku. Rozległ się dzwonek i chłopiec poszedł za dziewczyną do frontowych drzwi. Przyjechali policjanci. Matka wyszła do nich i jeszcze raz opisała im wszystkie okoliczności. Jeden z policjantów zapytał, czy może zatelefonować. Telefon stał na małym stoliku przy drzwiach frontowych. Policjant zdjął hełm, przyłożył słuchawkę do ucha i czekał na zgłoszenie się telefonistki. Zrobił oko do chłopca.

Już po godzinie znaleziono w piwnicy jednego z pobliskich domów czarną dziewczynę. Była to praczka, która pracowała w niedalekim sąsiedztwie. Przywieziono ją do nas policyjnym wozem. Matka wyniosła dziecko, dziewczyna przycisnęła je do piersi i rozplakała się. Matka była przerażona jej młodym wiekiem. Dziewczyna miała twarz dziecka, piękną, ciemną, szczerą twarz, skórę koloru gorzkiej czekolady, włosy obcięte byle jak i zaniedbane. Obok niej siedziała pielęgniarzka. Matka cofnęła się na chodnik. Dokąd ją wieziecie? – zapytała lekarza. Do miejskiego przytułku, odpowiedział. Później będzie musiała stanąć przed sądem. Dlaczego? – chciała wiedzieć matka. Za usiłowanie morderstwa, jak sędzę. Czy ona ma rodzinę? – zapytała matka. Nie, proszę pani, odpowiedział policjant.

O ile nam wiadomo. Lekarz wcisnął melonik na głowę, poszedł do swego samochodu i położył torbę na siedzeniu. Matka nabrała oddechu w płuca. Zostawcie ją na moją odpowiedzialność, zażądała. Proszę ją zaprowadzić do domu. I ani dobre rady lekarza, ani protesty policjantów nie mogły jej odwieść od tego zamiaru.

I tak czarna dziewczyna i jej dziecko zamieszkały u nas, w małym pokoiku na poddaszu. Matka zadzwoniła do kilku osób, przepaszając, że nie może przyjść na zebranie Klubu Pań. Przechadzała się tam i z powrotem po salonie. Była bardzo zdenerwowana. Boleśnie odczuwała nieobecność męża i wyrzucała sobie, że bez protestu godziła się na jego wyjazdy. Nie mogła się z nim w żaden sposób skomunikować, naradzić w najważniejszych nawet sprawach. Wiedziała, że pozostanie bez wiadomości od niego aż do następnego lata. Skierowała wzrok na sufit, jakby go chciała przebić spojrzeniem. Czarna dziewczyna i jej dziecko wniosły do naszego domu niepokój i chaos, przeczucie nieszczęścia, które zagnieździło się w nim niczym zaraza. Matka była przerażona. Stanęła przy oknie. Każdego "ranka przechodziły pod naszym domem praczki, które wysiadały z trolejbusów na North Avenue i szły pod górę do okolicznych domów. Podobnie jak wędrowni włoscy ogrodnicy wynajmujący się do strzyżenia trawników. Przewalały się wozy naładowane ciężkimi bryłami lodu, obok których szli woźnice. Konie napinały się i z trudem ciągnęły pod górę ciężki, skrzypiący wóz.

Tego wieczoru czerwone jak krew słońce stoczyło się gwałtownie po górskim zboczu i zastygło. Chłopiec przebudził się w środku nocy i zobaczył, że przy jego łóżku siedzi matka i nie spuszcza z niego wzroku. Złote włosy zaplotła w warkocze, a kiedy nachyliła się, żeby go pocałować, poczuł na ramieniu ciepło jej pełnych, miękkich piersi.

Ojciec pisał codziennie przez wszystkie długie zimowe miesiące. Listy miały odejść dopiero wiosną, więc w gruncie rzeczy były czymś w rodzaju dziennika. Pomagały mu odmierzać czas płynący w niezmiennym półmroku. Członkowie ekspedycji żyli nadspodziewanie wygodnie na pokładzie „Roosevelta”, który – wyniesiony przez kry – tkwił w lodowej skorupie niczym orzech w lukrze. Peary korzystał z największych wygod. W jego kabinie stała nawet pianola. Był to potężnie zbudowany mężczyzna o wspaniale umięśnionej klatce piersiowej, gęstych rudych włosach przeplatanych siwizną i sumiastych wąsach. W czasie poprzedniej ekspedycji stracił wszystkie palce u stóp. Chodził więc dosyć dziwnie, szurał nogami, nie odrywając ich od podłogi. Ale mógł naciskać pedały pianoli. Przywiózł ze sobą nagrania najlepszych utworów Victora Herberta i Rudolfa Frimla, składankę piosenek studenckich i przeróbkę tak zwanego minutowego walca Szopena, którego potrafił wypedałować w ciągu czterdziestu ośmiu sekund. Jednakże członkowie ekspedycji nie spędzali zimowych miesięcy beczynnie. Polowano na piżmowoły, budowano sanie, na Przylądku Columbia w odległości stu czterdziestu pięciu kilometrów od statku wznoszono obóz-bazę. Stamtąd ekspedycja miała wyruszyć na podbój bieguna poprzez skute lodem morze. Wszyscy członkowie wyprawy uczyli się powożenia psimi zaprzęgami i budowania igloo. Mathew Henson, Murzyn i najbliższy współpracownik Peary’ego, kierował tymi przygotowaniem. W czasie swoich licznych ekspedycji Peary wypracował pewien system. Wszystkie, nawet najdrobniejsze szczegóły życia w arktycznych warunkach zostały przez niego przemyślane i były składową częścią tego systemu. A więc budowa sani i materiał, z jakiego powinny być zbudowane, asortyment zapasów żywnościowych, rodzaj puszek do ich konserwowania, sposób, w jaki należało je umocowywać na saniach, ubiór i bielizna członków ekspedycji, sposób zaprzęgnięcia psów, rodzaj noży, gatunek broni, zapalek i metoda utrzymywania ich w suchym stanie, wzór okularów chroniących oczy przed śnieżną ślepotą i tak dalej. Peary chętnie mówił o swoim systemie, który w zasadzie był oparty na obserwacji życia Eskimosów, w każdym razie na pewno, jeżeli chodzi o futrzaną odzież, odżywianie składające się głównie z mięsa miejscowej zwierzyny i posługiwanie się psimi zaprzęgami. Ojciec zrozumiał to zupełnie niespodzianie pewnego dnia, kiedy przypadkiem stojąc na nadbudówce był świadkiem awantury urządzonej przez Peary’ego Eskimosowi, który niezbyt starannie wywiązał się z powierzonego mu zadania. Po chwili Peary szurając nogami wszedł na pokład i mijając ojca powiedział mimochodem: Eskimosi to dzieci i trzeba ich tak traktować. Ojciec był skłonny zgodzić się z nim, chociażby dla świętego spokoju. Przypomniał sobie obserwację sprzed dziesięciu laty, kiedy na Filipinach walczył pod dowództwem generała Leonarda F. Wooda z partyzantami Sulu. Nasi mali czarni bracia muszą dostać nauczkę, powiedział wówczas jeden z oficerów sztabowych wbijając szpilkę w jakiś punkt na mapie. Eskimosi byli niewątpliwie prymitywni, ale sympatyczni, życzliwi, wrażliwi, solidni i zawsze skorzy do żartów. Lubili śmiać się i śpiewać. W samym środku zimy, kiedy noc trwała całą dobę, straszliwe sztormy odrywały wielkie kawały skał, wył wiatr i bywało tak potwornie zimno, że ojciec miewał halucynacje i zdawało mu się, że skóra na nim płonie, Peary i większość jego towarzyszy prowadzili nie kończące się dyskusje na temat teoretycznych przesłanek jego systemu i w ten sposób opanowywali strach. Eskimosów, którzy nie znali żadnych systemów, ale po prostu próbowali żyć w otaczających ich warunkach, nękał potworny lęk. Od czasu do czasu któraś z ich kobiet nagle zrywała z siebie odzież, wybiegała na dwór i w tę straszną zawieruchę tarzała się po lodzie. Mężowie siłą powstrzymywali je od samobójstwa. Ojciec utrzymywał się przy zdrowych zmysłach przez regularne prowadzenie dziennika. To był jego system na przeżycie, wywodził się z tradycji pisania i konceptualizmu. Ojciec zakładał, że ludzie, dając świadectwo prawdzie, zapewniają sobie przetrwanie sięgające daleko poza miejsce i czas, w którym żyją.

W tej skutej lodem ziemi zdawała się drzemać siła, która chwytająca człowieka za kark i zmuszała do patrzenia prawdzie w oczy. Rodziny eskimoskie gnieździły się we wszystkich zakamarkach statku, koczowały na pokładach i w lukach. Ludzie ci nie kryli się ze swymi intymnymi sprawami. Stosunki odbywały się bez rozbierania się, poprzez przecięcia w futrach, przy akompaniamencie pomrukiwań i okrzyków radości. Pewnego dnia ojciec natknął się na taką parę i ze zgorszeniem stwierdził, że kobieta rytmicznie kołysze biodrami, że porusza się w rytm ruchów męża. Z jej krtani wydobywał się niesamowity, zwierzęcy ryk. Tego ojciec nie mógł po prostu opisać w swoim dzienniku, użył więc swoistego szyfru. Był zdumiony faktem, że kobieta reagowała w ten sposób. Że brała czynny udział w stosunku. Ta brudna, bezzębna Eskimoska o płaskim czole, malutkich oczkach i wystających kościach policzkowych ryczała z radości i otwarcie współdziałała z mężem. Przypomniał sobie wstrzemięźliwość swojej matki, jej schludność i inteligencję i ze zgrozą pomyślał, że owa Eskimoska uważa się za osobę tej samej płci co ona.

Wreszcie nadeszła wiosna i pewnego ranka pomocnik Peary’ego, Mathew Henson, przywołał ojca i wskazał na południe. Niebo przecinała cieniutka świetlna smuga. W ciągu następnych kilku dni można już było rozróżnić odcienie ciemności, zrazu nieznaczące, potem coraz wyraźniejsze. Wreszcie któregoś poranka nad horyzontem ukazało się, przymglone co prawda, mimo to krwistoczerwone słońce, i to nie okrągłe, ale

odkształcone, eliptyczne, jak coś zupełnie nowo narodzonego. Wszyscy poweseleli. Ośnieżone szczyty zapłonęły wspaniałymi kolorami, różowością, zielenią, seledynem, ten bezkresny, wspaniały świat ofiarowywał swoje uroki każdemu, kto chciał je przyjąć. Niebo pobłękitniało i Peary oświadczył, że można ruszyć na podbój bieguna.

W przeddzień odjazdu ekspedycji ojciec udał się z Mathew Hensonem i trzema Eskimosami na poszukiwanie ptasich jaj. Zajęło im to pół dnia. Wspinali się po skałach z workami z foczych skór przerzuconymi przez ramię i wybrali z gniazd kilka tuzinów jaj, wspaniały przysmak w warunkach arktycznych. Ptaki krążyły z wrzaskiem nad ich głowami, a kiedy odrywały się nagle od skał, robiły wrażenie opadających kamieni. Ojciec nigdy w życiu nie widział takiej chmary ptactwa. Były to alki i fulmary. Eskimosi rozciągali pomiędzy skałami sieci, w które zaplątywały się ptaki. Potem składali sieci, związywali je i robiły się z tego szare, podrygujące, żałośnie ćwierkające worki. Kiedy ojciec i jego towarzysze złapali tyle ptaków, ile zdołali udźwignąć, zeszli na dół i wzięli się do ich zabijania. Fulmarom, które były mniej więcej wielkości mew, skręcano karki. Sposób, w jaki zabijano malutkie, Bogu ducha winne alki, zdumiał ojca. Eskimosi naciskali po prostu miejsce, w którym znajdowało się małe serduszko ptaka. Ojciec przyglądał się temu przez pewien czas, a potem postanowił sam spróbować. Wziął ptaszka do jednej ręki i kciukiem drugiej delikatnie nacisnął miejsce, w którym trzepotało się jego serduszko. Główka ptaszka opadła. Nie żył. Eskimosi przepadali za mięsem alk i zgodnie z tradycją marynowali je w workach z foczych skór.

W powrotnej drodze ojciec i Mathew Henson mówili o sprawie pasjonującej wszystkich członków ekspedycji: komu przypadnie honor pójścia z Pearym na sam biegun. Przed odjazdem z Nowego Jorku komandor oświadczył im bez ogródek, że on i tylko on będzie odkrywcą bieguna, a im przypadnie jedynie częśćka jego sławy. Poświęciłem całe życie dla tej jednej chwili, powiedział Peary, chcę ją mieć wyłącznie dla siebie. Ojciec uznał jego punkt widzenia za racjonalny. Odnosił się do niego z szacunkiem amatora do zawodowca.

Jednakże Mathew Henson uważał, że prócz Eskimosów jeszcze jeden przynajmniej człowiek powinien towarzyszyć Peary'emu na sam biegun, i z całym należnym szacunkiem wyraził nadzieję, że to on nim będzie. Ojciec zgodził się w zasadzie z Hensonem, który odbył z Pearym wiele ekspedycji i znakomicie znał Arktykę. Powoził zaprzęgiem psów niemal równie sprawnie jak Eskimosi, potrafił zreperować sanie, budować obozy, był niezwykle silny i odznaczał się mnóstwem różnych umiejętności. Ale teraz z niewiadomych przyczyn rozdrażnił ojca swoją pewnością siebie. Ojciec zapytał więc Murzyna, skąd wie, że Peary wybierze jego. Stali na szczycie stromego wzgórza, gdzie się zatrzymali, żeby dać odpocząć psom, i patrzyli na ciągnącą się pod nimi ogromną, białą, zaśnieżoną przestrzeń. W tym momencie słońce przedarło się przez chmury i cała ziemia zabłysła niczym gigantyczne lustro. No cóż, proszę pana, uśmiechnął się Mathew Henson, ja to po prostu wiem.

Nazajutrz ekspedycja ruszyła na północ poprzez lodowe pola. Podzielono się na kilka grup złożonych z jednego albo dwóch białych ludzi, kilku młodych Eskimosów, zaprzęgu z psów, z czterech lub pięciu par sani. Każda grupa miała być po kolei – z wyjątkiem grupy Peary'ego – forpocztą i przebijając drogę towarzyszom, a potem zawrócić pozostawiając Peary'emu i jego stosunkowo mało zmęczonym ludziom ostatni stumilowy odcinek do przebycia. Taki był w każdym razie plan Peary'ego. Najtrudniejsze okazało się przebijanie drogi. Była to praca niebezpieczna i potwornie męcząca. Musieli kilofami rozbijać bloki lodu, podciągać i pchać w górę ciężkie sanie, a potem je trzymać, kiedy zsuwały się w dół, często do góry płozami. Każda para san miała ładunek o wadze ponad sześciuset funtów, składający się z narzędzi i żywności. Sanie często psuły się, wtedy trzeba je było rozładowywać i reperować, związując sznurami pęknięte części – a tego nie dało się robić w rękawiczkach. Natrafiali na kanaliki w polach lodowych, przez które można było przejść brodząc – jeżeli były płytkie – albo skacząc po krach, które obijały się o siebie z hukiem przypominającym armatnie wystrzały. Wody w nich kotłowały się równie gwałtownie, jak wody oceanu. Znienacka, bez żadnego ostrzeżenia, opadała mgła i przesłaniała sobą słońce. Czasami nie było innej rady i musieli się czołgać po cienkich taflach formującego się lodu. Wszyscy bali się utkwic aa dryfującej krze. Nieustanną udręką był porywisty wiatr, który w temperaturze pięćdziesięciu czy sześćdziesięciu stopni Fahrenheita poniżej zera zdawał się tworzyć w powietrzu ostre kryształki raniące płuca. Każdy oddech pozostawiał warstewkę lodu na brodzie i na zamrzniętych brzegach futrzanych kapturów. Wszyscy członkowie ekspedycji mieli na sobie przepisowe obuwie z miękkiej foczej skóry, spodnie z niedźwiedziego futra i watowane kurtki z kapturami ze skóry renów, ale nawet ta odzież, tak podobna do odzieży tubylców, kruszała po prostu od mrozu. Słońce stało teraz nad horyzontem przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pod koniec każdego dnia i po przemierzeniu około piętnastu mil pionierska grupa zakładała obóz złożony z kilku igloo, potem karmiono psy, rozplątywano zmarzniętą uprząż, zapalano spirytusowe kuchenki, gotowano wodę na herbatę i przyrządzano posiłek złożony z mrożonego pemmikanu i sucharów. Powoli, przez cały miesiąc marzec, ekspedycja Peary'ego przebijając się na północ. Grupy, jedna po drugiej, zwracały do głównej bazy, torując powrotną drogę swoim towarzyszom. Codziennie Peary zjawiał się ostatni w obozie, zajmował igloo zbudowane dla niego przez Hensona, po czym

Murzyn zajmował się jego psami, reperował uszkodzone sanie, przygotowywał posiłek i rozmawiał z Eskimosami, którzy stawali się coraz trudniejsi w pożyciu. Peary wymagał od Eskimosów dwóch zalet: lojalności i posłuszeństwa, mniej więcej tego samego, co od psów. Kiedy dotarli na odległość stu mil od bieguna, Peary rzeczywiście wyznaczył Hensona na towarzysza ostatniego odcinka drogi. Henson z kolei wybrał najlepszych jego zdaniem i najbardziej oddanych komandorowi Eskimosów. Reszta ekspedycji zawróciła do bazy.

Ojciec należał do pierwszej grupy i kazano mu wracać już po tygodniu. Okazał się nie najsilniejszym uczestnikiem ekspedycji. Nie żeby brakło mu odwagi, jak powiedział Peary, zanim się z nim pożegnał, ale dlatego, że był wyjątkowo nieodporny na mróz. Na przykład codziennie drętwiała mu od mrozu lewa pięta, żeby ją nie wiadomo czym smarował. Podobnie miała się rzecz z lewym kolaniem i wierzchem jednej dłoni. Co wieczór w obozie ojciec powoli rozmrażał zdrętwiałe kończyny. Był to zabieg bolesny. Smarował je najrozmaitszymi maściami, ale nic nie pomagało i nazajutrz powtarzała się ta sama sytuacja. Ojciec miał po prostu na ciele kilka wrażliwych miejsc. Peary twierdził, że zna wiele takich przypadków, że nie ma na to żadnej rady, że taki już jest ojca los. Peary nie był złym dowódcą i bardzo lubił ojca. Podczas długich, zimowych miesięcy spędzonych na pokładzie „Roosevelta” często ze sobą rozmawiali i odkryli, że należą do tej samej ogólnokrajowej korporacji studenckiej, co wytworzyło pomiędzy nimi pewną więź. Jednakże Peary spędził całe życie na przygotowaniach do wyprawy i teraz myślał wyłącznie o pomyślnym jej zakończeniu. Klub ojca wpłacił sporą sumę na fundusz Peary’ego i za to jeden z jego członków dotarł na szerokość geograficzną siedemdziesiątego drugiego stopnia i czterdziestej szóstej minuty, a to było nie byle jakim wyczynem. Zanim ojciec ruszył w powrotną drogę, wręczył Peary’emu amerykańską flagę, którą kazał uszyć specjalnie na tę okazję. Sporządzona z naturalnego jedwabiu, była wcale niemała, ale można ją było złożyć do rozmiarów chusteczki. Peary podziękował ojcu, wsunął flagę między futra, upomniał go, żeby uważał na znaki, i kazał powrócić na pokład „Roosevelta” w towarzystwie trzech niezadowolonych Eskimosów.

Peary znajdował się w odległości jednego dnia drogi od swojego życiowego celu. Ponaglił Hensona i Eskimosów bezlitośnie, nie pozwalając im spać dłużej niż godzinę czy dwie po każdym morderczym dniu. Słońce świeciło, na błękitnym niebie stał księżyc w pełni, gigantyczne, skute lodem biodra ziemi drżały i wznosiły się konwulsyjnymi ruchami ku księżycowi. Dziewiątego kwietnia, w samo niemal południe, Peary kazał się Hensonowi zatrzymać i zbudować wał ze śniegu, za którym się schronił, żeby przeprowadzić kilka obserwacji. Położył się na brzuchu. Wyjął ze skrzynki miseczkę z rtęcią, sekstant, papier i ołówek i obliczył swoje położenie. Wynik nie zadowolił go. Przesunął się trochę naprzód po krze i powtórzył obliczenie. I ten wynik nie wydawał mu się zadowalający. Przez cały dzień Peary przesunął się na swoich kalekach nogach to milę naprzód, to milę w tył i robił obliczenia. Nic mu się nie zgadzało. Postąpił kilka kroków na północ i okazywało się, że przesunął się na południe. Na tej rozmokłej planecie ruchome wody nie dawały się ujarzmić. Peary nie mógł znaleźć miejsca, o którym mógłby bez wahania powiedzieć, że jest to Biegun Północny. Jednakże był pewny, że na nim stoi. Wszystkie obserwacje razem wzięte potwierdzały to niezbitcie. Krzyknij trzy razy: hurra!, mój chłopcze, zwrócił się Peary do Hensona. I rozwiń flagę. Henson i Eskimosi wrzasnęli: hurra! Ale wycie wiatru zagłuszyło ich głosy. Flaga rozwinęła się i zatrzepotała. Peary szybko ustawił przed nią Hensona i Eskimosów i zrobił im fotografię. Na zdjęciu tym widać pięć krępych postaci otulonych w futra. Za nimi, na samym szczycie lodowego pagórka, który może uchodzić za prawdziwy biegun, powiewa amerykańska flaga. Z powodu kiepskiego światła twarze ludzi są rozmydlone. Pięć ciemnych plam obramowanych kapturami z futra renów.

Tymczasem w Stanach Zjednoczonych zachodziło wiele ważnych zmian. Wybrano nowego prezydenta. Był nim William Howard Taft, który w chwili, kiedy obejmował urząd, ważył sto sześćdziesiąt dwa kilogramy. W całym kraju mężczyźni zaczęli się sobie przyglądać. Byli przyzwyczajeni do wypijania ogromnych ilości piwa. Chleb jedli całymi bochenkami i opychali się wędliną z odpadków mięsa, która piętrzyła się na kontuarach barów. Dostojny Pierpont Morgan pochłaniał codziennie obiad złożony z siedmiu, ośmiu dań. Na samo tylko śniadanie zjadał befsztyki, kotlety, jajka, naleśniki, rybę z rusztu, bułki, masło, świeże owoce i śmietankę. Jedzenie uznane zostało za sakrament sukcesu. Człowiek dźwigający przed sobą wielki brzuch był ideałem mężczyzny w kwiecie wieku. Kobiety umierały w szpitalach z powodu pęknięcia pęcherza, na płuca, na niewydolność krążenia, na zapalenie opon mózgowo-rdzeniowych. Jeżdżono do kurortów, gdzie kapano się w wodach siarczanych i stosowano środki przeczyszczające dla pobudzenia apetytu. W Ameryce panował kult stolca. Wszystko zaczęło się radykalnie zmieniać z chwilą, kiedy Taft wprowadził się do Białego Domu. Fakt, że właśnie on objął ów mityczny urząd, który w tak szczególny sposób działa na wyobraźnię Amerykanów, przyniósł im. Jego ogromne cielsko było jakby apoteozą wulgarności. Moda zmieniła się i odtąd tylko ludzie biedni byli otyli.

W tej dziedzinie, podobnie jak w wielu innych, Ewelina Nesbit wyprzedziła swą epokę. Jej dawny kochanek, Stanford White, był tęgi, tak jak wymagała moda, mąż jej, Harry K. Thaw, nieco od niego niższy, miękki i rozłożysty, ale nowy kochanek, młodszy brat mojej matki, był smukły i krzepki jak młode drzewo. Kochali się namiętnie, bez pośpiechu i doprowadzali się nawzajem do tak wspaniałych orgazmów, że nie było powodu do jakichkolwiek rozmów. Ewelina nigdy nie potrafiłaby się oprzeć komuś, kto byłby nią do tego stopnia zafascynowany. Codziennie jechała z młodszym bratem matki do wschodniej części Dolnego Manhattanu, żeby szukać Taty i dziewczynki. Mieszkanie na Hester Street stało puste. Ewelina wynajęła je i odkupiła od właściciela jego nędzne umeblowanie. Całymi godzinami siedziała na krześle pod oknem wychodzącym na podwórze. Dotykała różnych przedmiotów, talerzy, kołder, jak ślepiec odcyfujący pismo Braille'a. Potem wybuchała płaczem i młodszy brat matki pocieszał ją na wąskim, mosiężnym łóżku.

Kiedy rozpoczął się proces Harry'ego K. Thawa, sfotografowano Ewelinę przed gmachem sądu. Fotografów nie wpuszczano na rozprawę, więc w pismach ilustrowanych ukazywały się jej portrety rysowane przez specjalnych wysłanników gazet. Na sali sądowej rozlegało się skrzypienie stalówek po papierze. Kiedy Ewelina została powołana na świadka, opowiedziała sądowi, że kiedy miała piętnaście lat, huśtała się pewnego dnia na wyściełanej czerwonym aksamitem huśtawce i wtedy zauważył ją zamożny architekt i zachwycił się kształtem jej odsłoniętych łydek. Zachowywała się godnie, głowę nosiła wysoko. Była bardzo gustownie ubrana. Została pierwszą gwiazdą seksu w Ameryce. Dwie grupy społeczne zauważyły to natychmiast. Do pierwszej należeli ludzie biznesu, ściśle mówiąc, eksperci z dziedziny rachunkowości, i pewna firma produkująca płaszcze i ubrania, która zajmowała się na boku również pokazami ruchomych obrazów, czyli urządzaniem – jak się wówczas mówiło – seansów filmowych. Kilku tych panów zafrapował fakt, że podobizna Eweliny ukazująca się na pierwszej stronie gazety przyczyniała się do wyprzedania całego nakładu. Zrozumieli, że występuje tu zjawisko amplifikacji, że są wydarzenia, które nadają niektórym postaciom szczególnego znaczenia. Postaci te z reguły posiadały jakąś zupełnie nadrzędną, atrakcyjną cechę, która eliminowała wszystkie inne, mniej atrakcyjne. Biznesmeni ci zaczęli się zastanawiać nad tym, czy można by kreować takie postaci, i to niezależnie od przypadkowych wydarzeń, które wynoszą je na powierzchnię, ale przez stosowanie różnych dostępnych środków. Gdyby to się udało, znacznie więcej ludzi zaczęłoby chodzić do kin. W ten sposób Ewelina przyczyniła się do powstania koncepcji gwiazdy filmowej, stała się pierwszą boginią seksu i prototypem wszystkich następnych – od Thedy Bara począwszy, a na Marilyn Monroe skończywszy. Druga interesująca się Eweliną grupa społeczna składała się z przywódców związkowych, anarchistów i socjalistów, którzy słusznie doszli do wniosku, że będzie się ona mogła stać w przyszłości większym zagrożeniem dla interesów klasy robotniczej niż właściciele kopalń czy fabrykanci stali. Emma Goldman przemawiając w Seattle przed członkami Międzynarodowej Organizacji Robotników powołała się na robotnicze pochodzenie Eweliny Nesbit wołając, że los tej kobiety winien być ostrzeżeniem dla córek i sióstr biednych ludzi, które są wykorzystywane przez bogaczy. Na sali rozległ się śmiech, sprośne uwagi i wrzaski. Wśród zgromadzonych tam mężczyzn byli sami niemal aktywiści, działacze związkowi, ludzie świadomi sytuacji swojej klasy. Goldman napisała list do Eweliny: Robotnicy często stawiają mi pytanie, jak to się dzieje, że wielkie masy ludzkie pozwalają się wyzyskiwać kilku bogaczom. Odpowiedź na to pytanie brzmi: bo nakłania się je do identyfikowania się z nimi. Robotnik przynosi do domu gazetę z twoją podobizną na pierwszej stronie, patrzy na swoją żonę – nieszczęsną, zaharowaną szkapę z zylakami na nogach – i nie marzy już o sprawiedliwości, ale o tym, jak się wzbogacić.

Ewelina nie wiedziała, co na to odpowiedzieć. W dalszym ciągu zeznawała w sądzie zgodnie z tym, do czego się zobowiązała. Pokazywała się publicznie w towarzystwie krewnych Thawa i starała się za pomocą gestów i czułych spojrzeń sprawiać wrażenie kochającej żony. Harry'ego odmalowywała jako człowieka, który instynktownie stanął w obronie honoru własnego i młodej żony. Grała swoją rolę bezbłędnie. Słyszała skrzypienie stalówek po papierze. Adwokaci i urzędnicy sądowi w okularach na nosie, w koszulach z celuloidowymi kołnierzykami gładzili nerwowo wąsy. Wszyscy obecni na sali ubrani byli na czarno. Ewelina zastanawiała się nad tym, co to za ludzie, którzy przez całe życie są świadkami takich scen. Sędziowie i adwokaci, ławnicy i policjanci, prokuratorzy i przysięgli, wszyscy oni czekali na taką właśnie rozprawę. Znowu słyszała skrzypienie stalówek. Na korytarzu siedzieli psychiatrzy, którzy mieli zeznać, że Harry jest umysłowo chory. Ale on nie zgadzał się na taką linię obrony. Nie mógł się zmusić do odgrywania roli wariata. Jego matka, dostojna matrona, namawiała go do tego. Bała się bowiem, że syn skończy na krześle elektrycznym. Ewelina obserwowała Harry'ego. Kiedy zeznawał, zastanawiała się, czy to oszalałe serce uspokoi się kiedykolwiek. Na twarzy tego człowieka malowały się wszystkie jego odczucia. Kiedy ktoś mówił coś zabawnego, uśmiechał się. Kiedy padały słowa smutne, spuszczał oczy. Kiedy wymieniano nazwisko Stanforda White'a, marszczył brwi. Przybierał pozy wyrażające to skrucę, to absolutną pewność siebie, to płomienne oburzenie. Żeby tak reagować, musiał się bardzo koncentrować. Kiedy wchodził na salę lub wychodził z niej, był zrównoważony i uprzejmy – istny okaz rozsądku.

Pewnego dnia Ewelina pomyślała sobie nagle, że Harry być może rzeczywiście ją kocha. To nią wstrząsnęło. Spróbowała przeanalizować ich wzajemne stosunki. Stosunki łączące ich troje. Po raz pierwszy poczuła dojmujący żal z powodu śmierci Stanforda White'a, z powodu utraty Stanny'ego. On pomógłby jej na pewno dotrzeć do sedna sprawy. I jeszcze by sobie podowcipkował na ten temat. Taki już był. Stary lubieżnik w łóżku, który lubił się śmiać. Wiedziała, co robić, żeby doprowadzić go do szału, podobnie zresztą jak Harry'ego. Ale ze Stannym było jej lepiej. Zostawiał ją często samą, gdy musiał iść na jakąś budowę, a Harry nie odstępował jej ani na krok, bo przecież w ogóle nie pracował. Harry był po prostu tylko bardzo bogatym człowiekiem. Poczuła wielką potrzebę porozmawiania z kimś na te tematy, a jedynym człowiekiem, z którym mogłaby to zrobić, był kochanek, za którego śmierć była bezpośrednio odpowiedzialna. Napisała więc list do Emmy Goldman na bładniebieskim, kosztownym papierze listowym z nadrukiem: Mrs Thaw. Cóż ja takiego zrobiłam? – zapytywała Emmę. Odpowiedź nadeszła z Kalifornii, gdzie Emma Goldman zbierała pieniądze na fundusz obrony braci McNamara, oskarżonych o wysadzenie w powietrze gmachu „Timesa” w Los Angeles. Nie przeceniaj swojej roli w stosunkach, jakie łączyły tych dwóch ludzi.

Tymczasem w procesie Harry'ego obradowali już przysięgli. Nie mogli dojść do żadnego porozumienia. Zarządzono nową rozprawę. Ewelina znowu zeznawała tymi samymi słowami, używając tych samych gestów. W końcu zamknięto Harry'ego K. Thawa na czas nieograniczony w szpitalu Matteawan dla umysłowo chorych przestępców. Prawie natychmiast po zakończeniu procesu jego adwokaci wnieśli sprawę o rozwód. Ewelina wyraziła zgodę. Jej cena wynosiła milion dolarów. Następnie prywatni detektywi dostarczyli sądowi dowodów na to, że zdradzała męża z młodszym bratem matki i kilkoma innymi mężczyznami, których sobie wymyślili, i sprawa rozwodowa zakończyła się bez większego rozgłosu, przyznaniem pozwanej dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Ewelina siedziała na łóżku w apartamencie hotelowym, z którego musiała się za kilka dni wyprowadzić, bo był teraz dla niej za drogi, trzymała w ręku wieczorowe pantofelki i gapiła się na nie. Zabiegi miłosne młodszego brata matki nie robiły na niej dzisiaj żadnego wrażenia. Przypomniała sobie, co powiedziała jej Emma Goldman, kiedy widziały się ostatnio w Nowym Jorku. Thaw dawał ci zawsze tylko tyle pieniędzy, ile uznawał za stosowne. Prawo rządzące losami ludzi bogatych jest takie, że ci ludzie zarabiają na pieniądzach, które im się zabiera. Tak to już jest. Każdy wyłacony ci dolar przynosił mu zysk. A teraz zostaniesz z niewielką sumą, którą szybko wydasz i roztrwonisz, i wkrótce będziesz równie biedna jak wtedy, kiedy zaczynałaś. Ewelina wiedziała, że Emma ma rację. Nawet pieniądze, które teraz posiadała, a które stanowiły podstawę jej egzystencji, budziły w niej uczucie niepokoju. Była pewna, że wkrótce w jej życiu zjawi się mężczyzna, który w mówi jej, że ją kocha, zabierze pieniądze i złamie serce. To gorzkie przeświadczenie zawdzięczała Emmie Goldman, która odmalowała dwa obrazy: jeden przedstawiający wszystkie cechy charakteryzujące system kapitalistyczny, a więc zachłanność, barbarzyństwo, głód, niesprawiedliwość i śmierć, oraz drugi, ukazujący błogą utopię, w której nikt nikim nie rządził, gdzie wszyscy byli sobie równi, pracowali jednakowo i dzielili się ze sobą wszystkim, co zarobili. Ewelina zaczęła łożyć pieniądze na anarchistyczne pismo Emmy Goldman, zwane „Matka Ziemia”, żeby uchronić je przed bankructwem. Popierała najrozmaitsze radykalne organizacje zwracające się do niej o pomoc, bo rozeszła się wieść o tym, że zaczęła się interesować polityką. Opłacała adwokatów broniących aresztowanych przywódców robotniczych. Wspomagała rodziców dzieci okaleczonych w czasie pracy w fabrykach i kopalniach. Bez chwili zastanowienia rozdawała cały swój z tak wielkim wysiłkiem zdobyty majątek. Czyniła to anonimowo, bez rozgłosu. Nic jej nie bawiło. Spoglądała do lustra i stwierdzała, że twarz jej przestaje być dziewczęcą i przemienia się nieuchronnie w twarz dojrzałej kobiety. Patrzyła na długą smukłą szyję jak na łądygę, na której kołysze się śmieszna głowa starzejącej się

ladacznicy o smutnych oczach. Płakała, tęskniła za ciepłym ciałem Stanforda White'a. Przez cały ten czas młodszy brat matki nie odstępował jej ani na krok i jak pies czekał na każde skinienie. Ale nie miał umiejętności pocieszania. Nie umiał jej rozśmieszać, mówić do niej jak do dziecka, opowiadać o brylantach, nie prowadził do restauracji, gdzie kelnerzy skakaliby dokoła niego i kłaniali mu się w pas. Mógł jej tylko ofiarować swoje życie, spełniać każde jej najdrobniejsze życzenie. Kochała go, ale marzyła o mężczyźnie, którego mogłaby źle traktować i który by i ją traktował źle. Marzyła o mężczyźnie, który by ją zmusił do myślenia, który by znowu pobudził jej ambicję.

A co działo się tymczasem z Tata i jego córeczką? Po wiecu stary artysta przesiedział całą dobę w mieszkaniu, nie jadł, milczał, palił papierosy marki Sobranie i rozmyślał o swoim nieszczęsnym losie. Od czasu do czasu patrzył na dziecko i zdając sobie sprawę z nieuchronnej zagłady, na jaką skazana jest jej niezwykła uroda, jeżeli nie skończy się ta udreka, przyciskał ją do piersi i oczy zachodziły mu łzami. Mała milcząc gotowała skromne posiłki, a jej ruchy tak bardzo przypominały mu ruchy jej matki, że w końcu poczuł, iż nie zniesie tej sytuacji ani chwili dłużej. Wrzucił całą odzież do zapleśniałej walizki, której pasy od dawna sparciały, owiązał sznurkiem, ujął dłoń małej i wraz z nią opuścił na zawsze nędzne dwupokojowe mieszkanie przy Hester Street. Podeszli do skrzyżowania i wsiedli do tramwaju nr 12, który zawiózł ich na Union Square. Tam przesiedli się do ósemki i pojechali Broadwayem w kierunku północnym. Było późne letnie popołudnie, okna wagonu otwarte. Ulice roiły się od samochodów i taksówek, które trąbiły na siebie nieustannie. Trolejbusy mijaly ich całymi rzędami. Dzwoniły niemal bez przerwy. Pałaki, przesuwające się po drutach, wywoływały małe błyskawice, rozświetlając niebo rozciągnięte jak namiot nad miastem. Tata nie miał pojęcia, dokąd jedzie. Mała trzymała go kurczowo za rękę. Wpatrywała się poważnymi, ciemnymi oczami w tłum przewalający się chodnikami Broadwayu. Mężczyźni mieli na sobie białe drelichowe spodnie, granatowe blezery i słomkowe kapelusze, kobiety powiewne białe suknie. Na markizach teatrzyków wodewilowych migotały zrobione z żarówek napisy. W trzy godziny później byli już na Webster Avenue w Bronxie i wciąż jechali na północ. Na niebo wpłynął księżyc, powietrze ochłodziło się, wagon sunął po szerokim bulwarze, z rzadka zatrzymując się na przystankach. Wkrótce zobaczyli pokryte trawą działki i będące w budowie osiedla mieszkaniowe. Wreszcie skończyły się wszelkie światła i dziewczynka zauważyła, że jadą wzdłuż wielkiego cmentarza położonego na zboczu wzgórza. Nagrobki i mauzolea, rysujące się na tle ciemnego nieba, przywiodły jej na myśl los matki. Po raz pierwszy zapytała ojca, dokąd ją wiezie. Zamknął okno, bo wiał teraz przykry, chłodny wiatr, który wdzierał się do rozkołysanego, zgrzytającego wagonu. Byli jedynymi pasażerami. Sza, powiedział Tata. Zamknij oczy. Cały swój majątek – trzydzieści dolarów – Tata rozparcelował po kieszeniach, a częściowo ukrył w butach. Postanowił już nigdy nie wrócić do Nowego Jorku, miasta, które zrujnowało mu życie. W owych czasach istniała w naszym kraju doskonale rozwinięta sieć międzymiastowych tramwajów. Można było przemierzać wielkie przestrzenie siedząc na niewygodnych, wyplatanych albo drewnianych ławach, jadąc od końca jednej linii i przesiadając się na następną. Tata nie miał pojęcia, dokąd jedzie. Postanowił po prostu pojechać tak daleko, jak tylko tramwaj go zawiezie.

Tuż po północy zajechali do miasta Mount Vernon w stanie Nowy Jork, gdzie powiedziano im, że następny tramwaj odjeżdża dopiero o świcie. Weszli do niewielkiego parku i przesпали się w muszli orkiestrowej. Rano umyli się i odświeżyli w publicznym szalecie. Kiedy słońce wzeszło, wsiedli do wagonu pomalowanego w kolorach jasnoczerwonym i żółtym. Konduktor powitał ich wesoło. Tata zapłacił pięć centów za siebie, dwa za małą. Na drewnianej podłodze tylnej platformy stały skrzynki pełne połyskliwych, wilgotnych butelek z mlekiem. Tata zapytał konduktora, czy mógłby kupić butelkę mleka. Ten spojrzał na niego, potem na małą, kazał mu wyjąć jedną, ale nie zaczekał na pieniądze. Pociągnął za łańcuch, zadzwonił i wagon ruszył. Konduktor zaczął śpiewać. Był to tęgi mężczyzna o wydatnym brzuchu, obdarzony niezłym tenorem. Do paska miał przytroczony automat do rozmienniania pieniędzy na drobne. Trochę później wagon zatrzymał się w New Rochelle i zaczął powoli jechać Ulicą Główną. Słońce stało już wysoko, ruch na ulicy spory, miasteczko tętniło życiem. Konduktor powiedział Tacie, że jeżeli chce przeciąć miasto i jechać dalej, to musi przesiąść się na rogu North Avenue na Post Road Shore Line i dopłacić jednego centa. Tata i mała wysiedli więc na rogu Ulicy Głównej i North Avenue i stanęli na przystanku. Minął ich mały chłopiec w towarzystwie matki. Mała spojrzała na chłopca. Miał rozwichrzoną, płową czuprynę. Ubrany był w marynarską bluzkę i granatowe spodnie, białe skarpetki i czyste, białe, sznurowane buciki. Trzymał matkę za rękę, a gdy mijal dziewczynkę stojącą na przystanku ze starym ojcem, spojrzał jej prosto w oczy. W tej samej chwili nadszedł tramwaj w kierunku Post Road, Tata chwycił córkę mocno za przegub ręki, pociągnął ją na jezdnię i wsiadł z nią do wagonu. Stała na tylnej platformie i patrzyła na chłopca, aż zniknął jej z oczu. Jego oczy były niebiesko-żółto-zielone, jak szkolny globus. Tramwaj sunął Post Road, równoległą do linii wybrzeża Zatoki Long Island, w kierunku granicy stanu Connecticut. W Greenwich ojciec i córka przesiedli się jeszcze raz. Przejechali przez miasta Stanford i Norwalk do Bridgeport, gdzie pochowany był słynny karzeł Tomcio Paluch. Teraz orientowali się już, kiedy tramwaj dojeżdżał do końca linii. Bo wtedy konduktor przechodził przez środek wagonu i za pomocą specjalnej korby przekręcał oparcia ławek na drugą stronę. W Bridgeport znowu się przesiedli. Szyny prowadziły teraz w głąb lądu. Zatrzymali się na noc w New Haven, w stanie Connecticut. Przesпали się w małym hoteliku i zjedli śniadanie w jadalni właścicielki. Przedtem Tata wyszczotkował sobie starannie spodnie, marynarkę i czapkę. Założył krawat pod wystrzępiony kołnierzyk koszuli. Kazał dziewczynce nałożyć czysty fartuszek. W hoteliku mieszkali przeważnie studenci miejscowego uniwersytetu i kilku z nich siedziało już przy

stole. Ubrani byli w golfy i mieli okulary w złotych oprawkach na nosie. Po śniadaniu stary artysta zaprowadził córkę na najbliższy przystanek. Tramwaj należący do sieci Springfield Traction Company zawiózł ich do New Britain, a potem do miasta Hartford. Kołyszając się jechał powoli przez wąskie uliczki. Zdawało się, że wystarczy wyciągnąć rękę, aby dotknąć drewnianych domków. Niebawem znaleźli się na przedmieściu i jechali na północ w kierunku miasta Springfield, w stanie Massachusetts. Ciężki, drewniany wagon kołysał się z boku na bok. Wiatr smagał ich twarze. Pędzili wzdłuż krawędzi pól, z których podrywały się stada ptaków, zataczały w powietrzu łuk i z powrotem przysiadły. Dziewczynka patrzyła na stada krów, na gniade konie hasające w słońcu. Cienka warstwa kurzu pokryła jej twarz niczym maska, przydając jej bladości, podkreślając czerwien warg, wyrazistość wilgotnych oczu. Tata z przerażeniem uświadomił sobie, że jego córka będzie wkrótce dojrzałą kobietą. Tramwaj jechał teraz wzdłuż szosy i kiedy zbliżał się do skrzyżowania, trąbił głośno. Na jednym z przystanków załadowano jakieś skrzynie z produktami. Pasażerowie musieli stać w przejściach. Dziewczynka niecierpliwie czekała, aż tramwaj przyśpieszy biegu. Tata widział, że mała jest szczęśliwa. Że jest zachwycona podróżą. Jedną ręką przytrzymywał walizkę na kolanach, drugą objął teraz córkę. Mimo woli uśmiechał się. Wiatr wiał mu prosto w twarz i wydymał policzki. W pewnej chwili wagon podskoczył, jakby chciał się uwolnić od szyn. Przechylił się najpierw w jedną, potem w drugą stronę i wszyscy się roześmiali. Tata się roześmiał. Zobaczył nagle oczami duszy rodzinną wioskę, kilka wiorst za polem. Zza pagórka wyłaniała się wieża kościoła. Kiedy był dzieckiem, lubił każdą jazdę, szczególnie w letnie noce, kiedy na niebie stał wielki księżyc. Dzieciaki stłoczone w rozklekotanym wozie wpadały na siebie. Przyjrzał się pasażerom i pomyślał sobie – po raz pierwszy od przyjazdu do tego kraju – że może dałoby się w nim jednak jakoś żyć. W Springfield kupili chleb i ser i wsiedli do nowiutkiego ciemnozielonego wagonu linii Worcester Electric Street Railway. Tata zorientował się, że dojadą co najmniej do Bostonu. Podliczył koszt całej podróży. Wynosił dwa dolary i czterdzieści centów za niego i nieco ponad dolara za małą. Tramwaj sunął po nierównych drogach. Słońce zachodziło za łańcuchem gór Berkshire. Rzędy sosen rzucały długie cienie. Przejechali przez niewielką, leniwą rzeczkę, po której płynęła jedna jedyna łódka. Minęli młyn wodny z wielkim, powoli obracającym się, ociekającym wodą kołem. Cienie gęstniały.

Mała zasnęła. Tata przyciskał do siebie walizkę i wpatrywał się w ciągnące się przed nimi szyny, błyszczące teraz w blasku silnych elektrycznych lamp umieszczonych na przedzie wagonu.

Szyny! Szyny! Wizjonerom, piszącym do popularnych magazynów, zdawało się wtedy, że przyszłość świata leży na końcu równoległe do siebie biegnących szyn. Istniały dalekobieżne pociągi ciągnięte przez lokomotywy, międzymiastowe linie trakcji elektrycznej, tramwaje i kolejki nadziemne, ich stalowe szyby biegly przez cały kraj – krzyżując się i tworząc jak gdyby wzór symbolizujący wspaniałą, prężną cywilizację. W Bostonie i Nowym Jorku zbudowano nawet koleje podziemne – nowy, szybki system transportu, przewożący codziennie z miejsca na miejsce tysiące ludzi. W Nowym Jorku linia manhattańska cieszyła się takim powodzeniem, że postanowiono przedłużyć ją aż do Brooklynu. W związku z tym powstał istny cud technologii – tunel pod East River, prowadzący z Brooklynu do Battery, a więc na sam cypel Manhattanu. Robotnicy pracowali w kesonach, wydobywając muł z dna rzeki centymetr po centymetrze i instalując rury żeliwne. Do kesonów stale pompowano powietrze. Praca w nich była bardzo niebezpieczna. Ludzi, którzy ją wykonywali, uważano za bohaterów. Pracując głęboko pod powierzchnią rzeki narażali w każdej chwili życie. Jednym z zagrożeń, i to dość typowym, był wydmuch. Sprężone powietrze znajdowało sobie słabe miejsce w ścianie tunelu i wydobywając się na zewnątrz gwałtownym strumieniem, powodowało eksplozję. Pewnego dnia wybuch był tak gwałtowny, że wypchnął z kesonu czterech robotników. Przebili się przez pięć metrów mułu, przez całą głębokość rzeki, po czym gejzer wody wyrzucił ich w górę na wysokość dziesięciu metrów. Tylko jeden z nich uszedł z życiem. Opis tego niezwykłego wypadku znalazł się na pierwszych stronach wszystkich gazet. Harry Houdini przeczytał o nim przy porannej kawie. Ubrał się pośpiesznie i pojechał do szpitala Bellevue, dokąd – jak wiedział z lektury – zawieziono ocalonego robotnika. Nazywam się Harry Houdini, oświadczył w izbie przyjęć, muszę się zobaczyć z tym robotnikiem z kesonu. Podczas gdy recepcjonistka naradzała się z koleżanką, Houdini przeczytał spis pacjentów i pobiegł na górę. Wpadł na salę pełną ciężko chorych i umierających ludzi. Proszę natychmiast wyjść, zażądała stanowczo pielęgniarka. Przez wysokie, brudne okna sali szpitalnej przebijały się szerokie smugi wesołego, porannego słońca. Wokół łóżka bohatera robotnika zgromadziła się jego rodzina: żona, stara matka w chustce na głowie, dwaj wysocy, krzepcy synowie. Lekarz stał u jego wezglowia. Ranny był zabandażowany od stóp do głów. Obie ręce miał w gipsie, i jedną nogę na wyciągu. Co kilka chwil spod bandażu zakrywających mu twarz wydobywał się słaby, a może po prostu przytłumiony jęk. Houdini odchrząknął głośno. Nazywam się Harry Houdini, przedstawił się rodzinie. Moją specjalnością jest wydobywanie się ze szczelnie zamkniętych pomieszczeń. To mój zawód, żyję z tego. Ale widzicie, nigdy nie udało mi się dokonać podobnego wyczynu, co on. Wskazał palcem na leżącego w łóżku. Rodzina rannego patrzyła na Houdiniego tępym wzrokiem. Z tych słowiańskich twarzy nie można było nic wyczytać. Nie spuszczać oczu z Houdiniego babka powiedziała coś w obcym języku – było to widać pytanie, gdyż jeden z wnuków odpowiedział jej, wymieniając nazwisko Houdiniego. Wszyscy w dalszym ciągu przyglądali się iluzjoniście. Przyszedłem, żeby złożyć wyrazy szacunku, powiedział Houdini. Ci ludzie mieli płaskie twarze, wysokie czoła, szeroko rozstawione oczy. Nie odpowiedzieli uśmiechem na jego uśmiech. Jak pan się tu dostał? – zapytał lekarz. Ja tylko na minutę, odparł Houdini, chciałbym go o coś zapytać. Będzie lepiej, jeżeli pan sobie pójdzie, powiedział lekarz. Houdini zwrócił się do rodziny rannego. Chciałbym go jedynie zapytać, jak to się odbyło i co zrobił, żeby wydostać się na powierzchnię. Tylko on się uratował. To nie jest przypadek. Muszę wiedzieć dlaczego. To dla mnie ogromnie ważne. Wyjął z kieszeni portfel i wyciągnął kilka banknotów. Sądzę, że przyda wam się teraz parę groszy. Proszę je przyjąć. Chcę wam pomóc. Rodzina w dalszym ciągu patrzyła na niego tępo. Kukła na łóżku wydała z siebie jęk. Jeden z synów rannego nachylił się nad ojcem i przyłożył ucho do bandażu. Trwał tak przez pewien czas, potem skinął głową. Podszedł do brata i szepnął mu coś na ucho. Byli to rośli chłopcy, każdy wzrostu co najmniej metr osiemdziesiąt, o klatkach piersiowych jak beczki. Tylko bez awantur, ostrzegł ich lekarz. Chłopcy ujęli Houdiniego z dwóch stron pod pachę, podnieśli go lekko, tak że palcami stóp ledwie dotykał podłogi, i wywlekli z sali. Postanowił im się nie opierać. Znał różne chwyt i mógł bez trudu rozprawić się z tymi dwoma osiłkami, ale pomyślał sobie, że w końcu szpital jest szpitalem.

Houdini ruszył ulicą szybkim krokiem. Był upokorzony, paliły go uszy. Kapelusz nasunął nisko na czoło. Miał na sobie ciasno skrojoną, dwurzędową marynarkę z lnianego płótna, beżowe spodnie i biało-brązowe szpiczaste półbuty. Ręce wsunął głęboko w kieszenie marynarki. Popołudnie było chłodne, jesienne, większość przechodniów miała na sobie płaszcze. Houdini szedł szybkim krokiem przez zatłoczone nowojorskie ulice. Był niewiarygodnie gibki. Nie mógł się powstrzymać od myślenia o ocalonym robotniku. Był to niezwykły wyczyn i to nie na scenie teatru, ale na arenie świata. Nigdy mu nie dorówna. Mimo wszystkich swoich osiągnięć był tylko sztukmistrzem, iluzjonistą, prestidigitatorem. Jakiż był więc sens jego życia, skoro ludzie po opuszczeniu teatru natychmiast o nim zapominali? Zerknął na nagłówki popołudniowych gazet. Peary dotarł do bieguna. Liczą się tylko prawdziwe wyczyny, tylko dzięki nim można trafić do podręczników historii.

Houdini postanowił skoncentrować się na pokazach pod gołym niebem. Udał się na *tournée* po kraju. Wszedł do drewnianej skrzyni, kazał ją zabić gwoździami, owiązać powrozami i spuścić na dno lodowatej rzeki Detroit. W kilka minut później wypłynął na powierzchnię. Powtórzył ten numer w Bostonie i Filadelfii. Po rzekach płynęła kra. Zaprawiał się do tego numeru w domu, siedząc w wannie z wodą, w której pływały wielkie kawały lodu. Ale nic się nie zmieniało. Postanowił wyruszyć na objazd Europy. Tam przecież debiutował, bo nie potrafił się dostać na deski słynnych amerykańskich teatrów wodewilowych. Był wciąż jeszcze przekonany, że Europejczycy rozumieją go lepiej niż rodacy. Na kilka dni przed odjazdem zgodził się wziąć udział w dobroczynnym występie na rzecz grona starych iluzjonistów i emerytowanych aktorów. Postanowił zaskoczyć widzów zupełnie nowym numerem. Wynajął kilku pielęgniarki ze szpitala Bellevue, którzy weszli na scenę i zabandażowali go całego od stóp do głów. Następnie zawinęli go w kilka prześcieradeł, przywiązali do szpitalnego łóżka i obleli wodą, żeby płótno jeszcze go bardziej oblepiło. Houdini wyzwolił się. Starzy aktorzy urządzili mu szaloną owację. Nie dało mu to satysfakcji.

Houdini wybierał się do Europy wielkim, niemieckim statkiem „Imperator”, z galionem na dziobie – co było rzeczą dość niezwykłą dla nowoczesnego statku o trzech kominach. Rzeźba przedstawiała ukoronowanego orła wbijającego szpony w kulę ziemską. Stara matka Houdiniego, pani Weiss, zjawiała się na przystani, żeby pożegnać syna. Była to mała, schludna kobieta w czerni. Houdini przycisnął ją do siebie, ucałował jej ręce, wszedł na pomost, ale zawrócił, ujął twarz matki w dłonie i pocałował w oczy. Stara pani kiwała głową i poklepywała syna. Wbiegł na pokład, potem długo machał ręką. Nie był pewien, czy staruszka go widzi. Wielki statek ruszył na środek rzeki, a Houdini wciąż stał przy burcie i wymachiwał ręką. Potem czapką. Nawet kiedy był już pewny, że matka go nie widzi. Krzyczał coś do niej bezsensownie, bo warkot motorów i szum wzburzonej wody zagłuszał wszystko. Nie spuszczał z oczu malejącej postaci, a gdy holowniki obróciły statek, przebiegł na drugi pokład. Uroczą, wątlą starszą panią stała wciąż w tym samym miejscu i wpatrywała się w znikający powoli statek. Przywiązanie syna było dla niej źródłem wielkiej radości. Kiedyś przyszedł i poprosił, żeby uniosła fartuch i wrzucił do niego pięćdziesiąt błyszczących, złotych dolarów. To był dobry chłopak. Powróciła taksówką do domu na Sto Trzynastą Ulicę.

Houdini rozpoczął europejskie *tournée* w Hansa Theater w Hamburgu. Publiczność zgotowała mu entuzjastyczne przyjęcie. Gazety poświęcały mu wiele miejsca. A on nigdy w życiu nie był z siebie równie niezadowolony. Zastanawiał się nad tym, dlaczego poświęcił życie na bezsensowne zabawianie ludzi. Ludzie szaleli z zachwytem. Po każdym przedstawieniu przed wejściem dla artystów zbierała się grupa wielbicieli. Zbywał ich byle czym. Pewnego dnia poszedł na pokaz francuskiej maszyny latającej typu Voisin. Był to piękny dwupłatowiec ze składanymi skrzydłami, składanym sterem i trzema kołami od rowerów z cienkimi szprychami. Lotnik przeleciał ponad torem wyścigowym i wylądował na pobliskim polu. Wyczyn ten został nazajutrz opisany w gazetach. Houdini powziął błyskawiczną decyzję. Po tygodniu był już właścicielem nowiutkiego Voisina. Kosztowało go to pięć tysięcy dolarów. Przydzielono mu francuskiego mechanika, instruktora pilotażu. Houdini wynajął duży poligon wojskowy pod Hamburgiem. We wszystkich krajach, w których występował, miał doskonałe stosunki z wojskiem. Lubił wojskowych. Każdego ranka o świcie jechał na poligon, siadał za sterem Voisina, a Francuz dawał mu wskazówki, wyjaśniał, do czego służą dźwignie i pedały znajdujące się przed siedzeniem pilota. Dwupłatowiec był wprowadzany w ruch za pomocą wielkiego koła sterowego, zamontowanego w pozycji pionowej i połączonego za pomocą wału z przednim sterem. Pilot siedział za tym sterem na niewielkim stołku umieszczonym pomiędzy skrzydłami. Za nim znajdował się motor, a za motorem śmigło. Voisin miał konstrukcję drewnianą, skrzydła pokryte mocno naciągniętym brezentem nasyconym klejem. Wsporniki, łączące dwupłatowe skrzydła maszyny, pokryte były tym samym materiałem. Wyglądał jak duży, skrzynkowy latawiec. Houdini kazał wymalować swoje nazwisko wielkimi literami po zewnętrznej stronie skrzydeł i na tylnych lotkach. Z niecierpliwością czekał na swój pierwszy lot. Mechanik uczył go cierpliwie wszystkich manewrów koniecznych do wzniesienia maszyny w powietrze, reguł latania, sterowania i lądowania. Co wieczór Houdini występował na scenie, co rano o świcie jechał na poligon. Wreszcie pewnego poranka, kiedy czerwone niebo było bezchmurne i mechanik uznał, że wiatr jest pomyślny, wypchnęli dwupłatowiec z hangaru i ustawili dziobem w kierunku przeciwnym do wiatru. Houdini usiadł na miejscu pilota, przekręcił czapkę daszkiem do tyłu i naciągnął ją głęboko na uszy. Ujął ster. Zmrużył oczy, zacisnął szczęki, skoncentrował się, skinieniem głowy dał znak mechanikowi, żeby zaczął obracać drewniane śmigło. Motor zapalił. Był to silnik typu Enfield o mocy osiemdziesięciu koni, podobno lepszy od tego, którego używali bracia Wright. Houdini wstrzymał oddech i dodał gazu, raz i drugi. Wreszcie uniósł do góry kciuk. Mechanik kucnął i wyciągnął klocki hamulcowe spod kół. Maszyna z wolna ruszyła naprzód. W miarę jak nabierała pędu, oddech Houdiniego stawał się coraz szybszy i szybszy. Po chwili zaczęło go podrzucać na nierównym terenie, poczuł, że delikatne skrzydła samolotu zaczynają żyć własnym życiem, zupełnie tak, jakby do tej sprawy włączyła się jakaś niewidzialna, trzecia siła. Voisin oderwał się od ziemi. Houdiniemu wydało się, że śni. Z trudem panował nad podnieceniem, zmuszał się do skoncentrowania nad utrzymywaniem skrzydeł w pozycji poziomej, nad odpowiednim regulowaniem gazu. Fruwał! Jego nogi naciskały pedały, mocno

trzymał kierownicę, ster przesunął łagodnie w dół i samolot zaczął wznosić się ku niebu. Zebrał się na odwagę i spojrzął w dół. Piętnaście metrów pod nim ciągnęły się pola. Przestał słyszeć warkot znajdującego się z tyłu motoru. Na twarzy czuł silny powiew wiatru i nagle się zorientował, że krzyczy. Liny, łączące płaty skrzydeł, zdawały się śpiewać, a wielkie skrzydła – nad i pod nim – kiwały się i pochylały, jak gdyby obdarzone zostały własną szlachetną inteligencją. Koła rowerowe obracały się powoli, leniwie poganiane wiatrem. Houdini przeleciał ponad kępą drzew. Po chwili nabrał pewności siebie i wykonał trudny manewr, przechylając maszynę lekko w lewo i zataczając wielkie koło. Na dole zobaczył mechanika, który stał pod hangarem i unosił obydwie ręce gestem pozdrowienia. Spokojny już teraz Houdini wyprostował skrzydła, obrócił się w kierunku wiatru i zaczął schodzić do lądowania. Kiedy koła dotknęły ziemi, zaskoczyła go brutalność wstrząsu. Ale kiedy maszyna zatrzymała się, chciał już znowu znaleźć się w powietrzu.

Podczas następnych lotów Houdini utrzymywał się w górze po dziesięć, a nawet dwanaście minut. Właściwie tak długo, na ile pozwalała mu pojemność zbiornika z paliwem. Zdawało mu się czasami, że wisi w chmurach. Patrzył w dół na wioski wtulone w niemiecki krajobraz, wodził wzrokiem za cieniem dwupłatownca, który biegł czasami dokładnie po prostych drogach wysadzonych żywopłotem. Raz poleciał tak wysoko, że udało mu się zobaczyć średniowieczną sylwetkę Hamburga przeciętą korytem rzeki Elby. Był ogromnie dumny ze swej latającej maszyny. Chciał koniecznie pobić jakiś rekord. Młodzi oficerowie z pobliskiego garnizonu przychodzili na poligon, żeby przyglądać się wyczynom Houdiniego. Niektórych poznał osobiście. Komendant garnizonu, który pozwolił Houdiniemu korzystać z poligonu, zwrócił się do niego z prośbą o wygłoszenie kilku pogadanek na temat latania. Zgodził się na to z ochotą. Ułożył sobie odpowiednio zajęcia i zaczął przychodzić na spotkania z młodymi oficerami. Polubił ich. Byli bardzo inteligentni i traktowali go z wielkim szacunkiem. Śmiali się z jego dowcipów. Jego niemczyzna była kiepska i przepleciona żydowskim żargonem, ale oni zdawali się tego nie zauważać.

Pewnego ranka, kiedy Houdini wylądował i podjeżdżał do hangaru, zauważył, że na polu stoi sztabowy Mercedes z kilkoma wysokimi oficerami cesarskiej armii niemieckiej. Zanim zdążył wysiąść z dwupłatownca, jego przyjaciel, komendant garnizonu, wyszedł z Mercedesa i zwrócił się do niego bardzo oficjalnym tonem z zapytaniem, czy zechciałby wykonać dla generałów sztabowych lot pokazowy. Houdini spojrzął na dwóch starych oficerów siedzących na tylnym siedzeniu. Mundury mieli ozdobione licznymi orderami. Pozdrowili go skinieniem głowy. Na przednim siedzeniu obok kierowcy siedział żołnierz w pikielhaubie na głowie i z karabinem na kolanach. W tej samej chwili nadjechał biały Daimler typu lando, z oddzielnym od kierowcy pomieszczeniem dla pasażerów, i stanął za sztabowym Mercedesem. Mosiężne części Daimlera wypolerowane były na wysoki połysk, białe, drewniane szprychy kół nieskazitelnie czyste. W przednim prawym zderzaku tkwił proporzec ze złotą frędzlą. Houdini nie mógł się zorientować, kto siedzi w środku. Oczywiście, powiedział i skinął na znak Zgody. Kazał mechanikowi dolać paliwa do zbiornika i po kilku minutach był znowu w powietrzu, zataczając szerokie koła nad poligonem. Usiłował sobie wyobrazić, jak to wygląda z dołu. Ogarnęło go podniecenie, jak zawsze w czasie występu. Przeleciał nad samochodami na wysokości trzydziestu zaledwie metrów, zatoczył koło i za drugim razem przeleciał nad oficerami już tylko na wysokości piętnastu metrów, pozdrawiając ich machaniem rąk i ruchami skrzydeł. Robił to dla człowieka w białym Daimlerze, kimkolwiek on był.

Kiedy wylądował, zaprowadzono go do niego. Szofer otworzył drzwiczki i stanął na baczność. W samochodzie siedział arcyksiążę Franciszek Ferdynand, następca austro-węgierskiego tronu. Był w mundurze feldmarszałka armii austriackiej. W zagięciu ramienia trzymał hełm z pióropuszem. Miał bardzo krótko obcięte włosy sterczące na czubku głowy jak szczecina, sumiaste, nawoskowane, zakręcone do góry wąsy i tępym wzrokiem patrzył na Houdiniego spod ciężkich powiek. Obok siedziała jego żona, księżna Zofia, stateczna matrona, która ziewała dyskretnie, zasłaniając usta ręką w rękawiczce. Arcyksiążę widać nie miał pojęcia, kim jest Houdini. Pogratulował mu wynalazku latającej maszyny.

Część II

Kiedy ojciec powrócił do New Rochelle, wspiął się po frontowych stopniach domu i wszedł do ogrodu, w którym rosły gigantyczne, norweskie klony. Tam zastał swoją żonę tulącą do piersi ciemnoskóre dziecko. Matka dziecka siedziała na poddaszu pełna głębokiej melancholii. Była krańcowo wyczerpana. Tak słaba, że nie potrafiła udźwignąć dziecka. Całymi godzinami wpatrywała się w witrażowe okno, które wchłaniało w siebie światło, rozkwitało nim, a potem gasło. Ojciec spojrział na nią przez drzwi. Nie zauważyła go nawet. Przeszedł przez cały dom i wszędzie stwierdzał ślady swej długiej nieobecności. Jego syn miał teraz własne biurko, jak przystało na młodego studenta. Raz zdawało mu się, że słyszy podmuchy arktycznego wiatru, ale okazało się, że to pokojówka Brigit czyści dywan w bawialni za pomocą elektrycznego odkurzacza. Najdziwniejsze ze wszystkiego wydało mu się lustro w łazience, z którego spoglądała na niego twarz chudego, brodatego włóczęgi, człowieka pozbawionego dachu nad głową. Lusterko, przed którym golił się na „Roosevelcie”, nic takiego nie pokazywało. Rozebrał się. Z przerażeniem spojrział na wychudłe ciało, na sterczące zębra i obojczyki, na białą, delikatną skórę, zapadnięty brzuch, kościste biodra i zaczerwieniony, jak nigdy przedtem, oklapnięty członek. W nocy, w łóżku, matka obejmowała go i próbowała go rozgrzać, przytuliła się do mężowskich pleców, usiłując pokonać jego dziwny chłód. Oboje zrozumieli, że tym razem rozstanie trwało zbyt długo. Na dole Brigit nastawiła płytę, pokręciła korbą gramofonu, rozsiadła się w bawialni, słuchała z papierosem w ustach, jak John McCormack śpiewa szlagier pod tytułem *Słyszę twoje wołanie*. Robiła wszystko, żeby stracić pracę. Leniła się, była nieuprzejma. Matka stwierdziła, że zaczęło się to w dniu, w którym zjawiła się w naszym domu Murzynka i jej dziecko. Ojciec uważał, że ma to jakiś związek z ogólnym upadkiem obyczajów. Objawy tego spotykał na każdym kroku i był nimi zgorszony. Kiedy wrócił do pracy, dowiedział się, że szwaczki szyjące flagi w jego fabryce przyłączyły się do jednego z nowojorskich związków zawodowych. Ubranie wisiało na ojcu jak futrzana odzież w czasie arktycznej wyprawy. Przywiózł liczne prezenty. Synowi – ząb wieloryba, wyrzeźbiony przez Eskimosów, i dwa kły morsa. Dla żony – futro z białego niedźwiedzia. Wyciągał z kuferka skarby Arktyki: notatniki ze spaczonymi okładkami i kartkami, które zeszywniały od przemoczenia morską wodą, fotografię Peary’ego z własnoręcznym podpisem, ostrze harpuna zrobione z kości, kilka nie naruszonych puszek herbaty. Były to na dalekiej Północy bezcenne przedmioty, ale tu, w naszej bawialni, stanowiły tylko żalostny dobytek dzikusa. Ojciec klęczał przed kufrem, a członkowie rodziny stali i przyglądali mu się. Nie miał im nic do powiedzenia. Na północnym biegunie świata ciemność i mróz zacisnęły się dokoła niego i przygarbiły mu plecy. Czekał na „Roosevelcie” na powrót Peary’ego, pocieszał się nocą, przy akompaniamencie wycia arktycznego wiatru, obmierzłym ciałem cuchnącej jak zepsuta ryba eskimoskiej kobiety. Tulił ją do siebie pełen miłości i wdzięczności za to, że po prostu z nim była. Objemował to śmierdzące rybą cielsko. Nie chciał tego, co robił, nawet w myślach nazwać odpowiednim starym anglosaskim określeniem. Tak oto do czego okazał się zdolny. Teraz, w New Rochelle, ciągle mu się zdawało, że śmierdzi tranem, że oddech zalatuje mu rybą, że z nosa wydobywa się rybi fetor. Szorował się w wannie, aż ciało robiło się czerwone jak krew. Zaglądał matce w oczy, żeby zobaczyć, czy patrzy na niego z pogardą. Ale ona zdawała się zainteresowana jego nowym wcieleniem. Uświadomił sobie któregoś dnia, że od jego powrotu śpią co noc w jednym łóżku. Była jakby mniej powściągliwa niż dawniej. Nie spuszczała oczu, kiedy na nią patrzył. Rozplatała na noc włosy. Pewnej nocy położyła mu rękę na piersi i wśliznęła się pod jego nocną koszulę. Zaczął się obawiać, że Pan Bóg postanowił ukarać go w sposób równie perfidny, jak nieprzewidziany. Z głuchym jękiem przytulił się do żony i okazało się, że jest gotowa. Ujęła jego głowę w dłonie i przycisnęła do siebie. Nie zauważyła, że on płacze.

Nasz dom, ze swoimi wykuszami, ściętymi narożnikami i trzema okrągłymi okienkami w spadzistym dachu, wyłaniał się z ogrodu jak statek z morskiej toni. Zwinięte markizy były przymocowane do ram okiennych. Ojciec stał na chodniku. Był chłodny, choć słoneczny listopadowy dzień. Sterty jesiennych liści pokrytych białym szronem piętrzyły się dokoła domu niczym morskie fale. Wiał silny wiatr. Ojciec od czasu powrotu z wyprawy lekko utykał. Przygotowywał się do wygłoszenia odczytu w Nowojorskim Klubie Eksploratorów. Stwierdził, że woli spędzić wieczór w bawialni ogrzewając sobie nogi przy małym piecyku elektrycznym. Cała rodzina traktowała go jak rekonwalescenta. Syn przynosił mu z kuchni rosół z wołowiny. Chłopiec bardzo wyrósł, zeszcupłał. Robił się rozsądny i pomocny. Mówił zupełnie inteligentnie o komecie Halleya. Ojciec czuł się przy nim jak dziecko.

Gazety rozpisywały się na temat afrykańskiego safari Teddy’ego Roosevelta. Ten gorliwy rzecznik ochrony przyrody upolował siedemnaście lwów, jedenaście słoni, dwadzieścia jeden nosorożców, osiem hipopotamów, dziewięć żyraf, czterdzieści siedem gazeli, dwadzieścia dziewięć zebra oraz niezliczone ilości kudu, impali i innych antylop, guźców oraz mniejszej zwierzyny.

Przedsiębiorstwo ojca nie ucierpiało na skutek jego nieobecności. Matka potrafiła teraz kompetentnie rozmawiać o takich zagadnieniach jak opłacalność, inwentaryzacja czy kampania reklamowa. Była zmuszona decydować o wielu sprawach. Wprowadziła pewne zmiany w sposobie wystawiania rachunków i zawarła

umowy z czterema nowymi przedstawicielami w Kalifornii i Oregonie. Wszystko, co zarządziła, uznał po wnikliwej analizie za słuszne. Był zdumiony. Na nocnym stoliku matki leżała książka niejakiej Molly Elliot Seawell, pod tytułem *Walka kobiet*. Znalazł także broszurę o regulacji narodzin, której autorką była Emma Goldman, znana rewolucjonistka i anarchistka. W fabryce, pod oknem z matową szybą, zastał pochylonego nad rajzbretem młodszego brata matki. Był chudy i blady, jeszcze bardziej małowówny niż dawniej. Jasna czupryna przeredziła mu się wyraźnie. Ale najdziwniejsze było to, że pracował teraz dwanaście do piętnastu godzin dziennie. Zajmował się wyłącznie produkcją ogni sztucznych i zaprojektował całe tuziny nowych rakiet, pocisków, kół ognistych i petard, w tym jedną specjalną, która miała kształt nie cylindryczny, jak wszystkie dotychczasowe, ale kulisty. Ponieważ lont jej wyglądał jak ogonek, nazwano ją Pękającą Wiśnią. Ojciec i młodszy brat matki udali się pewnego ranka na słone moczary ciągnące się za ostatnim przystankiem linii tramwajowej. Mieli na sobie ciężkie, czarne płaszcze, na głowach meloniki. Ojciec przystanął pod niewielkim pagórkem, na skraju bujnej łąki. W odległości czterdziestu metrów od tego miejsca, na kawałku suchego terenu, młodszy brat matki, pochylony, przygotowywał próbny wybuch. Umówił się z ojcem, że najpierw wystrzeli zwykłą petardę, a potem Pękającą Wiśnię. W pewnym momencie wyprostował się, podniósł rękę do góry i cofnął o kilka kroków. Ojciec usłyszał słaby wybuch i zobaczył smużkę dymu, którą szybko rozwiały wiatr. Potem młodszy brat matki postąpił kilka kroków naprzód, pochylił się i cofnął, tym razem szybciej. Podniósł obie ręce do góry. Nastąpił huk gwałtowny jak wybuch bomby. Mewy poleciały wysoko w niebo, ojciec poczuł dzwonięcie w uszach, przestraszył się. Młodszy brat matki podbiegł do niego. Miał silne wypieki i bardzo błyszczące oczy. Ojciec zapytał go, czy nie uważa, że wybuch był zbyt gwałtowny i że taka petarda jest niebezpieczna. Nie chce produkować czegoś, co mogłoby uszkodzić jakiemuś dziecku oczy, powiedział. Młodszy brat matki nie odezwał się, tylko powrócił na swoje miejsce i zapalił drugą Pękającą Wiśnię, pozostając tym razem w odległości zaledwie dwóch kroków od zapalnika. Stał przez chwilę, jak gdyby pod prysznicem, z twarzą zwróconą ku niebu i uniesionymi do góry rękami. Petarda wybuchła. Młodszy brat matki pochylił się raz jeszcze i znów uniósł ręce. Wybuchła następna petarda. Ptaki spłoszyły się i zataczały coraz większe koła, odlatywały ponad zatokę, szybowwały nad spienionymi falami, huśtały się na wietrze.

Młody człowiek był w żałobie. Ewelina Nesbit znudziła się nim. Nie przestawał jej kochać, zrobiła się zatem wroga. Wreszcie pewnego dnia uciekła z zawodowym tancerzem. Zostawiła mu karteczkę. Napisała, że zamierza występować z nowym kochankiem. Młodszy brat matki przywiózł do swojego pokoju w naszym domu w New Rochelle skrzynkę pełną sylwetkowych portretów i parę małych, jedwabnych, wyrzuconych przez Ewelinę pantofelków. Kiedyś, mając na sobie tylko te pantofelki i białe haftowane pończochy, oparła ręce na udach i patrzyła na niego długo przez ramię. Po powrocie do domu młodszy brat matki położył się na kilka dni do łóżka. Od czasu do czasu chwycił się gwałtownie za członek, jakby chciał go wyrwać. Wstawał i biegał po pokoju zatykając sobie uszy rękami. Kiedy słyszał głos Eweliny, zaczynał głośno śpiewać. Nie mógł patrzeć na sylwetki. Najchętniej napełniłby sobie serce prochem i podpalił. Pewnego ranka obudził się niespodziewanie o świcie i stwierdził, że czuje jej zapach. To było najokrutniejsze ze wszystkiego, co mu po niej pozostało. Pobiegł na dół, wrzucił do śmietnika wszystkie sylwetki i jedwabne pantofelki. Po chwili ogolił się i poszedł do fabryki flag i fajerwerków.

Sylwetki wyciągnął ze śmietnika jego siostrzeniec.

Chłopiec najwyżej cenił to, co ludzie wyrzucali. Miał raczej swoisty stosunek do nauki i własne, jemu tylko znane życie intelektualne. Interesował go dziennik wyprawy ojca, ale nie próbował go czytać, czekał, aż ojciec przestanie o niego dbać. Znaczenie miały dla niego tylko te sprawy, które inni uważali za drugorzędne. Przejrzał dokładnie sylwetkowe portrety, wybrał jeden z nich i zawiesił na wewnętrznej stronie drzwi szafy. Był to portret ulubionej modelki artysty i przedstawiał dziewczynkę z włosami spiętrzonymi nad czołem jak kask. Robiła wrażenie, jakby za chwilę mogła się zerwać i uciec. Na nogach miała zniszczone, sznurowane buciki, na które opadały skarpetki. Resztę sylwetek chłopiec zaniósł na strych. Zwracał szczególną uwagę nie tylko na wyrzucone przedmioty, lecz interesowały go także niespodziewane wydarzenia i zbiegi okoliczności. W szkole nie uczył się wcale, ale miał dobre stopnie, ponieważ nic od niego nie wymagano. Jego nauczycielką była kobieta o szpakowatych włosach, która kładła główny nacisk na recytację wierszy i kaligrafię. W domu chłopiec czytał przeważnie książeczki z serii Motor Boys, nie przepuszczał prawie żadnego numeru „Wild West Weekly” i z niewiadomych przyczyn te jego gusta uznane zostały przez rodziców za oryginalne i radowały ich. Matka uważała go za dziwne dziecko, ale nie zwracała się z tego nikomu, nawet ojcu. Każdy objaw wskazujący na to, że jej syn jest podobny do przeciętnych dzieci, podnosił ją na duchu. Pragnęła, żeby miał przyjaciół. Ojciec jeszcze niezupełnie wrócił do siebie, a jej młodszy brat był tak udręczony osobistymi problemami, że kultywowanie tego, co mogło być dziwactwem chłopca albo po prostu niezależnością myślenia, powierzano dziadkowi.

Był to bardzo chudy i przygarbiony starzec. Zalatywało od niego pleśnią, prawdopodobnie dlatego, że miał tylko kilka ubrań i z zasady nie kupował ani nie pozwalał kupować sobie nowych. Stale łzawiły mu oczy. Siedział całymi dniami w bawialni i opowiadał chłopcu bajki Owidiusza. Były to opowieści o metamorfozach ludzi, którzy przemieniali się w zwierzęta, drzewa lub posągi. Kobiety przybierały postać słończników, pajaków, nietoperzy albo ptaków, mężczyźni – węży, świń, kamieni, a nawet powietrza. Chłopiec nie wiedział, że słucha tekstów Owidiusza, a nawet gdyby tak było, nie miałoby to większego znaczenia. Opowieści dziadka utwierdzały go w przekonaniu, że formy życia są niestałe, że wszystko, co istnieje na świecie, mogłoby właściwie być czymś innym. Staruszek – nie zdając sobie z tego sprawy – przechodził czasami z angielskiego na łacinę, tak samo jak przed czterdziestu laty, kiedy stał przed swoimi studentami, co tylko jeszcze utwierdzało chłopca w przekonaniu, że wszystko jest ulotne, nawet język.

Chłopiec traktował dziadka jak porzucony przez kogoś skarb, a jego opowieści jako prawdy dające się sprawdzić. Dowody na niestałość zarówno przedmiotów, jak i istot żywych znajdował we własnych przeżyciach. Patrzył na przykład na leżącą na komodzie szczotkę do włosów i nagle szczotka przesuwała się i spadała na podłogę. Okno w jego pokoju zamykało się w chwili, kiedy właśnie myślał o tym, że zaczyna się robić chłodno. Chętnie bywał w iluzjonie na Main Street. Znał zasady fotografiki, ale wiedział, że ruchome obrazki wynikają z tego, iż niektórzy ludzie, zwierzęta czy przedmioty mają zdolność pozostawiania po sobie śladów w postaci światłocieni. Namiętnie słuchał Victrolii i godzinami nastawiał tę samą płytę – obojętnie jaką – jak gdyby chciał zbadać granicę trwałości powielanego zjawiska.

Obserwował się wnikliwie w lustrze, może w nadziei, że uchwyci moment, w którym zajdzie w nim jakaś zmiana. Nie widział, że jest wyższy niż kilka miesięcy temu albo, że ciemnieją mu włosy. Matka spostrzegła, że zaczął się interesować swoim wyglądem, i zrzuciła to na karb próżności chłopca, w którym zaczynał się budzić mężczyzna. Niewątpliwie wyrósł z okresu ubranek marynarskich. Matka, zawsze dyskretna, nie dawała nic po sobie poznać. Ale była bardzo zadowolona. W istocie chłopiec nie przyglądał się sobie w lustrze z próżności, ale dlatego, że uznał lustro za instrument, dzięki któremu podwajał własną osobowość. Patrzył tak długo w lustrzane odbicie, aż zaczynało być jego drugim ja, i nie był już pewny, które jest prawdziwe. Zdawało mu się wówczas, że jest odcieleśniony, że nie jest już konkretnym człowiekiem. Ogarniało go oszałamiające uczucie rozdwojenia jaźni. Przeżywał te stany tak dojmująco, że czasami trudno mu było powrócić do rzeczywistości, mimo iż zachowywał pełną jasność umysłu. Musiał poczekać, aż jakiś zewnętrzny bodziec – głośny huk czy nagła zmiana dochodzącego z zewnątrz światła – wyrwą go z tego transu, pozwalając mu na powrót się scalić.

Ale jak miał się ustosunkować do ojca, tego barczystego, pewnego siebie mężczyzny, który opuścił dom i wrócił brodaty, zgarbiony i chudy? I do wujka tracącego teraz zarówno włosy, jak i dawną indolencję? U stóp wzgórze, na samym początku Broadview Avenue, ojcowie miasta odsłonili pewnego dnia posąg przedstawiający starego holenderskiego gubernatora, mężczyznę o marsowej minie, wystrojonego w cylinder, pelerynę, obcisłe spodnie i ozdobione klamrami pantofle. Cała rodzina wzięła udział w tej uroczystości. W parkach miejskich stały inne posągi, chłopiec znał je wszystkie. Wierzył, że robienie posągów to jeden ze sposobów przekształcania ludzi, a w niektórych przypadkach także i koni. Ale nawet posągi zmieniały się, nabierały innej barwy i od czasu do czasu traciły nawet tu i ówdzie jakieś fragmenty.

Stało się dla niego rzeczą jasną, że świat w stałym dążeniu do doskonalenia się formuje się i rozpada nieustannie.

Zima okazała się niezwykle ostra i sucha. Sádzawki w New Rochelle przemieniły się w znakomite ślizgawki. W soboty i niedziele matka, młodszy brat i chłopiec jeździli na łyżwach po jeziorze w małym lasku tuż za Paine Avenue, która graniczyła z Broadview. Młodszy brat matki ślizgał się sam, sunął krokiem płynnym, eleganckim, z rękami na plecach i opuszczoną głową. Matka nakładała długi, czarny płaszcz, futrzaną czapkę, ręce wsuwała do mufki. Chłopiec trzymał ją pod rękę. Miała nadzieję, że jazda na łyżwach oderwie go od samotnych rozmyślań w zamkniętym pokoju. Widok jeziora był rzeczywiście wesoły. Grupy dorosłych i dzieci z okolicznych domów śmigały po białej tafli lodu, z zaczerwienionymi policzkami i nosami, za nimi powiewały długie, barwne szale. Ludzie padali, śmiali się, ktoś pomagał im wstać. Psy pędziły za dziećmi, z trudem utrzymując się na nogach. Ostrza łyżew skrzypiały po lodzie. Niektóre rodziny sprawiały sobie wyplatane fotele na długich łyżwach. Wożono na nich starsze albo mniej odważne osoby. Ale chłopiec widział tylko ślady, jakie pozostawiali na lodzie łyżwiarze, ślady chwil, które przeminęły, podróży, które kiedyś się odbyły.

Zimę tę Tata i jego córka spędzili we włókienniczym miasteczku Lawrence, w stanie Massachusetts. Przybyli jesienią, gdyż powiedziano im, że można tam znaleźć pracę. Tata spędzał pięćdziesiąt sześć godzin tygodniowo przy warsztacie tkackim. Zarabiał nieco poniżej sześciu dolarów. Zamieszkali w drewnianej ruderze na wzgórzu, bez ogrzewania, w jednym pokoju z oknem wychodzącym na ciemną studnię podwórza, na które lokatorzy wyrzucali śmieci. Tata się bał, że mała będzie nękana przez hołotę zamieszkującą dzielnicę. Nie zapisał jej więc do szkoły – łatwiej tu było uniknąć kontroli władz niż w Nowym Jorku – i kazał siedzieć przez cały dzień w domu. Kiedy wracał z pracy, zabierał ją na godzinną przechadzkę po ciemnych ulicach. Mała milczała teraz jeszcze uparciej niż dawniej. Trzymała się prosto i chodziła krokiem dorosłej osoby. Tatę zadreślała myśl o tym, że córka niebawem zostanie kobietą. Wiedział, że jest to chwila, w której dziewczynie potrzebna jest matka. Czy córka będzie musiała przeżyć ten trudny okres samotnie? A z drugiej strony, gdyby znalazł jej kandydata na męża, czy można było przewidzieć, jak ona zareaguje na obcego człowieka? Małżeństwo mogłoby się okazać gorsze od samotności.

Ponure, drewniane kamienice czynszowe ciągnęły się bez końca. Mieszkali w nich ludzie pochodzący ze wszystkich zakątków Europy – Włosi, Polacy, Belgowie, rosyjscy Żydzi.

Stosunki pomiędzy poszczególnymi grupami narodowościowymi nie były dobre. Pewnego dnia największa z miejscowych fabryk włókienniczych, American Woolen Company, rozdała robotnikom koperty ze zmniejszoną płacą. Wśród robotników zawrzało. Kilku Włochów odeszło od maszyn. Biegli przez sale fabryczne i nawoływali do strajku. Wyrwali przewody ze ścian i wybili kilka okien, rzucając w nie kawałkami węgla. Przyłączyli się do nich inni. Napięcie rosło. W całym mieście robotnicy odchodzili od stanowisk pracy. Ci, którzy się jeszcze z początku wahali, ulegli w końcu ogólnemu nastrojowi. Po trzech dniach prawie cały przemysł włókienniczy w Lawrence został unieruchomiony.

Tata był w euforii. Albo umrzemy z głodu, albo zamarzniemy, oświadczył córce. A może nas po prostu zastrzelą. Z Nowego Jorku przybyli do Lawrence ludzie ze Światowej Organizacji Pracowników Przemysłowych, którzy wiedzieli, jak się prowadzi strajk, i zorganizowali wszystko jak trzeba. Powołano komitet strajkowy, w którym reprezentowane były wszystkie grupy narodowościowe, rzucono hasło: żadnych aktów przemocy. Tata zabrał ze sobą małą i przyłączył się do kilku tysięcy robotników pikietujących fabrykę. Był to masywny budynek z czerwonej cegły ciągnący się na długość kilku ulic. Maszerowali pod ołowianym niebem. Mijały ich tramwaje. Motorniczowie patrzyli ze zdumieniem na tysiące ludzi stąpających w milczeniu po śniegu. Nad ich głowami ciągnęły się oblodzone druty telefoniczne i telegraficzne. Uzbrojeni, ale zdenerwowani milicjanci strzegli fabrycznej bramy. Tylko oni mieli ciepłe płaszcze.

Doszło do incydentów. Jakaś robotnica została postrzelona na ulicy. Jedynymi uzbrojonymi w tłumie ludźmi była milicja i policjanci. Za udział w strzelaninie aresztowano przywódców strajku, Ettore i Giovanettiego, i osadzono ich w areszcie. Robotnicy spodziewali się czegoś takiego. Tata poszedł na dworzec, żeby powitać związkowców, którzy przyjeżdżali do Lawrence, by zająć miejsce aresztowanych. Zebrał się olbrzymi tłum. Z pociągu wysiadł Wielki Bill Haywood, najslynniejszy wówczas przywódca związkowy. Był rodem z zachodniej części kraju i pozdrawiał zgromadzonych szerokim kowbojskim kapeluszem. Tłum witał go entuzjastycznie. Haywood uniósł do góry ręce gestem domagającym się ciszy. Przemówił. Miał wspaniały głos. Nie ma tu żadnych cudzoziemców, krzyknął, z wyjątkiem kapitalistów. Ludzie szaleli z radości. Potem wszyscy pomaszerowali przez miasto śpiewając *Międzynarodówkę*. Dziewczynka nigdy nie widziała ojca tak podnieconego. Cieszyła się z tego strajku, bo dzięki niemu nie musiała siedzieć w domu. Trzymała ojca za rękę.

Mijały tygodnie, walka trwała. Komitety pomocy rozdawały żywność w kilku punktach miasta. To nie jest filantropia, powiedziała jakaś kobieta do Taty, kiedy dziewczynka brała zupę, a on odmówił. Fabrykanci chcą, żebyśmy opadli z sił, i właśnie dlatego musicie się oszczędzać. Ludzie, którzy nam dzisiaj pomagają, jutro będą może potrzebowali naszej pomocy. Grupy strajkujących wciąż pikietowały fabryki. Robotnicy owijali szyje ciepłymi szalami i chodzili tupiąc nogami po zamrożonym śniegu. Płaszcz małej był przetarty. Tata zgłosił się na ochotnika do malowania transparentów i plakatów, więc przestali chodzić całymi godzinami po zimnych ulicach. Malował bardzo piękne plakaty. Ale kierownik propagandy powiedział, że nie spełniają zadania. Nie chcemy żadnych artystycznych malowideł, oświadczył, potrzebne są takie plakaty, które budzą gniew. Musimy stale podsycać ogień buntu. Tata namalował grupę ciemnych postaci z transparentami, sunących po brudnym śniegu. Rodziny gnieźdzące się w nędznych ruderach. Zaczął malować hasła. Jeden za wszystkich, wszyscy za jednego. Od razu poczuł się lepiej. Wieczorem brał do domu kawałki papieru, kartonu, piórka i tusz i żeby sprawić małej przyjemność, rysował sylwetki. Wykonał obrazek przedstawiający ludzi wchodzących i wychodzących z tramwaju. Mała była zachwycona. Oparła go o poduszkę i oglądała ze wszystkich stron. To dało mu pomysł. Narysował tę samą scenę kilka razy, lekko przesuwając za każdym razem wszystkie elementy

i postaci, potem złożył kartoniki w kostkę i zaczął je szybko kartkować. I nagle obrazek zaczął się ruszać, tramwaj posuwał się po szynach, stanął, jedni pasażerowie wysiadali, drudzy wsiadali. Nie mniej niż dziewczynka ucieszył się stwierdziwszy, że tak mu się to udało. Wpatrywała się w niego ze szczerym podziwem, a jego ogarnęła istna gorączka tworzenia. Przyniósł do domu więcej ścinków rysunkowego papieru. Postanowił wyczarować portret małej na ślizgawce. Na kartkach nie większych od własnej dłoni zrobił sto dwadzieścia rysunków sylwetkowych. Przedziurkował je i przewiązał sznurkiem. Mała trzymała jedną ręką tę zaimprovizowaną książeczkę, a drugą szybko ją kartkowała. I oto zobaczyła swoją sylwetkę, jak porusza się zgrabnie po lodzie, to naprzód, to w tył, wykonuje ósemkę, zwrot, piruet. A na koniec kłania się publiczności. Tata objął ją i kiedy poczuł na policzku dotyk jej ciepłych ust, i zorientował się, jaka jest chuda, rozpląkał się. A jeżeli się okaże, że poza rysowaniem obrazków nie będzie mógł dla niej nic zrobić? Czy zawsze będą już żyli samą tylko nadzieją na lepszą przyszłość? Dorośnie i będzie przeklinała jego imię.

Tymczasem strajk włóknarzy w Lawrence nabrał rozgłosu. Do miasta zaczęli przyjeżdżać dziennikarze ze wszystkich zakątków kraju. Inne miasta solidaryzowały się ze strajkującymi. Ale jedność strajkujących słabła z dnia na dzień. Dotyczyło to robotników, którzy mieli małe dzieci. Postanowiono je ewakuować do innych miast i umieścić w rodzinach sympatyków strajku. Zgłosiły się całe setki takich rodzin. W Bostonie, Filadelfii i Nowym Jorku. Nadchodziły spore sumy pieniędzy. Każda ze zgłoszonych rodzin została dokładnie sprawdzona przez komitet strajkowy. Rodzice musieli wyrazić na piśmie zgodę na ewakuację dzieci. Bo był to w końcu zupełnie nowy eksperyment. Grupa zamożnych pań z Nowego Jorku przyjechała do Lawrence po pierwszą setkę dzieci. Każde z nich zostało uprzednio zbadane przez lekarza, każde otrzymało nowiutkie ubranie. Mali podróżnicy wysiedli na nowojorskim dworcu Grand Central niczym gromadka krzyżowców. Powitał je spory tłum. Przez moment wszyscy mieli przed oczami tę samą scenę przedstawiającą dzieci trzymające się za ręce i patrzące rezolutnie w przestrzeń, jakby w przewidywaniu okrutnego losu, jaki gotowała im uprzedmiotowująca się Ameryka. Prasa poświęcała im i ich historii długie kolumny druku. Fabrykanci z Lawrence zrozumieli, że ze wszystkich forteli wymyślonych przez robotników wyprawa krzyżowa dzieci jest najgroźniejsza. Nic nie zdoła jej powstrzymać. I cały kraj będzie wkrótce po stronie strajkujących. Właścicielom fabryk nie pozostanie nic innego jak się poddać. Zgodzić się na podniesienie płac. Skończyłoby się na tym, że niektórzy włóknarze zarabialiby osiem dolarów tygodniowo. Do tego miały jeszcze dojść godziny nadliczbowe i premia za wydajność. Poza tym nikt nie zostałby ukarany za sprowokowanie strajku. Do tego nie można było dopuścić. Fabrykanci uważali się za orędowników cywilizacji i postępu. Byli przekonani, że to oni gwarantują miastu Lawrence dobrobyt. Postanowili więc – dla dobra zarówno całego kraju, jak i amerykańskiej demokracji – zrobić coś takiego, żeby dziecięca wyprawa krzyżowa nigdy się już nie powtórzyła.

Tymczasem Tata bił się z myślami. Wiedział, że dla dobra małej należy ją posłać na kilka tygodni do jakiejś dobrej sytuowanej rodziny. Tam odżywiano by ją jak należy, nie marzłaby, żyłaby – chociażby przez krótki czas – normalnym życiem. Ale trudno mu było pogodzić się z myślą o rozstaniu z własnym dzieckiem. Był pełen złych przeczuc. Poszedł do sklepika, w którym urzędował komitet pomocy, i zwrócił się do jednej z dyżurujących tam kobiet. Powiedziała mu, że na liście ma więcej dobrych, robotniczych rodzin, które chcą wziąć do siebie dzieci, niż zgłoszeń. Czy są wśród nich Żydzi? – zapytał Tata. Do wyboru, do koloru, odpowiedziała kobieta. Ale nie mógł się zdobyć na złożenie podpisu wyrażającego zgodę na wyjazd małej. Każda z tych rodzin została przez nas sprawdzona, zapewniała go kobieta. Czy moglibyśmy postępować lekkomyślnie w takich sprawach? Jestem od najmłodszych lat socjalistą, powiedział Tata. Rozumiem, odparła kobieta. Doktor zbada córce płuca, dodała. Już samo to opłaci się panu. Będzie codziennie dostawała gorące posiłki i przekona się, że jej ojciec ma przyjaciół na świecie. Ale my nie nalegamy. Niech pan spojrzy, jaka kolejka ustawiła się za panem. Nie brak nam klientów.

Tata powiedział sobie w duchu, jestem tu wśród towarzyszy broni, a zachowuję się jak mieszczuch z jakiegoś zadupia. Podpisał podsunięte mu zezwolenie.

W tydzień później zawiózł małą na dworzec, skąd wraz z grupą dwustu dzieci miała pojechać do Filadelfii. Dostała nowiutki płaszczyk i ciepłą czapkę. Ojciec przyglądał się jej ukradkiem. Była piękna. Trzymała się prosto niczym księżniczka. Cieszyła się z nowej odzieży. Nie okazywał jej swojej dumy, ale jednocześnie starał się, żeby nie widziała, że boi się zbliżającego się rozstania. Mała przyjęła propozycję wyjazdu bez słowa protestu. Było to na pewno najlepsze wyjście z sytuacji. Ale jeżeli już teraz rozstanie z nim przychodzi jej tak łatwo, to co będzie później? Miała pewne cechy, które nie ujawniały się w jego obecności. Podobała się. Kobiety oglądały się za nią. Tata był dumny, ale i przerażony. Stali w poczekalni, gdzie roiło się od matek i dzieci. Ktoś krzyknął: Pociąg nadjeżdża! Tłum ruszył ku wyjściu na peron. Pociąg rzeczywiście nadjeżdżał, z lokomotywy buchały z sykiem wielkie kłęby pary.

Ostatni wagon przeznaczony był dla dzieci. Pociąg należał do linii Towarzystwa Boston-Maine. Lokomotywa była typu Baldwin 4-6-0. Wszyscy wyszli na peron, umundurowane pielęgniarki z filadelfijskiego Komitetu Pań kroczyły na czele. Bądź grzeczna, upomniał Tata córkę. Odpowiadaj na pytania. Mów głośno i wyraźnie. Kiedy mijali narożnik dworca, Tata zauważył za węglem oddział milicji. Milicjanci mieli na głowach

kaski bojowe i trzymali karabiny na wysokości piersi. Stali tyłem do peronu. Grupa dzieci i rodziców zatrzymała się nagle. Coś się działo na przedzie. Zaraz potem rozległ się krzyk, zaroilo się od policji, w tłumie wybuchła panika. Zdumieni pasażerowie zobaczyli, że policjanci oddzielają dzieci od matek. Broniące się rękami i nogami kobiety wlekli przemocą do zaparkowanych na skraju peronu ciężarówek. Były to wojskowe budy z przekładnią łańcuchową. Dzieci rozbiegały się na wszystkie strony, policjanci tratowali je. Jakaś kobieta pędziła przed siebie, krew buchała jej z ust. Para z lokomotywy wlokła się po peronie jak mgła. Tuż przed Tata stanęła nagle jakaś kobieta. Chciała mu coś powiedzieć. Trzymała się oburącz za brzuch. Upadła. Tata chwycił małą i postawił ją na platformie najbliższego wagonu, żeby jej nie stratowano. Potem zajął się ranną. Powlókł ją przez tłum i posadził na ławce. Zwrócił tym uwagę jednego z policjantów, który zaczął go walić pałką po głowie i ramionach. Co robisz, człowieku, wrzasnął Tata. Nie rozumiał, czego ten szaleniec może od niego chcieć. Cofnął się i zmieszał z tłumem. Policjant pobiegł za nim, waląc go ze wszystkich sił, dopóki Tata nie runął na ziemię.

Stróże porządku wykonywali rozkaz naczelnika policji miasta, który uznał, że należy wstrzymać wyjazd dzieci z Lawrence. Dla ich własnego dobra, oczywiście. A one tymczasem pochylały się nad zmasakrowanymi ciałami swoich rodziców. Niektóre ogarnęła histeria. Policjanci oczyścili peron w ciągu kilku minut, budy odjechały, milicja odmaszerowała, pozostała tylko grupka pobitych i zapłakanych dorosłych i dzieci. Jednym z nich był Tata. Stał oparty o filar, próbując zebrać siły. Był zamroczony. Słyszał wszystko z pewnym opóźnieniem. Słyszał głos małej wołającej: Tata, Tata! Nagle zorientował się, że na peronie jest dziwnie jasno. Pociąg odjechał. Przestraszył się tak gwałtownie, że serce w nim zakołatało. Otrzeźwiał całkowicie. Ale mimo to wciąż słyszał głos małej. Tata, Tata! Spojrzał na szyny i spostrzegł ostatni wagon filadelfijskiego pociągu, który stał teraz niemal na samym krańcu dworca. Tata puścił się biegiem. Tata, Tata! Pociąg ruszył powoli. Tata biegł po szynach potykając się, z wyciągniętymi przed siebie rękami. Dogonił pociąg i uczeplił się poręczy platformy obserwacyjnej ostatniego wagonu. Pociąg zaczął przyspieszać biegu. Nogi Taty oderwały się od ziemi. Kręciło mu się w głowie. Ale nie puszczał poręczy i po chwili udało mu się przerzucić nogi przez barierę. Zawisł na niej głową w dół, z twarzą wciśniętą pomiędzy pręty. Wyglądał jak więzień błagający, żeby wypuszczono go na wolność.

Tatę uratowali dwaj konduktorzy. Chwycili go za ramiona i spodnie i wciągnęli na platformę obserwacyjną. Przedtem musieli mu siłą odrywać palce od prętów. Znalazł małą w pociągu i nie bacząc na obecność konduktorów i pasażerów przytulił ją do siebie i rozplakał się w głos. Zaraz potem spostrzegł, że nowy płaszcz małej jest pełen plam. Spojrzał na jej ręce. Były zakrwawione. Jesteś ranna! – wrzasnął. Gdzie cię boli?! Postrzelili cię! Potrząsnęła głową i wskazała na niego palcem i wtedy zrozumiał, że to nie była jej krew, ale jego. Miał rozciętą głowę, białe włosy szerniały mu od krwi.

Tak się zdarzyło, że w pociągu był lekarz. Opatrzył rany Taty i zrobił mu zastrzyk. Po tym zastrzyku Tata był oszołomiony i niezupełnie zdawał sobie sprawę z tego, co się z nim dzieje. Zasnął więc, rozciągnięty na dwóch ławkach, z ręką pod głową. Czuł jak przez mgłę kołysanie pociągu i widział siedzącą naprzeciwko i wpatrującą się w okno małą. Byli jedynymi pasażerami w całym specjalnym wagonie do Filadelfii. Od czasu do czasu słyszał jakieś głosy, ale nie potrafił się zmobilizować do tego stopnia, żeby rozumieć poszczególne słowa. Ale bardzo wyraźnie widział oczy córki, w których odbijał się przesuwany się za oknem zimowy krajobraz. Minęli Boston, New Haven, miasta Rye i New Rochelle, przedmieścia Nowego Jorku, wielkim mostem przejechali do Newarku w stanie New Jersey, i znaleźli się w Filadelfii.

Tam wysiedli i spędzili noc na ławce w poczekalni. Tata nie mógł dojść do siebie. Na szczęście znalazł w kieszeni część swojej tygodniowej pensji przeznaczoną na komorne: dwa dolary i pięćdziesiąt centów. Dziewczynka siedziała przytulona do ojca na wypolerowanej ławce i przyglądała się podróżnym na peronie. Nad ranem w poczekalni pozostał już tylko tragarz, który zamiatał marmurową posadzkę wielką miotłą. Jak zwykle mała godziła się całkowicie na istniejący stan rzeczy. Tatę bolała głowa, ręce miał spuchnięte i popękane. Siedział z głową w dłoniach. Nie wiedział, co robić dalej. Nie mógł zebrać myśli. Wiedział tylko, że dotarli do Filadelfii.

Nieco później znalazł wyrzuconą przez kogoś gazetę i na pierwszej stronie przeczytał opis brutalnej akcji policji w Lawrence. Zapalił papierosa znalezionego w kieszeni w blaszanym pudełku. Artykuł wstępny domagał się od rządu federalnego wszczęcia dochodzenia. No tak, teraz strajk na pewno skończy się zwycięstwem. Ale co dalej? Słyszał turkot tkackich maszyn. Sześć dolarów i kilka centów tygodniowo. Czy to zmieni ich sytuację? Trzeba będzie nadal mieszkać w obrzydliwym pokoju na strasznej, ciemnej ulicy. Tata potrząsnął głową. Ten kraj mnie udusi. Postanowił nie wracać do Lawrence. Nędzne meble i łachy pozostawi właścicielowi domu. Co zabrałaś ze sobą? – zapytał córkę. Pokazała mu zawartość niewielkiej torby – trochę bielizny, grzebień, szczotka, spinka do włosów, podwiązki, pończochy i dwie książeczki, jakie dla niej sporządził, jedna przedstawiająca ją na łyżwach, a druga ilustrująca tramwaj i jego pasażerów. W tym momencie być może Tata po raz pierwszy w życiu zaczął myśleć o swojej przyszłości niezależnie od losu klasy robotniczej. Nienawidzę maszyn, powiedział do córki. Wstał, ona także wstała i wsunęła rękę do jego ręki. Zaczęli się rozglądać za wyjściem. Związek wygrał walkę, powiedział. Ale cóż to jest za zwycięstwo? Kilka centów podwyżki dla robotników. Czy związek zostanie teraz właścicielem tych fabryk? Skądże!

Umyli się w dworcowej palecie. Zjedli śniadanie złożone z kawy i bułeczek i przez cały dzień przemierzali ulice Filadelfii. Słońce świeciło, ale powietrze było zimne. Oglądali wystawy sklepowe, a gdy nogi im zmarzły, weszli do domu towarowego, żeby się rozgrzać. Był to sklep-gigant, przez który przewalały się tłumy klientów. Dziewczynkę zainteresowały druty rozciągnięte pod sufitem, po których przesuwały się druciane koszyczki. Przewoziły pieniądze i paragony od kontuarów do kas i z powrotem. Sprzedawcy ściągali je pociągnięciem sznurka zakończonego drewnianą rączką, po czym posyłały je z powrotem w górę przez pociągnięcie innego sznurka. Manekiny w kapeluszach o szerokich rondach albo w toczkach z egretami wyglądały jak duże lalki. Każdy taki kapelusz, powiedział Tata, kosztuje więcej niż tygodniowy zarobek włókniarza.

Później poszli do dzielnicy hurtowników, gdzie wielkie ciężarówki zaparkowane przed żelaznymi bramami składów wyładowywały najrozmaitsze towary. Wystawy były mało ciekawe. Ale w pewnym momencie uwagę małej przykuło brudne okno wystawowe, udekorowane tandetnymi ozdobami i najrozmaitszymi drobnymi przedmiotami oferowanymi przez jakąś firmę wysyłkową. Od pewnego czasu wzrósł popyt na przyrządy do robienia dowcipnych kawałów i magicznych sztuk. Zaczęto więc produkować eksplodujące cygara, kauczukowe róże do butonierki, które tryskały wodą, pudełeczka z proszkiem do kichania, lunetki, które czerniły oko, eksplodujące talie kart, piszczące pęcherze do podkładania pod poduszki, szklane przyciski na biurko ze scenkami rodzajowymi, w których podczas potrząsania wirowały płatki śniegu, eksplodujące zapałki, wieczne pióra, jajka i zegarki, a także ołowiane posążki przedstawiające Statuę Wolności, dzwon wolności, egipskie tancerki brzucha z kauczuku, magiczne sygnety, senniki.

Stali tam tak długo, aż ciekawość małej została zaspokojona, ale Tata jeszcze intensywniej niż ona przyglądał się tym przedmiotom. Potem weszli do sklepu. Tata zdjął kapelusz i wdał się w rozmowę z mężczyzną, który miał na sobie koszulę w paski i elastyczne podwiązki na rękawach. Był to sympatyczny

człowiek. Chętnie, powiedział wysłuchawszy Tatę, proszę mi to pokazać. Tata wziął torbę małej, postawił ją na kontuarze, otworzył i wyjął książeczkę. Stojąc obok kupca i trzymając przed nim jedną dłonią książeczkę, drugą sprawnie i szybko przewracał kartki. Malutka łyżwiarka pojechała naprzód, wróciła, zrobiła ósemkę, okręciła się dokoła własnej osi, wreszcie ukloniła się zgrabnie. Kupiec uniósł brwi. Wysunął dolną wargę. Chciałbym to sobie obejrzeć, powiedział.

W godzinę później Tata wyszedł ze sklepu z dwudziestoma pięcioma dolarami w kieszeni oraz umową na jeszcze cztery książeczki, po dwadzieścia pięć dolarów za każdą. Firma, która nazywała się Franklin Novelty Company, zamierzała wydać je drukiem i rozprowadzić. W umowie nazwano je ruchomymi obrazkami. Chodź, powiedział Tata do córki, znajdziemy sobie hotelik w porządnej dzielnicy, wykapiemy się w gorącej wodzie i pójdziemy na obiad.

W ten sposób stary artysta włączył się w nurt rwącego potoku amerykańskiej przedsiębiorczości. Robotnicy może strajkowali i umierali, ale na ulicach miast pomysłowi ludzie piekli pataty na gorących węglach i sprzedawali je za centa lub dwa. Uśmiechnięty katarzyniarz zbierał całe kubki miedziaków. Skrzypek Fil, nie zrażony mrozem, obciął palce rękawiczek i grał pod oświetlonymi oknami eleganckich willi. Jak kontynent długi i szeroki, kupcy naciskali duże, okrągłe klawisze kas sklepowych. Wszystko, co dawało się powielić, było w wielkiej cenie. Każde miasto miało kawiarnię, gdzie za kontuarem z belgijskiego marmuru sprzedawano lody i koktajle mleczne. Dentysta, reklamujący się jako Bezbolesny Bolo, podejmował się błyskawicznie uśmierzyć ból zęba. W Highland Park, w stanie Michigan, pierwszy zmontowany na taśmie samochód Forda model T zjechał z rampy i stanął na trawniku pod błękitnym niebem. Był czarny, niezgrabny i miał bardzo wysokie podwozie. Jego wynalazca przyglądał mu się z pewnej odległości. Zsunął melonik na tył głowy. Żuł żdźbło trawy. W lewej ręce trzymał zegarek kieszonkowy. Pracodawca wielu robotników i urzędników, wśród których znajdowali się liczni cudzoziemcy, był od dawna przekonany, że większość ludzi jest zbyt głupia na to, żeby móc zarobić na dobre życie. Wpadł na pewien pomysł. Podzielił wszystkie operacje związane z montażem samochodu na osobne, proste czynności, które potrafiłby wykonać nawet dureń. Zamiast uczyć jednego robotnika wykonywania setek czynności związanych z produkcją samochodów, kazał mu chodzić z jednego kąta hali fabrycznej w drugi po odpowiednie części, postanowił ustawić go w miejscu i dać mu do wykonania jedną i tę samą czynność przez cały dzień, a części przysyłać mu na ruchomej taśmie. W ten sposób umysł robotnika zostanie odciążony. Człowiek, który wkreca śrubę, nie będzie nakładał muterki, człowiek, który nakłada muterkę na śrubkę, nie będzie jej zakręcał – tłumaczył wynalazca swoim współpracownikom. Miał dar wymowy. Na pomysł swój wpadł w czasie zwiedzania rzeźni, gdzie transportowano zabite krowy przez halę, zawieszając je na przesuwających się pod sufitem drucianych pętłach. Językiem przesunął żdźbło trawy z jednego kąca ust w drugi. Spojrzał jeszcze raz na zegarek. Genialność jego polegała między innymi na tym, że robił wszystko, żeby jego podwładni i konkurenci uważali się za inteligentniejszych od niego. Czubkiem buta wodził po trawie. Dokładnie w sześć minut potem, jak z rampy zjechał pierwszy samochód, u jej szczytu pojawił się następny, bliźniaczo podobny do pierwszego, przez krótką chwilę lśnił w chłodnych, porannych promieniach słońca, potem stoczył się i wbił w tył pierwszego. Henry Ford był do niedawna jednym z wielu amerykańskich producentów samochodów. Przeżywał teraz wznioślejsze i bardziej dojmujące chwile niż jakikolwiek Amerykanin przed nim – nie wyłączając Thomasa Jeffersona. Udało mu się znaleźć sposób na powielanie w nieskończoność jednego i tego samego modelu maszyny. Urzędnicy, menażerowie i pomocnicy stali dokoła niego. Winszowali mu. Mieli łzy w oczach. Poświęcił sześćdziesiąt sekund – z zegarkiem w ręku – na tę demonstrację lojalności. Następnie odesłał wszystkich z powrotem do pracy. Wiedział, że należy zrobić wiele drobnych poprawek, i miał rację. Przez regulowanie prędkości ruchu taśmy będzie mógł ustalać wydajność pracy robotników. Dążył do tego, żeby robotnik nie musiał się nawet schylać. Żeby nie oddalał się od swego stanowiska na więcej niż krok. Robotnik powinien mieć każdą sekundę wypełnioną pracą i nie marnować ani chwili. Wychodząc z tych założeń, Ford opracował ostateczną formułę teorii produkcji przemysłowej. Polegała ona nie tylko na tym, że wszystkie części gotowego produktu są wymienne, ale i na tym, że ludzie, którzy je produkują, też są wymienialni. Wkrótce fabrykował już trzy tysiące samochodów miesięcznie i sprzedawał je bez trudu. Czekало go długie i aktywne życie. Kochał zwierzęta i ptaki. Jednym z jego najbliższych przyjaciół był stary przyrodnik John Burroughs, który badał zachowanie się małych zwierzątek leśnych – wiewiórek, szopów pracy, myszy polnych, strzyżyków i sikorek.

Ale osiągnięcie Forda nie zawiodło go na szczyt piramidy biznesu. Inny człowiek zajmował to chlubne miejsce.

Biura banku J.P. Morgana znajdowały się na Wall Street pod numerem dwudziestym trzecim. Tego dnia wielki finansista przybył do pracy w granatowym ubraniu, czarnym płaszczu z futrzanym kołnierzem i cylindrze. Ubrał się nieco staroświecko. Kiedy wysiadał z limuzyny, z jego kolan zsunął się wełniany pled. Jeden z kilku dyrektorów bankowych, którzy wybiegli na spotkanie szefa, podniósł pled i powiesił go na metalowym drążku zamontowanym na wewnętrznej stronie drzwiczek. Szofer podziękował mu za to wylewnie. Okazało się, że słuchawka służąca do komunikowania się pasażera z kierowcą spadła z haka i inny dyrektor odwiesił ją z powrotem. Morgan wszedł do budynku wśród chmary krążących dokoła niego jak ptactwo urzędników, sekretarzy, a nawet klientów firmy. Opierał się na lasce ze złotą gałką. Miał wówczas siedemdziesiąt pięć lat, był człowiekiem wysokim, krzepkim, o wielkiej głowie, przerzedzonych siwych włosach, białych wąsach i przenikliwym, nietolerancyjnym spojrzeniu blisko osadzonych oczu satrapy. Służalcze pokłony przyjmował jako rzecz naturalną. Szybkim krokiem poszedł do swojego gabinetu, niewielkiego pomieszczenia o szklanych ścianach na pierwszym piętrze banku. Siedząc tam był widoczny dla wszystkich, ale sam także wszystko widział. Jeden z urzędników wziął jego płaszcz i cylinder. Morgan miał na sobie koszulę ze sztywnym kołnierzykiem i fontaż. Zasiadł za biurkiem, odsunął sprawozdanie ze stanu kont, które mu jak co dzień przedłożono, i powiedział, chciałbym poznać tego majsterkowicza, tego mechanika samochodowego. Tego, jakże mu tam, Forda.

Czuł, że Ford zawdzięcza swoje osiągnięcia tej samej pasji do porządku, która cechowała i jego. Był to pierwszy od dłuższego czasu znak, świadczący o tym, że nie jest być może sam na tej planecie. Pierpont Morgan był klasycznym okazem amerykańskiego bohatera, dziedzicem olbrzymiej fortuny, który dzięki ciężkiej pracy i absolutnemu brakowi litości potrafił mnożyć majątek rodzinny niemal w nieskończoność. Miał decydujący głos przy obsadzaniu stanowisk dyrektorskich siedmiuset czterdziestu jeden firm w stu dwunastu spółkach. Jednego roku zorganizował pożyczkę dla rządu Stanów Zjednoczonych i uratował go przed bankructwem. W 1907 osobiście opanował panikę, jaka wybuchła na giełdzie amerykańskiej, sprowadzając z zagranicy złoto wartości stu milionów dolarów. Podróżował w prywatnych wagonach kolejowych lub własnym jachtem, granice dla niego nie istniały, czuł się we wszystkich krajach świata jak u siebie w domu. Udzielny monarcha niewidzialnego, międzynarodowego królestwa kapitału, którego suwerenność była wszędzie uznawana. Jego majątek przewyższał wszystkie królewskie fortuny. Był jak gdyby rewolucjonistą, który wprawdzie pozostawiał monarchom i prezydentom ich terytoria, ale przejmował kontrolę nad ich liniami kolejowymi i żeglugowymi, nad ich bankami i koncernami, nad ich przemysłem i urządzeniami użyteczności publicznej. Od lat otaczał się przyjaciółmi, którzy – na pozór przynajmniej – odznaczałi się głównie tym, że szanowali go mniej niż inni. I zawsze doznawał rozczarowania. Mężczyźni płaszczyli się przed nim, kobiety ofiarowywały mu się bezwstydnie. Nikt tak jak on nie znał samotności panującej na jałowych wyżynach sukcesu. Kierując się po prostu inteligencją i instynktem, odgrywał od pięćdziesięciu lat absolutnie nadrzędną rolę w kluczowych sprawach dotyczących losu całych narodów i doszedł do wniosku, że to niezbyt pochlebnie świadczy o ludzkości. Jedna sprawa przypominała Morganowi, że jest też człowiekiem. Choroba skórna, która dotknęła szczególnie jego nos powodując, że rósł, był purpurowy i upodobił się w końcu do olbrzymiej truskawki, jednej z tych, jakie hodował w Kalifornii czarodziejski ogrodnik Luther Burbank. Choroba ta zaczęła nękać Morgana, kiedy był jeszcze młodym człowiekiem. Im był starszy, im bogatszy, tym bardziej rósł mu nos. Nauczył się piorunować wzrokiem ludzi, którzy przyglądali mu się zbyt nachalnie, ale co rano – przez całe życie – przyglądał się w lustrze łazienki swojemu nosowi. Nienawidził go, ale jednocześnie, w swoisty sposób, cenił. Zdawało mu się, że ilekroć zawiera szczególnie pomyślną umowę, ilekroć przejmuje nową gałąź przemysłu czy przeprowadza szczęśliwą transakcję giełdową, na nosie wyrasta świeży, czerwony pączek. Jego ulubionym utworem literackim było opowiadanie Nathaniela Hawthorne'a *Znamię*, mówiące o niezwykle pięknej kobiecie, której jedyną skazą jest małe znamię na policzku. Mąż, biolog, daje jej jakiś płyn do wypicia, po którym znamię znika, ale w momencie, gdy ginie ostatni po nim ślad i uroda jej osiąga pełnię rozkwitu – kobieta umiera. Morgan uznał swój monstrualny nos za dowód łaski bożej, za gwarancję śmiertelności, którą cenił sobie ponad wszystko.

Kiedyś przed laty zaprosił na kolację do swojej rezydencji na Madison Avenue grupę najpotężniejszych poza nim ludzi w Ameryce. Wyobrażał sobie, że zgromadzona w jednym miejscu siła tych wybitnych umysłów rozepcze ściany jego domu. Rockefeller zaskoczył go opowieścią o tym, że cierpi na chroniczną obstrukcję i że najlepiej myśli mu się w klozecie. Carnegie zdrzemnął się nad swoim koniakiem. Harriman mówił same komunały. Zgromadzeni w jadalni członkowie elity amerykańskiego biznesu nie mieli nic ciekawego do powiedzenia. Był tym zgorzany. Serce kołatało mu w piersi. Przeraził się straszliwie tej umysłowej pustki.

Nakazał służbie, aby nałożyła laurowe wieńce na tyse przeważnie czaszki milionerów. Dwunastu najpotężniejszych ludzi Ameryki! Wyglądali teraz – wszyscy bez wyjątku – jak banda skończonych kretynów. Potworna zarozumiałość, która narastała w nich, w miarę jak mnożyły się ich fortuny, pozwoliła im wierzyć, że te suche badyle mają jakieś znaczenie. Żadna z żon nie wybuchnęła śmiechem. Cóż to były za wiedźmy? Siedziały na swoich szerokich, udrapowanych zadach, a obwisłe piersi wypełniały im dekolty. Bez najmniejszego poczucia humoru. Bez błysku w oku. Zadowalały się tym, że są po prostu lojalnymi żonami wielkich ludzi. Wyniszczało je nieustanne napięcie, które szło w parze z gigantycznymi osiągnięciami ich mężów. Morgan siedział z marsowym wyrazem twarzy, próbując maskować swoją odrazę. Kazał wezwać fotografa, który wykonał zdjęcie. Błysnął flesz – uroczysta chwila została uwieczniona.

Pojechał do Europy na jednym ze statków linii White Star, o nazwie „Oceanic”. Połączył linie White Star, Red Star, American, Dominion, Atlantic Transport i Leyland i rozporządzał stu dwudziestoma pływającymi jednostkami. Nienawidził konkurencji zarówno na morzu, jak i na lądzie. Spędzał długie nocne godziny oparty o burtę statku, wsłuchując się w szum niewidocznych w ciemności fal, poddając się rytmowi oceanu. Morze i niebo były jednakowo czarne – nie do odróżnienia. Jakiś podobny do mewy ptak wyłonił się z ciemności i przysiadł tuż obok. Być może zwabił go nos Morgana. Nie mam nikogo, z kim mógłbym się zmierzyć, powiedział Morgan do ptaka. Była to niezaprzeczalna prawda. Wyniósł się ponad wszelkie poziomy, wysoko nad powszechnie uznawany system wartościowania. Fakt ten zmuszał go do wzięcia na siebie przerażającej odpowiedzialności polegającej na podtrzymywaniu fikcji, jaką karmili się inni ludzie. Dla swoich współwyznawców postanowił wybudować na Sto Dziesiątej Ulicy Zachodniej episkopalną katedrę pod wezwaniem św. Jana Bożego. Wobec żony i dorosłych dzieci będzie nadal grał rolę idealnego ojca rodziny. Ale dla dobra kraju musi żyć możliwie najwystawniej, biesiadować z królami, kupować dzieła sztuki w Rzymie i Paryżu, a nawet pokazywać się z pięknymi kobietami w Aix-les-Bains.

Morgan sumiennie spełniał narzucone sobie obowiązki. Spędzał każdego roku sześć miesięcy w Europie, przenosząc się z wielką pompą z jednego kraju do drugiego. Luki jego statków wypełnione były obrazami, cennymi manuskryptami, pierwszymi edycjami wybitnych dzieł, przedmiotami z nefrytu, brązu, zbiorami autografów, gobelinami, kryształami. Zaglądał w oczy mieszczanom Rembrandta i prałatom El Greco, jakby szukając w nich jakiejś nadrzędnej prawdy, która powaliłaby go na kolana. Kartkował ilustrowane teksty średniowiecznych Biblii w nadziei, że pozostanie mu na palcach pył nieba. Czuł, że jeżeli istnieje coś więcej niż to, co on wie, to w przeszłości raczej, aniżeli w teraźniejszości, o której całkowitym bankructwie był przekonany. Teraźniejszością był on. Płacił kustoszom muzeów, żeby szukali dla niego dzieł sztuki, opłacał naukowców, żeby wykładali mu zasady dawnych cywilizacji. Uczył się historii na flamandzkich gobelinach. Głodził rzymskie posągi. Przechadzał się po Akropolu i czubkiem buta kopał obłuzowane kamienie. Wszystkie te uciążliwe studia kończyły się na cywilizacjach starożytnego Egiptu, które opierały się na założeniu, że wszechświat się nie zmienia i że życie nie kończy się wraz ze śmiercią. Był zafascynowany koncepcją reinkarnacji. Cała jego egzystencja nabrała nowego znaczenia. Zaczął finansować organizowane przez Metropolitan Museum ekspedycje archeologiczne do Egiptu. Interesował się każdym odkryciem, każdą stelą, amuletem czy kanopą zawierającą ludzkie szczątki, wydobytą spod suchego piasku. Pojechał w dolinę Nilu, gdzie zawsze świeci słońce i wody rzeki zawsze występują z brzegów. Nauczył się odczytywać hieroglify. Pewnego wieczoru wyszedł z hotelu w Kairze i pojechał specjalną kolejką kilkanaście kilometrów za miasto, żeby spojrzeć na wielką piramidę. Stał w błękitnej poświacie księżycy i słuchał opowieści egipskiego przewodnika, który mówił o tym, że najmądrzejszy z bogów, Ozyrys, twierdził, iż święte plemię herosów pochodzące od bogów pojawia się na ziemi w pewnych odstępach czasu i że przeznaczeniem jego członków jest opieka nad zwykłymi śmiertelnikami. Morgan doznał olśnienia. Im dłużej myślał o tej legendzie, tym wydawała mu się bardziej prawdopodobna. Po powrocie do Ameryki zaczął się zastanawiać nad Henrym Fordem. Nie miał co do niego złudzeń. Wiedział, że nie jest dżentelmenem. Uważał go za przebiegłego parweniusza, za prostaka. Ale sposób, w jaki Ford manipulował ludźmi, nie wykluczał możliwości, że jest on kolejnym wcieleniem któregoś z faraonów. I jeszcze coś. Otóż, po dokładnym przyjrzeniu się fotografii wielkiego producenta samochodów, Morgan doszedł do wniosku, że jest on niezwykle podobny do Setiego Pierwszego ojca wielkiego Ramzesa, którego mumia była najlepiej zakonserwowana ze wszystkich mumii znalezionych w nekropolu w Tebach, w Dolinie Królów.

Nowojorska rezydencja Morgana znajdowała się przy Madison Avenue pod numerem dwieście dziewiętnastym, na północno-wschodnim rogu Trzydziestej Szóstej Ulicy, w dzielnicy Murray Hill. Był to piękny pałacyk zbudowany z czerwono-brunatnego piaskowca. W sąsiednim domu, z fasadą z białego marmuru, mieściła się Biblioteka Morgana. Kazał ją zbudować w celu pomieszczenia tysięcy książek i dzieł sztuki, które zgromadził w czasie swoich podróży. Gmach ten, z marmurowych bloków ułożonych bez zaprawy murarskiej, zaprojektowany został w stylu włoskiego renesansu przez Charlesa McKima, współnika Stanforda White'a. W dniu, w którym przybył na obiad Henry Ford, spadł śnieg – ciemniejszy od fasady biblioteki. Gruba jego warstwa tłumiła hałasy ulicy. Przed wejściem do rezydencji Morgana stał policjant. Po drugiej stronie ulicy i na czterech rogach skrzyżowania Madison Avenue z Trzydziestą Szóstą Ulicą przechadzali się w grupach mężczyźni w płaszczach z podniesionymi kołnierzami, bacznie obserwując dom wielkiego człowieka.

Morgan kazał przygotować lekki posiłek. Panowie zasiedli do stołu. W milczeniu spożywali ostrygi, zupę żółtawą, szaszłyk barani, sałatkę z cykorii i pomidorów, placek z rabarborem ze śmietaną, kawę, podawano im wina Montrachet i Chateau Latour. Dwaj służący Morgana krzatali się po jadalni serwując dania i zabierając je ze stołu z tak niezwykłą sprawnością i tak bezszelestnie, że zdawać by się mogło, iż wszystko to odbywa się w jakiś cudowny sposób zupełnie bez udziału ludzi. Ford jadł z apetytem, ale wina nie tknął. Skończył przed gospodarzem. Otwarcie przyglądał się nosowi Morgana. Znalazł okruszynkę na obrusie, zebrał ją i położył na spodek filiżanki do kawy. Wodził czubkami palców po złotym talerzu.

Po obiedzie Morgan zaproponował Fordowi przejście do biblioteki. Wyszli więc z jadalni i przeszli przez dość ciemny hall, gdzie kilku mężczyzn czekało na okazję zamienienia kilku słów z Pierpontem Morganem. Byli to jego adwokaci. Czekali, żeby mu udzielić wskazówek w związku ze zbliżającym się wystąpieniem przed Komisją do Spraw Bankowości i Finansów Izby Reprezentantów, która zebrała się w Waszyngtonie celem stwierdzenia, czy aby w Stanach Zjednoczonych nie powstał trust bankowy. Na widok Morgana zerwali się z krzesel, ale on odgonił ich ruchem ręki. W poczekalni znajdował się również pewien ubrany w odświętny tużurek handlarz dzieł sztuki, który przyjechał specjalnie z Rzymu. Ten uniósł się tylko z fotela, żeby ukłonić się Morganowi.

Nic z tego wszystkiego nie uszło uwagi Forda. Był człowiekiem o prostych gustach, mimo to wcale nie czuł się onieśmielony obyczajami panującymi na dworze władcy imperium, które różniło się od jego własnego właściwie tylko stylem. Morgan zaprowadził go do wielkiej sali w zachodnim skrzydle biblioteki. Zasiedli w fotelach ustawionych po dwóch stronach kominka tak wielkiego, że mógłby w nim stanąć człowiek. Dobrze jest siedzieć przed kominkiem w taki dzień jak dziś, powiedział Morgan. Ford zgodził się z tym stwierdzeniem. Zaproponowano mu cygaro, odmówił. Zauważył, że sufit jest złożony, a ściany sali pokryte szkarłatnym adamaszkiem. Wszędzie wisały oszklone obrazy w ciężkich ramach. Byli na nich ludzie o uduchowionym wyrazie twarzy i żółtawym odcieniu skóry, z głowami otoczonymi aureolami. Ford pomyślał, że w dawnych czasach nikt, kto nie był świętym, nie mógł sobie widać pozwolić na portret. Jeden z obrazów przedstawiał Madonnę z Dzieciątkiem. Ford gładził czerwone, pluszowe oparcie fotela.

Morgan pozwolił mu się dobrze rozejrzeć. Kurzył cygaro. Wreszcie odezwał się. Panie Ford, powiedział szorstko, nie zamierzam wykupić ani pańskiego przedsiębiorstwa, ani nawet części pańskich akcji. Nie jestem związany z żadnym z pańskich konkurentów. Ford skinął głową. Muszę przyznać, że mnie to cieszy, odparł, rzucając mu przelotne spojrzenie. Chciałbym, ciągnął Morgan, żeby pan wiedział, iż jestem pełen podziwu dla pańskich osiągnięć i chociaż nie mam pewności, czy każdy debil, który ma kilkaset dolarów na zbyciu, powinien mieć możliwość kupienia samochodu, to muszę przyznać, że przyszłość należy do pana. Jest pan stosunkowo młodym człowiekiem, ma pan, zdaje się, pod pięćdziesiątkę i być może rozumie pan – bo ja tego nie potrafię – konieczność dzielenia mas społecznych na grupy. Spędziłem całe życie na koordynowaniu zasobów kapitałowych i łączeniu różnych gałęzi przemysłu, ale nigdy nie brałem pod uwagę faktu, że już samo zatrudnianie robotników w jednym zakładzie stanowi harmonijny proces integracji, i to niezależnie od typu przedsiębiorstwa. Postawię panu pytanie. Czy nie pomyślał pan nigdy o tym, że pańska ruchoma taśma jest być może nie tylko genialnym wynalazkiem racjonalizatorskim? Że jest ona wyrazem jednej z podstawowych prawd? Wymienność części składowych całości jest jednym z praw przyrody. Każdy człowiek jest w końcu częścią składową swojego rodzaju i swojego gatunku. Wszystkie ssaki rozmnażają się w identyczny sposób, wszystkie karmią się mlekiem swoich matek, wszystkie mają identyczną przemianę materii, krążenie i takie same zmysły. Nie twierdzą, oczywiście, że ssaki składają się, dosłownie, z części zamiennych tak jak pańskie automobile. Ale wspólne im wszystkim podstawowe cechy pozwalają taksonomistom klasyfikować je jako ssaki. A w ramach tego samego gatunku – na przykład w przypadku człowieka – prawa natury działają tak, że indywidualne różnice stanowią bazę podobieństwa. Tak że odrębność można porównać do piramidy, której

budowę dopiero wówczas należy uznać za skończoną, kiedy jej budowniczowie położą ostatni kamień na szczycie.

Ford zamyślił się. Z wyjątkiem Żydów, mruknął wreszcie. Morgan był przekonany, że się przesłyszał. Przepraszam, ale nie rozumiem. Żydów, powtórzył Ford, oni są zupełnie inni niż wszyscy ludzie, jakich znam. No i widzi pan, cała pańska teoria jest gównem warta. Uśmiechnął się.

Morgan milczał przez dłuższą chwilę. Kurzył cygaro. Ogień na kominku trząsał. Śnieg unoszony przez wiatr miękko uderzał w okna biblioteki. Morgan odezwał się znowu. Widzi pan, powiedział, od czasu do czasu zatrudniam naukowców, żeby pomogli mi w dociekaniach filozoficznych. Moim celem jest odkrycie tych prawd o życiu, które są poza zasięgiem inteligencji przeciętnego człowieka. Chciałbym się z panem podzielić owocami tych studiów. Mam nadzieję, że nie jest pan aż tak zarozumiały, żeby wierzyć, iż pańskie osiągnięcia są wyłącznie rezultatem pańskich osobistych wysiłków. Gdyby tak było, drogi panie, byłbym zmuszony ostrzec pana przed wysoką ceną, jaką przyszyłoby panu zapłacić za taki punkt widzenia. Albowiem znalazłby się pan na krawędzi świata i zobaczyłby pan – jak żaden śmiertelnik przed panem – ziejącą pustkę naszego firmamentu. Czy pan wierzy w Boga? To moja sprawa, mruknął Ford. Doskonale, odparł Morgan, byłem pewny, że człowiek o pańskiej inteligencji nie może hołdować tak pospolitej idei. Jestem panu potrzebniejszy, niż się panu zdaje. A gdybym panu udowodnił, że istnieją uniwersalne i powtarzające się w nieskończoność układy, które przydają wszystkiemu, co dzieje się na naszej planecie, sensu i znaczenia? Gdybym panu pokazał coś, co by pana przekonało, że pan sam jest żywym potwierdzeniem jednej z największych i najstarszych prawd świata?

Morgan zerwał się z fotela i opuścił pokój. Ford obrócił się wraz z fotelem i odprowadził go wzrokiem do drzwi. Po chwili stary pan wrócił i gwałtownym ruchem ręki przywoływał do siebie gościa. Ford poszedł za nim przez główną salę biblioteki do Sali Wschodniej, której wysokie ściany zastawione były po sufit półkami na książki. Dwa podesty z podłogami z matowego szkła i mosiężnymi balustradami ciągnęły się na dwóch kondygnacjach dokoła sali tak, że nawet najwyżej ustawiona książka była łatwo dostępna. Morgan podszedł do przeciwległej ściany, nacisnął grzbiet książki. Ściana rozstała się, tworząc wąskie przejście, przez które mógł się przecisnąć jeden człowiek. Proszę bardzo, powiedział Morgan, i puścił Forda przodem. Weszli do niewielkiego pomieszczenia. Morgan nacisnął guzik i zamknął za sobą drzwi.

Znaleźli się w niewielkim, skromnie umeblowanym pokoju. Stał tam okrągły stół z wypolerowanym blatem, dwa krzesła o wysokich oparciach i oszklona gablotka, w której leżały cenne manuskrypty. Morgan zapalił stojącą lampę z zielonym metalowym abażurem. Nikt poza mną nie był jeszcze w tym pokoju, powiedział. Zapalił drugą stojącą lampę i skierował strumień światła na gablotę. Proszę łaskawie podejść bliżej, powiedział do Forda. Ford zajął przez szybę do szafki i zobaczył skrawek starego pergaminu zapisany starannie wykaligrafowaną łaciną. To jest, wyjaśnił Morgan, jeden z najstarszych tekstów bractwa Różokrzyżowców, *Chemiczne zaślubiny Christiana Różokrzyżowca*. Czy pan wie, kim byli ci ludzie, panie Ford? Była to sekta alchemików, chrześcijan żyjących w palatynie reńskim za elektoratu Fryderyka Piątego. Mówimy o pierwszych latach siedemnastego wieku, drogi panie. Ci poczciwi i wspaniali ludzie twierdzili, że w każdej epoce historycznej żyją na ziemi istoty obdarzone pozytywną wiedzą magiczną, którą otrzymały po to, by wykorzystywać ją dla wspólnego dobra ludzkości. Po łacinie nazywa się to *prisca theologia*, czyli wiedza tajemna. Ciekawe jest to, że wiara w wiedzę tajemną nie ogranicza się do bractwa Różokrzyżowców. Wiemy, że w tym samym czasie, a więc mniej więcej w połowie siedemnastego wieku, istniało w Londynie stowarzyszenie zwane Niewidzialnym Kolegium.

O jego członkach mówiło się, że posiadają tę właśnie pozytywną wiedzę magiczną, o której wspominałem. Nie zna pan, oczywiście, dzieł Giordana Bruna. Patrzy pan właśnie na kawałek jego rękopisu. Moi naukowcy, pracując jak najwytrawniejsi detektywi, stwierdzili, że taka wiedza rzeczywiście istniała i że poza tym istniały również liczne tajemne organizacje, których celem było kultywowanie jej we wszystkich niemal kulturach w okresie renesansu, w społeczeństwach średniowiecznych i w starożytnej Grecji. Mam nadzieję, że pan mnie uważnie słucha. Najwcześniejsza wzmianka o niezwykłych ludziach, którzy zjawili się na świecie po to, żeby ukoić cierpienia ludzkości za pomocą owej *prisca theologia*, dotarła do nas z greckiego przekładu pism Hermesa Trismegistusa. To właśnie od jego imienia pochodzi nazwa tej tajemnej wiedzy. Brzmi ona *hermetica*. Grubym, wskazującym palcem Morgan stuknął w szybę gabloty i wskazał na małą, różową płytkę, na której widniały nikłe ślady jakichś geometrycznych znaków. To, proszę pana, jest najprawdopodobniej autentyczna tabliczka zapisana pismem klinowym przez samego Hermesa. A teraz chciałbym panu postawić pytanie. Jak pan myśli, dlaczego wiedza, która istniała przez wieki we wszystkich cywilizowanych krajach, nie przetrwała do naszych czasów? Dlaczego akurat w okresie rozkwitu nauki i technologii ci niezwykli ludzie i ich siła nie ujawniają się. Ja panu powiem, dlaczego. Dlatego że mechanistyczne teorie naukowe Newtona i Kartezjusza były wielkim spiskiem, wielkim diabelskim spiskiem w celu pozbawienia nas strachu przed rzeczywistością i świadomością tego, że istnieją wśród nas ludzie obdarzeni transcendentną inteligencją. Ale oni mimo to żyją

wśród nas. Tak jak w każdej innej epoce. Bo widzi pan, oni powracają. Czy pan już rozumie, do czego zmierzam? Oni powracają!

Twarz Morgana poczerwieniała z podniecenia. Wskazał na najdalszy, ciemny kąt pokoju, gdzie stał mebel przypominający skrzynię nakrytą złotą, aksamitną narzutą. Morgan chwycił róg narzuty i – patrząc na Forda z dumą posiadacza – ściągnął ją i rzucił na ziemię. Ford zbliżył się do odsłoniętego przedmiotu. Zobaczył szklaną skrzynię zapieczętowaną ołowiem. W skrzyni znajdował się sarkofag. Ciszę w pokoju przerywał jedynie ciężki, przyspieszony oddech Morgana. Sarkofag zrobiony był z alabastru. Na jego wieku znajdował się – namalowany na drewnie – portret człowieka, który w nim spoczywał. Wykonany w różnych odcieniach czerwieni, błękitu i bogato połączony. Oto, drogi panie, powiedział Morgan zachrypłym głosem, trumna jednego z wielkich faraonów. Zarówno rząd egipski, jak i wszyscy archeolodzy żyją w przekonaniu, że jest ona w kairskim muzeum sztuki. Gdyby świat się dowiedział, że stała się moją prywatną własnością, wybuchłby międzynarodowy skandal. To jest, w pełnym tego słowa znaczeniu, bezcenny obiekt. Moi prywatni egipolodzy wykorzystali najnowsze zdobycze nauki, żeby zabezpieczyć go przed zgubnymi skutkami utleniania. Pod maską, którą pan widzi, znajduje się mumia największego z faraonów dziewiętnastej dynastii, Setiego Pierwszego. Znalaziono ją w świątyni w Karnaku, gdzie spoczywała przez trzy tysiące lat. Pokażę ją panu w odpowiednim czasie. Na razie powiem tylko, że widok twarzy tego wielkiego monarchy z pewnością pana zainteresuje.

Dopiero w kilka minut później Morgan odzyskał równowagę. Przesunął jedno z krzesel i usiadł przy stole. Jego oddech uspokajał się powoli. Ford usiadł naprzeciwko niego. Rozumiał, że stary człowiek walczy z jakimiś dolegliwościami, więc milczał wpatrując się w czubki swoich butów. Buty te, brązowe, sznurowane, wybrał z katalogu firmy L.L. Bean. Były solidne i wygodne. Panie Ford, odezwał się wreszcie Pierpont Morgan, czy zechce mi pan towarzyszyć jako mój gość w podróży do Egiptu? Trzeba znać ten kraj. To właśnie tam wszystko się zaczęło. Kazałem zbudować statek specjalnie przystosowany do żeglugi po Nilu. Kiedy będzie gotowy, chciałbym, żeby pan ze mną pojechał. Czy przyjmuje pan zaproszenie? Nie będzie to pana kosztowało ani grosza. Pojedziemy do Luksoru, do Karnaku i do Gizy, gdzie znajduje się wielka piramida. Jest nas tak niewielu. Kosztowało to dużo, ale udało mi się dotrzeć do pewnych krypt, doprowadzić do odcyfrowania świętych hieroglifów. Musimy przecież dojść do tego, kim właściwie jesteśmy i na czym polega odwieczna, dobroczynna siła, której jesteśmy wcieleniem.

Ford siedział lekko przygarbiony. Jego wąskie dłonie zwisały luźno z poręczy krzesła. Wyglądały, jak gdyby były złamane w przegubach. Zastanawiał się nad wszystkim, co zostało powiedziane. Wpatrywał się w sarkofag. Kiedy zdawało mu się, że już wszystko przemyślał, pokiwał poważnie głową i powiedział: Jeżeli dobrze pana zrozumiałem, panie Morgan, to chodzi panu o reinkarnację. No to teraz ja panu coś powiem, dobrze? Kiedy byłem małym chłopcem, przeżywałem ostry kryzys, bo zdałem sobie nagle sprawę, że tak w gruncie rzeczy to nie ma powodu, żebym wiedział tyle, ile wiedziałem. Miałem spryt, to fakt, ale w końcu byłem tylko prostym, wiejskim chłopakiem, który namęczył się nad elementarzem McGuffeya nie mniej niż inni. Ale orientowałem się błyskawicznie w zasadach mechanizmu każdej maszyny. Wystarczyło, że raz na nią spojrziałem i już wiedziałem, jak działa, co więcej, wiedziałem natychmiast, jak można by ją usprawnić. Ale nigdy w życiu nie byłem intelektualistą i nigdy nie lubiłem górnolotnych słów.

Morgan słuchał uważnie. Czuł, że nie powinien zrobić najmniejszego ruchu.

Pewnego dnia, ciągnął Ford, kupiłem zupełnie przypadkowo taką małą książeczkę – nazywała się *Odwieczne prawdy fakira Wschodu* – wydaną przez firmę Franklin Novelty Company w Filadelfii. I w tej książeczce, za którą zapłaciłem dwadzieścia pięć centów, znalazłem to, czego potrzebowałem, żeby odzyskać spokój ducha. Panie Morgan, jedyna rzecz, w którą naprawdę wierzę, to reinkarnacja. Zrozumiałem, że moje niezwykle zdolności biorą się stąd, że niektórzy z nas żyli po prostu więcej razy niż inni. No i niech pan popatrzy, wydał pan miliony dolarów nauczonych i na podróże po całym świecie, a ja to wszystko już dawno wiem. I powiem panu jeszcze coś. Żeby się odwdziżyć za ten obiad, pożyczę panu moją książeczkę. Po co się biedzić nad tą okropną łaciną – dodał machnąwszy pogardliwie ręką – po co się grzebać w śmietnikach Europy i budować specjalne statki do żeglugi po Nilu, kiedy można się wszystkiego dowiedzieć za trzy grosze z jednej małej książeczki!

Mężczyźni patrzyli na siebie w milczeniu. Morgan odchylił się w fotelu. Krew odpłynęła mu z twarzy, oczy przygasły. Wreszcie odezwał się słabym głosem starca. Panie Ford, powiedział, jeżeli moje poglądy przeżyją, mimo że pan je podziela, będzie to ostatecznym dowodem ich słuszności.

Przełom został dokonany. Mniej więcej w rok po tym niezwykłym spotkaniu Morgan pojechał do Egiptu. Ford wprawdzie mu nie towarzyszył, przyznał się przecież, że zgadza się z hipotezą Morgana. Poza tym Morgan i Ford założyli najtajniejszy i najbardziej ekskluzywny klub w Ameryce. Nadali mu nazwę „Piramida” i byli jego jedynymi członkami. Klub ten sfinansował pewne badania naukowe, które trwają po dzień dzisiejszy.

W owym okresie naszej historii każdy człowiek potrafił wyobrazić sobie sceny z życia starożytnego Egiptu. A to dlatego, że z pustyni egipskiej wciąż docierały do nas wieści od angielskich i amerykańskich uczonych o dokonywanych tam przez nich odkryciach archeologicznych. Po graczach futbolowych ubranych w sięgające do łydek, wypchane na kolanach spodnie i skórzane kaski ochronne bożyszczami amerykańskich studentów stali się archeologowie. Niedzielne dodatki do gazet rozpisywały się o metodach mumifikacji zwłok, młodzi reporterzy wdawali się we wnikliwe opisy rytuałów pogrzebowych odczytywanych z papyrusów. Sztuka egipska, egipski styl zapanowały w amerykańskich wnętrzach. Skończyła się moda na Ludwika XIV, meblowano pokoje fotelami przypominającymi trony, z oparciami w kształcie węży. U nas, w New Rochelle, matka także uległa tej modzie. Powiedziała, że przygnębia ją tapeta w kwiaty, jaką wyklejona była nasza jadalnia, i zastąpiła ją inną o eleganckim wzorze, przedstawiającym długie szeregi ciemnookich mężczyzn i kobiet, odzianych w krótkie spódniczki, z ozdobami na głowach, postacie mieniące się ochrą, błękitem i brązem. Paradowały one po naszych ścianach zwrócone do nas profilem, niosąc wiązki kłosów, lilie wodne i lutnie. Niektórzy trzymali sępy na płasko wyciągniętych dłoniach. Towarzyszyły im lwy, skarabeusze, sowy, woły i odcięte stopy. Ojciec – uczulony na każdą zmianę – stracił na pewien czas apetyt. Uważał, że udawanie się do grobowca celem spożywania posiłków jest rzeczą niestosowną.

Chłopcu jednak ten wzór ogromnie się spodobał i skłonił do studiowania hieroglifów. Przestał czytać tygodnik „Dziki Zachód” i zabrał się do czasopism drukujących opowieści o obrabowanych grobowcach i zbliżających się klęskach na skutek klątw związanych z naruszeniem spokoju egipskich mumii. Zainteresował się czarną kobietą mieszkającą na poddaszu. W jego wyobraźni przedstawiała się jako wzięta do niewoli nubijska królowa. Ona zaś, nieświadoma tego, siadywała całymi dniami przy oknie, podczas gdy on przechodził pod jej drzwiami w masce ibisa, którą zrobił sobie z tektury.

Pewnego popołudnia – a była to niedziela – najnowszy model Forda powoli podjechał na wzgórze i minął nasz dom. Chłopiec, który zobaczył go z werandy, zbiegł pędem po schodach i stanął na chodniku. Kierowca Forda rozglądał się na prawo i lewo, jak gdyby szukał jakiegoś domu, dojechał do skrzyżowania i zawrócił. Zatrzymał się tuż przy chłopcu i nie gasząc motoru skinął na niego ręką w skórzanej rękawiczce.

Był to Murzyn. Samochód lśnił czystością. Miał pięknie wypolerowane nikle, z przodu zaś szklaną szybę oraz zrobiony specjalnie na zamówienie dach z twardej dermy. Szukam młodej Murzynki, której na imię Sara, powiedział. Podobno mieszka w jednym z tych domów.

Chłopiec zrozumiał, że chodzi o czarną dziewczynę ze strychu. Jest u nas. Mężczyzna zgasił motor, zaciągnął hamulec i wyskoczył z samochodu. Wspiął się po kamiennych schodkach, przeszedł pod dwoma norweskim klonami i stanął przed kuchennym wejściem.

Matka otworzyła mu drzwi. Murzyn uklonił się uprzejmie i niepokojąco pewnym siebie i stanowczym tonem zapytał, czy mógłby się zobaczyć z Sarą. Matka nie potrafiła ocenić wieku tego człowieka. Był silnie zbudowany, cerę miał lśniącą, brązowoczerwoną, wystające kości policzkowe, duże czarne oczy i tak intensywne spojrzenie, że można się było spodziewać, iż zacznie za chwilę zezować, oraz starannie przystrzyżone wąsy. Ubrany był z przesadną elegancją, charakterystyczną dla zamożnych Murzynów. Miał na sobie dobrze skrojony czarny płaszcz, garnitur w drobną, biało-czarną krateczkę, szare getry i czarne spiczaste półbuty; W ręku trzymał ciemnoszarą czapkę i gogle. Matka kazała mu poczekać i zamknęła drzwi. Weszła na górę. Znalazła Sarę nie jak zwykle przy oknie, ale stojącą naprzeciwko drzwi, z rękami skrzyżowanymi na piersiach. Sara, powiedziała matka, masz gościa. Dziewczyna milczała. Czy zejdiesz do kuchni? Dziewczyna potrząsnęła przecząco głową. Więc nie chcesz go widzieć? Nie, proszę pani, odparła dziewczyna cichym głosem, nie odrywając wzroku od podłogi. Proszę mu powiedzieć, żeby sobie poszedł. Tak długiego zdania nie wypowiedziała w czasie całego wielomiesięcznego pobytu w naszym domu. Matka powróciła na dół i zastała mężczyznę już nie za drzwiami, ale w kuchni, gdzie w ciepłym kącie za piecem spało w wózeczku dziecko Sary. Wózeczek składał się z wiklinowego koszyka wyściełanego spłóciętym atlasem i czterech drewnianych kół ze szprychami. Sypiał w nim niegdyś rodzony syn mojej matki, a przed nim jej brat. Murzyn klęczał przy wózku i przyglądał się dziecku z uwagą. Moja matka – trochę zdezorientowana – poczuła się nagle zgorzonna, że obcy człowiek pozwolił sobie wejść do domu bez zaproszenia. Sara nie może pana przyjąć, powiedziała i otworzyła drzwi. Murzyn raz jeszcze spojrzął na dziecko, wstał, podziękował i wyszedł. Matka zamknęła drzwi głośniejszym, niż należało. Dziecko zbudziło się i zaczęło płakać. Wzięta je na rękę i uspokajając, zastanawiała się nad zdumiewająco silnymi emocjami, jakie wzbudził w niej ten człowiek.

Taki przebieg miało pierwsze pojawienie się obcego Murzyna w samochodzie na Broadview Avenue. Nazywał się Coalhouse Walker. Odtąd przyjeżdżał w każdą niedzielę, stukał do kuchennych drzwi i odchodził bez słowa, kiedy mówiono mu, że Sara nie chce się z nim zobaczyć. Ojciec uznał te wizyty za utrapienie i zastanawiał się, jak z nimi skończyć. Wezwę policję, groził. Matka kładła mu rękę na ramieniu. Pewnej

niedzieli Murzyn przyniósł duży bukiet żółtych chryzantem, które – zważywszy na porę roku – musiały kosztować mnóstwo pieniędzy. Zanim matka zaniósła je Sarze, wyjrzała przez okno na ulicę. Przed naszym domem na jezdni Murzyn czyścił swój samochód, szprychy kół, przednią szybę i reflektory. Spojrzał w okno pokoju Sary na drugim piętrze i odjechał. Matce przypomniały się miny seminarzystów, którzy przed laty – jeszcze w Ohio, kiedy była siedemnastoletnią panną – przychodzili do niej w odwiedziny. Powiedziała do ojca: Zdaje mi się, że jesteśmy świadkami bardzo uporczywych i zacnych zalotów. Może i tak, odparł ojciec, jeżeli nazwać zalotami coś, co już się skończyło narodzinami dziecka. Moim zdaniem jesteś bardzo niesprawiedliwy. Zadał cierpienie, a teraz wyraża skruchę. To bardzo krzepiące i przykro mi, że nie widzisz tego.

Czarna dziewczyna nie chciała wyjawić, kim jest jej gość. Nikt z nas nie wiedział ani jak go poznała, ani co ją z nim łączy.

O ile można się było zorientować, nie miała rodziny ani przyjaciół, przynajmniej w murzyńskiej dzielnicy miasta. Mieszkała tam zasiedziała społeczność murzyńska, ale na jej skraju – także liczni nowi przybysze. Można było przypuszczać, że Sara przybyła z Południa, żeby tu znaleźć pracę jako służąca. Matka była całą tą sprawą bardzo podniecona. Po raz pierwszy od strasznego dnia, kiedy znalazła w klombie ciemnoskóre dziecko, zaświtała w niej nadzieja znalezienia dla młodej dziewczyny godziwego wyjścia z sytuacji. Martwiło ją bezkompromisowe stanowisko Sary. Uważała, że z Harlemu, gdzie mieszkał Coalhouse Walker, do New Rochelle i z powrotem to kawał drogi, i postanowiła, że kiedy przyjedzie następnym razem, przyjmie go, a nawet poczęstuje herbatą w salonie. Ojciec zakwestionował stosowność tej decyzji. On wyraża się bardzo poprawnie i zachowuje się jak dżentelmen, zauważyła matka. Nie widzę w moim zaproszeniu nic zdrożnego. Kiedy w Białym Domu urzędował pan Roosevelt, zaprosił na kolację Bookera T. Washingtona. Czemu więc nie moglibyśmy zaprosić Coalhouse'a Walkera na herbatę?

Toteż stało się tak, że w następną niedzielę Murzyn był u nas na podwieczorku. Ojciec zauważył później, że bez jakiegokolwiek skrępowania siedział w naszym salonie z filiżanką i spodkiem w ręku. Zachowywał się, jak gdyby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie, bez onieśmienia, bez cienia służalczości, uprzejmie i dokładnie tak, jak trzeba. Opowiedział o sobie. Okazało się, że jest z zawodu pianistą, że mieszka stale w Nowym Jorku, gra w zespole „Jim Europe Clef Club Orchestra”, który występuje regularnie w „Manhattan Casino”, na zbiegu Sto Piętnastej Ulicy i Ósmej Alei. Dla muzyka, oświadczył, jest rzeczą niezmiernie ważną znalezienie stałego zatrudnienia w orkiestrze, która nie musi podróżować. Skończyłem z tym, dodał. Mam dość wałęsania się z miejsca na miejsce. Powiedział to z takim naciskiem, że ojciec zrozumiał, iż jest to skierowane do młodej kobiety na górze. Zirykowało go to. A co pan umie grać? – zapytał nagle Murzyna. Może zagra pan coś dla nas?

Murzyn odstawił filiżankę na tacę. Wstał, otarł usta serwetką, położył ją obok filiżanki i podszedł do fortepianu. Usiadł na stołku, ale natychmiast wstał i zaczął podkręcać go do odpowiedniej wysokości. Znowu usiadł, przeleciał palcami po klawiszach i powiedział do moich rodziców: Ten fortepian jest bardzo rozstrojony. Ojciec poczerwieniał. Rzeczywiście, odezwała się matka, zaniedbaliśmy go okropnie. Coalhouse obrócił się twarzą ku klawiaturze i zapowiedział utwór wielkiego Scotta Joplina *Wall Street Rag*. Zaczął grać. Rozstrojony czy nie, nasz Aoelian nigdy jeszcze nie wydał z siebie równie pięknych tonów. Krótkie, czyste frazy zawisły w powietrzu jak kwiaty, jak bukiety dźwięków. Zdawało się, że poza tą muzyką nie może być w życiu nic ważniejszego. Kiedy Coalhouse Walker odwrócił się wraz ze stołkiem, zobaczył, że słucha go cała rodzina. Ojciec, matka, chłopiec, dziadek i młodszy brat matki, który zszedł na dół w koszuli i szelkach, żeby zobaczyć, kto tak gra. On jeden z nas wszystkich znał ragtime. Przecież jeszcze do niedawna bywał w nowojorskich nocnych lokalach. Nigdy się nie spodziewał, że będzie słuchał ragu w domu swojej siostry.

Coalhouse Walker obrócił się twarzą do klawiatury i zapowiedział *Liść klonu*. Utwór wielkiego Scotta Joplina. Dźwięki najślynniejszego ze wszystkich ragów rozbrzmiały w powietrzu. Pianista siedział sztywno wyprostowany przed fortepianem, a spod długich czarnych palców, zakończonych różowymi paznokciami, płynęły – zdawałoby się, bez najmniejszego wysiłku z jego strony – wiązki synkopowanych akordów i grzmoty oktaw. Była to głośna i pełna wigoru muzyka, która poruszała zmysły i ani przez moment nie ustawała. Chłopiec odczuł ją jak źródło światła, które padając to tu, to tam tworzy skomplikowane wzory. Po chwili cały pokój zaczął tonąć w ich poświacie. Muzyka wypełniła schody, popłynęła w górę aż po drugie piętro, gdzie milcząca i uparta Sara siedziała z rękoma splecionymi na kolanach i słuchała jej przez otwarte drzwi.

Fortepian zamilkł. Rozległy się oklaski. Matka przedstawiła pana Walkera dziadkowi i młodszemu bratu, który uścisnął rękę Murzyna i powiedział, miło mi pana poznać. Coalhouse Walker miał minę uroczystą. Wszyscy stali. Panowała cisza. Ojciec odchrząknął. Nie znał się na muzyce. Lubił na przykład utwory Carrie'ego Jacobsa Bonda. Uważał, że melodie murzyńskie powinny być skoczne i wesołe. Czy pan zna jakieś piosenki czarnuchów? – zapytał. Nie zamierzał nikogo obrażać. Czarnuchami nagminnie nazywano Murzynów. Pianista przytaknął nerwowym potrząśnięciem głowy. Piosenki czarnuchów, powiedział, pisane są dla białych, śpiewają je wyłącznie biali pomalowani na czarno. Znowu zapadła cisza. Murzyn spojrział w sufit. No cóż, powiedział, wygląda na to, że panna Sara nie będzie mogła mnie przyjąć. Obrócił się gwałtownie i przez hall

poszedł do kuchni. Cała rodzina ruszyła za nim. Jego płaszcz leżał na krześle. Włożył go na siebie i nie bacząc na obecnych, przykleknął przy śpiącym w wózekczku dziecku i patrzył na nie przez chwilę. Potem wstał, pożegnał się i wyszedł.

Wizyta Coalhouse'a Walkera zrobiła wrażenie na wszystkich z wyjątkiem Sary, która wciąż nie chciała mieć z nim do czynienia. A on powrócił następnej niedzieli i jeszcze następnej. Odwiedzał teraz tylko naszą rodzinę i co tydzień opowiadał, co się z nim działo przez ubiegłych sześć dni, uważając zapewne, że jest to dla nas szalenie interesujące. Ojciec nie był zachwycony sytuacją. Ona go nigdy do siebie nie dopuści, zapewniał matkę. Czy wobec tego będę musiał co niedziela, do końca moich dni, przyjmować u siebie pana Coalhouse'a Walkera? Ale matka twierdziła, że widzi pewne oznaki postępu. Sara przejęła obowiązki pokojówki, która odeszła, i sprzątała pokoje z taką energią i przejęciem, że matka kiedyś aż się roześmiała, bo zdawało jej się przez chwilę, że Sara robi porządki we własnym domu. Zaczęła się interesować dzieckiem nie tylko w porach karmienia, zajęła się jego codzienną kąpielą i brała je na noc na górę do swojego pokoju. Ale wciąż odmawiała przyjęcia Coalhouse'a Walkera. A on pojawiał się regularnie każdej niedzieli przez całą zimę. Kilka razy, kiedy drogi były nieprzejezdne z powodu wielkich opadów śniegu, przyjeżdżał pociągiem, a z dworca tramwajem, który jechał z North Avenue aż pod samo nasze wzgórze. Sprawił sobie czarny, wcięty w pasie płaszcz i baranią czapę w rosyjskim stylu. Kupił dziecku ubranka. Przyniósł srebrną szczotkę do włosów dla Sary. Ojciec zmuszony był podziwiać go za wytrwałość. Zastanawiał się, jak ten pianista może sobie pozwolić na tak kosztowne prezenty.

Pewnego dnia ojciec uświadomił sobie, że Coalhouse Walker nie zdaje sobie z tego sprawy, że jest czarny. Im dłużej zastanawiał się nad tą hipotezą, tym wydawała mu się słuszniejsza. Walker nie zachowywał się i nie mówił jak Murzyn. Potrafił okazywać tradycyjny szacunek ludzi swojej rasy dla białych i robił to w taki sposób, że stawał się on wyrazem jego godności raczej niż godności białych. Kiedy zjawiał się przed kuchennymi drzwiami, pukał energicznie, a po wpuszczeniu witał się ze wszystkimi uroczyście; potrafił jakoś wytworzyć taką atmosferę, że czuliśmy się jak krewni Sary i zaczęło nam się zdawać, iż szacunek, jaki nam okazuje Coalhouse Walker, jest miarą jego miłości i respektu dla niej. Ojciec widział pewne niebezpieczeństwo związane z tym człowiekiem. Chyba nie powinniśmy popierać jego starań o rękę Sary, powiedział do matki. Jest w nim coś lekkomyślnego. Nawet Mathew Henson znał swoje miejsce.

Jednakże nic już nie mogło powstrzymać biegu wypadków. Pod koniec zimy Sara oznajmiła, że zobaczy się z Coalhouse'em Walkerem w salonie. Przez kilka dni trwały gorączkowe przygotowania. Matka dała Sarze jedną ze swoich sukien i pomogła ją zwęzić. Sara zeszła na dół piękna, nieśmiała. Miała starannie wyszczotkowane i wypomadowane włosy. Siedziała ze spuszczonej oczami na kanapie, podczas gdy Coalhouse Walker prowadził uprzejmą konwersację i grał dla niej na fortepianie. Dopiero kiedy widziało się ich razem, można się było zorientować, że dziewczyna jest znacznie od niego młodsza. Matka kazała nam opuścić salon, aby umożliwić tym dwojgu rozmowę w cztery oczy. Ale to nie przyspieszyło wypadków. Po tej wizycie Sara była zirytowana, a nawet zła. Niełatwo wybaczała i upór wydawał jej się jedyną stosowną odpowiedzią na jego nalegania. Usiłowała zabić nowo narodzone dziecko. A przecież żadne z tych ludzi nie lekceważyło życia. Poddawali się bez reszty swoim uczuciom i nadziejom. Nie udawali niczego. Młodszy brat matki rozumiał to zapewne lepiej niż reszta rodziny. Podziwiał Coalhouse'a Walkera ponad wszelką miarę, mimo że rozmawiał z nim zaledwie jeden raz. Widział w konsekwentnym postępowaniu Murzyna więcej męskiej godności, niż sam jej posiadał. Myślał o tym godzinami. Uważał pewien gatunek miłości za coś w rodzaju wady serca, za skazę fizjologiczną w tej części organizmu, tak jak na przykład krzywica lub skłonność do zapalenia płuc. Sam był dotknięty tą niemocą. Sara także, mimo że czarna. Wyobrażał sobie, że jest ona zagubioną afrykańską królową. Jej niezgrabne ruchy wskazywały na to, bo w innym kraju mogły przecież uchodzić za uosobienie wdzięku. Im dłużej dziewczyna ociągała się z przyjęciem oświadczeń Coalhouse'a Walkera, tym lepiej młodszy brat matki rozumiał, jak strasznie chore jest jej serce.

Ale pewnej marcowej niedzieli, kiedy wiały łagodniejsze wiatry, a na gałęziach klonów widać już było malutkie brązowe pączki, Coalhouse przyjechał błyszczącym Fordem, wysiadł i nie zgasił motoru. Nasi sąsiedzi wyszli na dwór do swoich ogródków, żeby popatrzeć, jak ten dziwny, rośły, krzepki, nerwowy, ale opanowany Murzyn o głębokich, ciemnych oczach z leciutkim zezem prowadzi piękną, nieśmiałą Sarę – ubraną w różową bluzkę, czarny kostiumik, kapelusz o szerokim rondzie podarowany jej przez matkę – pod koronami wielkich, norweskich klonów, a potem po cementowych schodkach na ulicę. Sara niosła na rękach dziecko. Coalhouse pomógł jej wsiąść do samochodu i sam wsunął się za kierownicę. Machając rękami na pożegnanie, ruszyli w drogę. Przejechali przez ulice przedmieścia i zatrzymali się dopiero, kiedy dotarli do pól ciągnących się za północnym krańcem miasta. Coalhouse Walker zaparkował na poboczu szosy. Przez chwilę przyglądali się kardynałowi, który przeleciał tuż nad twardą, brunatną glebą, wzniósł się w powietrze, a potem opadł i przysiadł na najwyższej gałęzi drzewa. Tego dnia Coalhouse Walker zaproponował Sarze małżeństwo, a ona przyjęła oświadczenia. Wkroczenie tych wspaniałych kochanków w nasze życie było dla nas wstrząsem, ten konflikt pomiędzy jej nieustępliwością a jego siłą woli podzielał na nas niemal hipnotycznie.

Młodszy brat matki znowu zaczął jeździć do Nowego Jorku. Przez cały dzień siedział w swoim pokoju nad rajzbretem, a po kolacji szedł na dworzec i wsiadał do wieczornego pociągu. Zaprzyjaźnił się z grupą oficerów intendentury pełniących służbę w zbrojowni przy zbiegu Lexington Avenue i Trzydziestej Czwartej Ulicy. Żalili się przed nim na karabin typu Springfield. Demonstrowali mu swoją krótką broń i granaty. Zorientował się szybko, że potrafiliby skonstruować coś znacznie lepszego. Pił z nimi. Często wystawał przed wejściem dla artystów broadwayowskich teatrów, gdzie czekał, podobnie jak wielu innych mężczyzn, na aktorki. Nie był ani tak starannie ubrany jak niektórzy starsi panowie, ani tak nonszalancko przystojny jak studenci z Princeton czy Yale. Ale intensywny wyraz nadziei w jego oczach zdobywał mu sympatię wielu kobiet. Robił wrażenie człowieka tak poważnego i nieszczęśliwego, że były przekonane, iż jest w nich zakochany. Brały go za poetę.

Jednakże jego pensja nie pozwalała na podobny tryb życia. Broadway mienił się światłami, tętnił zabawą i każdy, kto był związany z teatrem i poddawał się jego atmosferze, żył pełnią życia. Młodszy brat matki nauczył się rozpoznawać kobiety, które za niewielką cenę godziły się iść do łóżka. Jednym z miejsc, w których się gromadziły, był plac przed Bethesda Fountain w Central Parku. Kobiety przechadzały się dokoła niej parami, szczególnie w ciepłe wieczory. Powoli dni stawały się dłuższe. O zachodzie słońca – kiedy robiło się chłodniej – kobiety te zaczynały swoje spacerunki wokół fontanny. Cienie powoli pokrywały jej szerokie stopnie. Woda robiła się coraz ciemniejsza. Płyty chodnika mieniły się brązem i czerwienią. Bawiło je to, że traktował je serio, był delikatny, więc tolerowały jego ekscentryczne maniery. Czasami zapraszał którąś do hotelu i zamyślony, trzymając w ręku jeden but, siedział w fotelu i całkowicie zapominał o jej obecności. Albo zamiast zabrać się na serio do rzeczy, oglądał tylko intymne części jej ciała. Upijał się winem do utraty przytomności. Często jadał w restauracjach, których specjalnością były befsztyki i w których posypywano podłogi trocinami. Zachodził do klubów, mieszczących się w piwnicach dzielnicy zwanej Hell's Kitchen, czyli Diabelską Kuchnią. Bywał w melinach opryszków i pozwalał im stawiać sobie drinki. Nocami wałęsał się po Manhattanie, pozerając oczami przechodniów. Zaglądał przez szyby do wnętrza lokali. Całymi godzinami przesiadywał w hallach hoteli, wodząc rozgorączkowanym wzrokiem za krzątającymi się tam ludźmi.

Poszukał adresu pisma „Matka Ziemia”, które redagowała Emma Goldman. Znajdowało się na Trzynastej Ulicy w domu z brunatnego piaskowca, w którym Emma także mieszkała, kiedy przyjeżdżała do Nowego Jorku. Stał na przeciwnym chodniku pod latarnią i bacznie obserwował okna redakcji. Tak spędził kilka kolejnych wieczorów. Wreszcie z bramy domu wyłonił się mężczyzna, przeszedł na drugą stronę ulicy i zbliżył się do niego. Był wysoki, chudy jak kościotrup, miał długie włosy i cieniutki krawat. Wieczory są teraz chłodne, powiedział, proszę wejść do środka, nie mamy żadnych tajemnic. Młodszy brat został zaprowadzony na drugą stronę ulicy do domu Emmy.

Okazało się, że został wzięty za tajniaka. Potraktowano go z wyszukaną ironią. Zaofiarowano herbatę. Po kątach mieszkania stali jacyś ludzie w płaszczach i kapeluszach. Wreszcie w drzwiach ukazała się Emma Goldman. Ktoś wskazał jej młodszego brata matki. Mój ty Boże, zawołała, to nie jest tajniak. Roześmiała się. Zaczęła nakładać duży kapelusz, przymocowując go długimi szpilkami. Młodszy brat matki był szczęśliwy, że zapamiętała go sobie. Chodź z nami, zawołała.

Po chwili znalazł się w gmachu Cooper Union, niedaleko Bowery. Sala była szczelnie wypełniona ludźmi, przegrzana. Wśród nich znajdowało się mnóstwo cudzoziemców. Mężczyźni nie zdejmowali meloników. Wielkie, smrodliwe zgromadzenie cuchnące czosnkiem i potem. Wiec miał na celu poparcie meksykańskiej rewolucji. Młodszy brat nie wiedział w ogóle o jej istnieniu. Mężczyźni wymachiwali pięściami, stawali na ławkach. Występował mówca za mówcą. Niektórzy przemawiali w obcych językach. Nie tłumaczono ich słów. Młodszy brat prawie nic nie słyszał. Wreszcie dotarło do niego, że wyrobnicy meksykańscy zbuntowali się spontanicznie przeciwko Diazowi, prezydentowi Meksyku, który rządził krajem od trzydziestu pięciu lat. Potrzebna im była broń. Potrzebna im była amunicja. Kryli się w górach i napadali na wojska federalne i pociągi z zaopatrzeniem, uzbrojeni w drewniane tyki i muszkiety, które trzeba było ładować przez lufę. Młodszy brat zastanawiał się nad tym wszystkim. Wreszcie na mównicę weszła Emma Goldman. Przemawiała najlepiej ze wszystkich mówców. Kiedy opisywała sojusz bogatych właścicieli ziemskich ze zniechęconym tyranem Diazem, kiedy mówiła o doli robotników, o ich nędzy i głodzie, i o tym, co najpodlejsze – o obecności przedstawicieli amerykańskiego biznesu w instytucjach rządowych Meksyku – zapanowała kompletna cisza. Emma miała silny głos. Kiedy poruszała głowę i gestykulowała, szkła jej okularów błyskały. Młodszy brat precyzyjnie przycisnął się do przodu, żeby znaleźć się jak najbliżej Emmy. Mówiła teraz o Emiliano Zapacie, zwykłym rolniku z okręgu Morelos, który stał się rewolucjonistą, bo uznał, że jest to dla niego jedyne wyjście. Ubierał się zwyczajem wieśniaków w wyblakłe niebieskie portki, bluzę przepasaną pasem z nabojami i bandoletem przeciągniętym przez ramię. Towarzysze, wołała Emma, to nie jest obcy strój! Dla nas nie ma obcych krajów. Nie ma meksykańskich chłopów. Nie ma dyktatora Diaza. Jest tylko na całym świecie jedna walka, jeden

plomień wolności, który rozjaśnia ohydne ciemności naszej ziemskiej niedoli. Wybuchły ogłuszające oklaski. Młodszy brat nie miał przy sobie pieniędzy. Opróżnił kieszenie i z przerażeniem patrzył, jak wszyscy ci cuchnący nędzą ludzie ofiarują całe garście drobnych. Znalazł się pod samą mównicą. Do Emmy cisnęli się przyjaciele i zwolennicy. Trzymała w objęciach śniadego mężczyznę w ciemnym garniturze z krawatem i wielkim sombrero na głowie. Spojrzała na lekko łysiejącego, jasnowłosego młodzieńca, którego głowa sterczała nad krawędzią platformy, jak zgilotynowany czerep francuskiego republikanina. Patrzył na nią niemalże z ekstazą w oczach. Emma roześmiała się.

Brat matki myślał, że po zakończeniu wiecu Emma porozmawia z nim, ale okazało się, że w lokalu redakcji „Matka Ziemia” odbywa się przyjęcie dla Meksykanina. Był to przedstawiciel zapatystów. Miał na sobie spodnie bez mankietów i wysokie buty. Nie uśmiechał się, popijał herbatę, a kiedy skończył, otarł sumiaste wąsy grzbietem dłoni. Pokoje redakcyjne były szczelnie wypełnione dziennikarzami, malarzami, artystami, poetami i paniami z towarzystwa. Młodszy brat nie zdawał sobie sprawy z tego, że idzie za Emmą krok w krok. Chciał za wszelką cenę zwrócić na siebie jej uwagę. Ale ona była ogromnie zajęta rozmowami z ludźmi. Witaa każdego, kto ukazywał się w drzwiach. Miała mnóstwo spraw do załatwienia. Przedstawiała jednych ludzi drugim. Różnym osobom proponowała różne rzeczy do zrobienia, sugerowała im załatwienie rozmaitych spraw, prosiła, żeby z kimś porozmawiali, dokądś poszli, coś zrobili czy opisali. Młodszy brat matki poczuł się strasznym ignorantem. Emma poszła do kuchni i szybko ubiła ciasto na babkę. Niech pan weźmie te filiżanki, zwróciła się do młodszego brata, i postawi je na stole w dużym pokoju. Był jej wdzięczny, że w ten sposób włącza go w sieć osób użytecznych. Na wszystkich ścianach wisiały plakaty reklamujące „Matkę Ziemię”. Wysoki mężczyzna o długich włosach rozlewał poncz. Był to ten sam człowiek, który wyszedł na ulicę i zaprosił młodszego brata do redakcji. Wyglądał jak aktor szekspirowski chwilowo bez pracy. Miał brudne paznokcie i wypijał co najmniej tyle ponczu, ile nalewał innym. Witaa wszystkich gości jedną lub dwiema zwrotkami jakiejś piosenki. Każdego, kto z nim rozmawiał, rozśmieszał. Nazywał się Ben Reitman. Emma Goldman żyła z nim. Miał wygoloną część głowy. Zorientowawszy się, że młodszy brat zwrócił na to uwagę, wyjaśnił mu, że był niedawno w San Diego, gdzie wymazano go smołą i wytarzano w pierzach. Emma miała tam wygłosić przemówienie. Jest menażerem, zajmuje się wynajmowaniem sal i przygotowaniem do jej wystąpień. Ale pewni ludzie nie chcieli dopuścić do wiecu Emmy. Porwali go, wywieźli za miasto, rozebrali i wykapali w smole. Przypiekali go cygarami. Robili z nim jeszcze gorsze rzeczy. Kiedy to opowiadał, twarz mu pociemniała, uśmiech zgasł. Kilka osób zebrało się dokoła nich.

Reitman trzymał chochlę do ponczu. Ręka zaczęła mu drżeć, a chochla stukać w brzeg miski. Trzymał ją kurczowo. Patrzył na swoją rękę z dziwnym uśmiechem. Nie chcieli, żeby Emma przemawiała nie tylko w San Diego, powiedział, ale i w Kansas City, w Los Angeles i w Spokane. Ale ona przemawiała wszędzie. Znamy wszystkie więzienia Ameryki. Wygrywamy wszystkie procesy. W San Diego mama też niedługo przemówi. Roześmiał się, jak gdyby nie mógł uwierzyć, że jego własna ręka tak się trzęsie. Chochla wciąż stukała o brzeg miski.

W tym momencie jakiś mężczyzna podszedł do stołu. Słuchaj, Reitman, powiedział, ty pewnie sobie wyobrażasz, że jak tarzają cię w smole i pierzach, to już dobrze słyszysz naszej sprawie, co? Był to niski, łysy mężczyzna w grubych okularach na nosie, o wydatnych ustach i woskowej cerze. Naszym głównym problemem stało się teraz nie to, co Emma ma do powiedzenia, ale walka o jej prawo do wypowiedzania się. Całą naszą energię marnujemy na własną obronę. To jest strategia narzucona przez wrogów, a nie nasza własna. Ale boję się, że ty tego nie rozumiesz. Cóż w tym znowu tak wspaniałego, mój nieszczęsny Reitmanie, że jakiś poczciwy liberał co chwila płaci za was kaucję i wyciąga z mamra? Ci ludzie robią to po to, żeby móc się potem chwalić. Czy to przyczynia się do postępu świata? Dwaj mężczyźni patrzyli sobie wrogo w oczy. Z głębi pokoju rozległ się wesoły głos Emmy. Sasza! – zawołała. Podeszła do stołu wycierając ręce w fartuch. Stała obok Reitmana. Delikatnie wyjęła mu chochlę z ręki. Mój drogi Saszo, powiedziała do mężczyzny o woskowej cerze, jeżeli nauczymy tych ludzi ich własnych ideałów, to może potem będziemy mogli wpoić im nasze.

Przyjęcie przeciągnęło się do białego rana. Zrozpaczony młodszy brat zrozumiał, że nie nawiąże kontaktu z Emmą. Usiadł po indiańsku na starej kanapie z wystającymi sprężynami. Po pewnym czasie zorientował się, że w pokoju jest cicho. Podniósł oczy. Tuż przed nim na krześle kuchennym siedziała Emma Goldman. Wszyscy wyszli. Był ostatnim gościem. Sam nie wiedział, dlaczego tak się stało, ale łzy napłynęły mu do oczu. Zapytałeś, czy wiem, kim jesteś, odezwała się Emma, ale jakże mogłabym cię zapomnieć? Któż mógłby zapomnieć taki widok, mój poganinie? Dotknęła ręką jego policzka i starła łzę. Taka tragedia, taka tragedia, westchnęła. Czy tylko tego chcesz od życia? Jej ogromne oczy o powiększonych źrenicach patrzyły na niego poprzez szkła okularów. Siedziała rozkraczona, z rękami opartymi na kolanach. Nie mam pojęcia, gdzie ona teraz jest. Ale gdybym nawet wiedziała, co by ci to dało? Przypuśćmy, że skłoniłbyś ją do powrotu. Nie zostałaby z tobą długo. Znowu by od ciebie uciekła. Przecież ty to dobrze wiesz. Skinał głową. Wyglądasz okropnie. Coś ty ze sobą zrobił? Może za mało jesz? Za mało wychodzisz na powietrze? Skinał głową.

Postarzałeś się o dziesięć lat. Trudno jest rozczulać się nad tobą. Wydaje ci się, że z powodu utraty kochanki należą ci się specjalne względy. Ale to się zdarza każdego dnia. Powiedzmy, że ona zgodziłaby się żyć z tobą. Jesteś burzujem i na pewno zacząłbyś nalegać na ślub. Zniszczylibyście się nawzajem w ciągu roku. Patrzyłbyś na to, jak ona się starzeje, zacząłbyś ją nudzić. Siedzielibyście przy stole naprzeciwko siebie, jak niewolnicy w strasznym jarzmie miłości. Oboje. Wierz mi, dla ciebie jest lepiej tak, jak jest. Młodszy brat płakał. Masz rację, wyjąkał, masz oczywiście rację. Pocałował Emmę w rękę. Miała malutką dłoń, ale opuchnięte palce, nabrzmiałe stawy i zaczerwienioną skórę. Nie pozostawiła mi nawet jakiejś pamiątki, szlochał młodszy brat. Może mi się to wszystko śniło. Emma była niewzruszona. No to lituj się nad samym sobą, powiedziała. Cóż to za rozkoszne uczucie. Powiem ci coś. Widziałeś tu dzisiaj w tym pokoju mojego obecnego kochanka i dwóch spośród dawnych. Jesteśmy wszyscy serdecznymi przyjaciółmi. Przyjaźń nie ginie. Wspólne ideały, szacunek dla człowieka jako takiego. Dlaczego nie możesz się pogodzić ze swoją wolnością? Czy koniecznie musisz czepiać się kogoś, żeby żyć?

Słuchał jej słów z pochyloną głową, z wzrokiem wbitym w podłogę. Emma podważyła mu ręką podbródek i zmusiła do podniesienia głowy. Otworzył oczy i spojrzał wprost na Emmę i Reitmana. Reitman uśmiechał się głupawo błyskając złotym zębem. On mi przypomina Czołgosza², powiedziała Emma. Jest wykształcony, to burzuj, odparł Reitman. Ma takie same oczy jak ten biedny chłopiec, dodała Emma. Jak ten nieszczęsny, niebezpieczny dzieciak. Młodszy brat wyobraził sobie, że stoi w kolejce, żeby przywitać Williama McKinleya. Rękę ma owiniętą chustką do nosa. Pod chustką trzyma pistolet. McKinley pada do tyłu. Krew zabarwia mu kamizelkę. Rozlegają się krzyki.

Emma odprowadziła młodszego brata matki do drzwi i objęła na pożegnanie. Jej niespodzianie miękkie usta dotknęły jego policzka. Był wzruszony. Cofnął się. Opuścił na ziemię literaturę propagandową. Oboje przykucnęli pod drzwiami, żeby zebrać papiery, i wybuchnęli śmiechem.

W godzinę później młodszy brat matki stał pomiędzy wagonami pociągu wiozącego mleko do New Rochelle. Rozważał możliwość rzucenia się pod koła. Wsłuchiwał się w ich miarowy stukot i myślał, że rytm jest dokładnie, ten sam, co akompaniament ragu wykonywany lewą ręką. Zgrzyt zaś i stuk towarzyszący zderzaniu się wagonów mógł stanowić temat synkopowanej melodii na prawą rękę. Rag samobójców. Stał, trzymał się obiema rękami mosiężnych uchwytów i słuchał tej muzyki. Wagony podrygiwały pod jego nogami. Księżyc ścigał się z pociągiem. Młodszy brat zwrócił się twarzą ku skrawkowi nieba zagładającego między wagony, jak gdyby w nadziei, że rozgrzeją go księżycowe promienie.

² Leon Czołgosz, syn emigrantów. Polski, anarchista, w dniu 6 września 1901 roku, w mieście Buffalo, strzelił z rewolweru ukrytego w zabandażowanej dłoni do prezydenta Williama McKinleya, który po tygodniu zmarł z odniesionych ran. Czołgosz został ujęty i skazany na śmierć. Mimo że sąd uznał go odpowiedzialnym za swe czyny, wielu ówczesnych psychiatrów twierdziło, że jest chory umysłowo (przyp. tłum.).

Pewnego niedzielnego popołudnia Murzyn Coalhouse Walker pożegnał się ze swoją narzeczoną, wsiadł do Forda i wyruszył do Nowego Jorku. Zbliżała się godzina piąta i coraz większe cienie drzew padały na szosę. Droga wiodła przez Firehouse Lane, gdzie znajdowała się siedziba ochotniczej straży pożarnej Emerald Isle. Ochotnicy słynęli ze wspaniałych, paradnych mundurów i hucznych zabaw. Ilekroć Coalhouse Walker przejeżdżał obok remizy – jednopiętrowego, drewnianego budynku – stojący tam w grupkach strażacy natychmiast przerywali rozmowę i gapili się na niego. Zdawał sobie sprawę, że jego sposób ubierania się i fakt, iż jest właścicielem samochodu, uważane są przez wielu białych za prowokację. Ale wypracował sobie wersję własnej osoby właśnie przeciwko takim ludziom.

W owym czasie oddziały ochotniczej służby straży pożarnej stanowiły siły pomocnicze dla miejskich straży. Utrzymywały się z dobrowolnych datków i nie były jeszcze zmotoryzowane.

Kiedy Murzyn podjeżdżał do remizy, wyjechał z niej wielki wóz strażacki z pompą parową – chluba ochotników z Emerald Isle – ciągniony przez trzy dobrane siwki i zatarasował drogę. Woźnica ściągnął cugle, Coalhouse Walker musiał gwałtownie zahamować.

Z budynku wyłonili się dwaj strażacy i podeszli do woźnicy, który siedział wysoko na koźle i ostentacyjnie ziewając patrzył na Murzyna. Wszyscy strażacy mieli na sobie niebieskie koszule, zielone krawaty, granatowe spodnie i wysokie buty. Coalhouse Walker wysiadł z samochodu, żeby pokręcić korbą (puścić motor w ruch. Strażacy zaczekali, aż tego dokonał, po czym zawiadomili go, że znajduje się na prywatnej drodze i że nie pojedzie dalej, jeżeli nie zapłaci dwudziestu pięciu dolarów, chyba że wylegitymowałby się dokumentem stwierdzającym, że jest stałym mieszkańcem miasteczka. Przecież to jest publiczna droga, zauważył Walker, przejeżdżałem tędy kilkanaście razy i nikt nigdy nie żądał ode mnie zapłaty. Usiadł za kierownicą. Zawiadom szefa, powiedział jeden ze strażaków do drugiego. Walker postanowił włączyć tylny bieg, wycofać się i skręcić w inną drogę. Obrócił się, w tym momencie wyrosli za nim dwaj strażacy z długą na dwadzieścia stóp drabiną. Za nimi ukazali się dwaj inni – także z drabiną – a potem z remizy wysypała się cała ich gromada. Nieśli zwinięte szlauchy, wiadra, siekiery, haki i inny sprzęt strażacki, który rozłożyli na jezdni. Widać wybrano właśnie ten moment na zrobienie w remizie gruntownych porządków.

Komendant straży pożarnej wyróżniał się tym, że miał na głowie białą wojskową czapkę nałożoną pod zawadiackim kątem. Poza tym był nieco starszy od pozostałych kolegów. Uprzejmie wyjaśnił Coalhouse'owi, że chociaż dotychczas nikt nie żądał od niego opłaty, zarządzenie takie istnieje i jeżeli Coalhouse nie zapłaci, nie pojedzie dalej. Oburącz zdjął czapkę z głowy i nasadził ją sobie głęboko na czoło. Musiał teraz wysoko unosić głowę, żeby w ogóle coś widzieć, co nadawało mu wojowniczy wygląd. Był to przysadzisty, krępy mężczyzna o szerokich barach. Wielu strażaków uśmiechało się ironicznie. Potrzebujemy pieniędzy na zmotoryzowany wóz strażacki, wyjaśnił szef Walkerowi. Wtedy będziemy mogli jeździć do pożaru tak, jak ty do burdelów.

Murzyn spokojnie rozważał, jak się zachować. Naprzeciwko remizy znajdowało się duże pagórkowate pole kończące się stawem. Mógłby zjechać z drogi, zakręcić na polu i w ten sposób ominąć drabiny i wozy ze szlauchami. Ale był otoczony ze wszystkich stron i gdyby nawet udało mu się zakręcić tuż przed końmi, to musiałby to zrobić tak gwałtownie, i pod tak ostrym kątem, że groziłoby mu stoczenie się ze wzgórza. Widać nie przyszło mu nawet do głowy, żeby zwyczajem murzyńskim spróbować zjednać sobie dręczycieli.

Nad brzegiem stawu bawili się dwaj czarni chłopcy, dziesięcio-, może dwunastoletni. Hej! – krzyknął do nich Coalhouse Walker. Chodźcie no tu! Chłopcy podbiegli. Gapili się na niego, podczas gdy gasił motor, zaciągał hamulec i wysiadał z samochodu. Przypilnujcie mi maszyny, powiedział do chłopców. Kiedy wrócę, powiecie mi, czy ktoś jej dotykał.

Walker ruszył szybkim krokiem do skrzyżowania i poszedł w kierunku dzielnicy handlowej. Po dziesięciu minutach spotkał policjanta, który kierował ruchem manipulując światłami drogowymi. Policjant wysłuchał jego skargi, pokiwał głową, po czym powolnym ruchem wyjął z kieszeni chustkę i wysiąkał nos. Te zuchy żartują sobie, powiedział po chwili, znam ich dobrze. Niech pan wraca, pewnie już im się znudziła ta zabawa. Walker prawdopodobnie zrozumiał, że na tym zakończyła się pomoc, jakiej gotów mu był udzielić stróż porządku publicznego. Może zastanawiał się nad tym, czy aby nie jest przewrażliwiony i czy nie był to po prostu niewinny żart. Powrócił więc do swojego samochodu.

Okazało się, że wóz strażacki i konie zniknęły. Droga była pusta. Jego samochód stał w polu. Kiedy podszedł bliżej, zobaczył, że jest cały umazany błotem, a w wykonanym na specjalne zamówienie dachu z dermatoidu ktoś wyciął dużą dziurę. Na tylnym siedzeniu leżała wielka, świeża kupa.

Walker powrócił na drogę, podszedł do bramy remizy. Tam z ramionami skrzyżowanymi na piersiach stał komendant w białej wojskowej czapce na głowie i w szerokim zielonym krawacie. Policja twierdzi, że nie ma tu żadnych płatnych dróg, powiedział Coalhouse Walker. Zgadza się, odparł komendant, każdy może

przejechać naszą drogą, kiedy mu się żywnie podoba. Słońce już zaszło, w remizie paliły się elektryczne światła. Przez oszklone drzwi Murzyn widział trzy dobrane siwki, a pod tylną ścianą ogromny wóz strażacki z poniklowaną pompą parową i mosiężnymi okuciami. Żądam, żeby mi umyto samochód i zapłacono za uszkodzenia.

Komendant wybuchnął śmiechem, a kilku jego ludzi wyszło z remizy, żeby wziąć udział w zabawie.

W tym momencie nadjechał samochód policyjny. Jednym z dwóch siedzących w nim stróżów porządku publicznego był policjant, z którym Coalhouse niedawno rozmawiał. Podszedł do wozu Coalhouse'a, obejrzał go i powrócił przed remizę. Willie, zwrócił się do komendanta, czy to sprawka twoja albo twoich chłopców? Opowiem ci wszystko dokładnie, odparł komendant. Ten tu czarnuch postawił swój zafajdany samochód na środku drogi przed remizą. Trzeba go było przesunąć. Zastawianie wyjazdu z remizy to poważne wykroczenie, tak czy nie, chłopcy? Strażacy kiwali poważnie głowami. Policjant powziął decyzję. Odciągnął Coalhouse'a na bok. Posłuchaj pan, powiedział, zrobimy tak. Pomożemy panu wypchnąć tę landarę na drogę i zjeżdżaj pan stąd. Nic się pańskiemu wozowi nie stało. Wymyje go pan i po krzyku. Oni mnie zatrzymali, powiedział Coalhouse. Pocięli mi dach i zaświnili całe wnętrze. Żądam, żeby mi umyli samochód i zapłacili odszkodowanie. Policjant uświadomił sobie nagle, jakim tonem Walker do niego mówi, jak jest ubrany, a przede wszystkim niesłychany wprost fakt, że Murzyn jest właścicielem samochodu. Zdenerwował się. Jeżeli nie odjedziesz stąd, i to zaraz, powiedział podniesionym głosem, to oskarżę cię o jazdę w stanie nietrzeźwym i o zakłócenie porządku publicznego. Ja w ogóle nie piję, odpowiedział Walker spokojnie, nie zjechałem w pole, nie zatarasowałem remizy, nie uszkodziłem samochodu i nie zrobiłem w nim kupy. Żądam odszkodowania i chcę, żeby mnie przeproszono. Policjant spojrzął na komendanta, który widząc jego zaambarasowanie uśmiechał się ironicznie; doszedł zatem do wniosku, że w grę wchodzi jego własny autorytet. Aresztuję cię, powiedział do Coalhouse'a. Pojedziesz z nami.

Wczesnym wieczorem w domu na Broadview Avenue zadzwonił telefon. Telefonował Coalhouse Walker i wytłumaczywszy szybko, że znajduje się w komendzie policji i dlatego, zapytał ojca, czy złożyłby za niego kaucję. Chciał się bowiem dostać jak najszybciej do miasta na wieczorny występ. Trzeba przyznać mojemu ojcu, że zgodził się bez wahania i że o nic nie pytał, pozostawiając bliższe wyjaśnienie na sposobniejszy moment. Zadzwonił po taksówkę i pojechał do komisariatu, gdzie wypisał czek na żądane pięćdziesiąt dolarów.

Kiedy później opowiadał o tym matce, był speszony, ponieważ Coalhouse Walker podziękował mu dość zdawkowo, gdyż spieszył się na pociąg. Zdążył mu tylko powiedzieć, że zwróci wyłożoną przez niego sumę.

Nazajutrz wieczorem dom nasz był miejscem niezwykłego wydarzenia, a mianowicie wizyty Coalhouse'a, która odbyła się w dzień powszedni. Siedząc w salonie ze skrzyżowanymi na piersiach rękami, opowiedział nam wszystko, co mu się przytrafiło, ze szczegółami. W głosie jego nie słyhać było najmniejszej nawet nuty irytacji, mówił spokojnie i obiektywnie, tak jakby opisywał coś, co przydarzyło się innej osobie. Panie Walker, odezwała się moja matka, wstydzę się, kiedy pomyślę, że nasza miejscowość będzie się panu kojarzyła z tą zgrają łajdaków. Ci strażacy mają bardzo złą opinię w mieście, dodał ojciec, inne oddziały ochotnicze składają się z uczciwych i statecznych obywateli. Młodszy brat siedział na taborecie od fortepianu, założywszy nogę na nogę. Przysłuchiwał się bardzo uważnie opowieści Walkera i coraz bardziej się garbił. Co się z nimi stało, z tymi dwoma chłopcami? – zapytał ojciec. To są pańscy jedyni świadkowie. Jak się okazało, pianista spędził całe popołudnie na poszukiwaniu chłopców, którym powierzył pilnowanie swojego samochodu. Ale rodzice chłopców zabronili im mieszania się do tej sprawy. Tutejsi Murzyni nie znają mnie, stwierdził Coalhouse spokojnie. Zresztą oni muszą tu przecież żyć i nie chcą sobie narobić kłopotów. A co do samochodu, nawet nie spojrziałem na niego. I nie zrobię tego, dopóki nie zostanie mi zwrócony w stanie, w jakim był, kiedy odjeżdżałem nim stąd wczorajszego wieczoru.

W czasie całej tej rozmowy Sara stała w hallu tuż pod drzwiami salonu, ale poza zasięgiem naszych oczu. Trzymała dziecko pod pachą i słuchała uważnie. Rozumiała lepiej niż ktokolwiek w naszej rodzinie ogrom nieszczęścia, jakie spadło na Coalhouse'a. Słyszała, jak ojciec mówi do niego, że jeżeli zamierza się procesować, to powinien zaangażować adwokata. Istnieje przecież taka rzecz, jak przymusowe powoływanie świadków przez sąd. Czy są tu jacyś murzyńscy adwokaci? – zapytał Coalhouse. Nie znam żadnego, odparł ojciec, ale moim zdaniem każdy miłujący sprawiedliwość prawnik weźmie tę sprawę. Zamilkł na chwilę i szorstkim tonem dodał: Podejmuję się sfinansować pańską obronę. Coalhouse podniósł się z fotela. Dziękuję panu, powiedział, ale to nie będzie konieczne. Położył na stole kopertę. Zawierała pięćdziesiąt dolarów w gotówce. Jak się później dowiedziała matka, była to część pieniędzy uzbieranych na ślub z Sarą.

Nazajutrz młodszy brat matki postanowił obejrzeć miejsce zajścia, a także samochód Coalhouse'a. Pojechał tam po pracy rowerem. Okazało się, że Ford został całkowicie zniszczony. Czy zrobili to strażacy, czy też jacyś inni ludzie, tego nikt nie mógł zgadnąć. Stał nad brzegiem stawu wśród wysokich chwastów z przednimi kołami wbitymi w przybrzeżny muł. Obie latarnie i przednia szyba były rozbite.. Opony przebite, tapicerka podziurawiona, specjalnie na zamówienie zrobiony dach z dermatoidu pocięty na paski.

Młodszy brat stał nad brzegiem stawu. Od tamtego wieczoru u Emmy Goldman z trudem panował nad sobą. Ludzie, z którymi pracował, byli zaskoczeni jego ożywieniem. Komentował wszystko, co się dokoła niego działo. Jego gadulstwo graniczyło z histerią. Siedział przy stole kreślarskim i rysował niezliczone odmiany projektów broni palnej i granatów. Mierzył małe kwadraciki, robił obliczenia i pilnie wodził wzrokiem za kreską, którą jego ołówek wytaczał na papierze. Kiedy nie pozostawało mu nic innego do roboty, śpiewał chyba tylko po to, żeby przerwać ciszę. Robił ogromne wysiłki, wciąż koncentrował się nad czymś i wydatkował mnóstwo energii, żeby nie zapaść się w przepastną otchłań swojej niedoli. Czuł się przez nią osaczony ze wszystkich stron. Była ona czymś bardzo ciemnym i tak nachalnie bliskim jak własne czoło. Dusila go. Najbardziej przerażająca była jej zdradliwość. Budził się rano, patrzył przez okno w słońce, siadał na łóżku i już mu się zdawało, że sobie poszła, ale znajdował ją niebawem tkwiącą za uszami albo w sercu.

Zrozumiał, że jest o krok od załamania nerwowego. Narzucił sobie kurację w postaci zimnych kąpielii i wyczerpujących wysiłków fizycznych. Kupił rower i jeździł nim do pracy. Wieczorem, przed spaniem, gimnastykował się energicznie aż do wyczerpania.

Na dole, w salonie, matka i ojciec czuli, jak trzęsie się cały dom. Wiedzieli, że młodszy brat ćwiczy podskoki. Byli przyzwyczajeni do jego dziwactw. Nigdy im się nie zwierzał, nigdy nie dzielił się z nimi nadziejami czy uczuciami, toteż nie zauważyli żadnej istotnej zmiany w jego zachowaniu. Matka zapraszała go po kolacji do salonu, kiedy nie miał żadnych planów na wieczór. Spróbował i tego. Słyszał ich pytania, słyszał swoje odpowiedzi. Patrzył na nich, kiedy tak siedzieli w dusznym salonie z szezlongiem, popiersiami na konsolach i ozdobionymi frędzlą abażurami, i czuł, że się dusi. Gardził nimi. Uważał ich za ludzi zadowolonych z siebie, pospolitych i nie szanujących cudzych uczuć. Pewnego wieczoru ojciec przeczytał nam artykuł wstępny z miejscowej gazety. Lubił czytać na głos, szczególnie kiedy trafiał na rzecz pouczającą lub dobrze napisaną. Tytuł artykułu brzmiał *Skrzekliwe żabki*, A więc znowu przybył na nasze pola i stawy coroczny mały gość, czytał ojciec. Szczerze mówiąc, nie jest piękniejszy od swoich starszych siostr Pani Żaby i Pani Ropuchy. Ale serdecznie witamy dzielnego małego przybysza i opiewamy jego urodę. Czyż nie jest on zwiastunem Drozda i dzielnego Krokusa, ba, pierwszym zwiastunem Wiosny? Młodszy brat wybiegł z pokoju przekonany, że za chwilę się udusi.

Nie ulega wątpliwości, że możliwość wykazania swojej solidarności z czarnym człowiekiem była wielką szansą dla młodszego brata. Stojąc na brzegu stawu i wsłuchując się w plusk wody uderzającej w przednie zderzaki Forda zauważył, że maska samochodu jest uchylona, otworzył ją, złożył i zobaczył, że ktoś wyrwał z motoru wszystkie przewody. Słońce zachodziło, gasnący błękit nieba odbijał się w ciemnych wodach stawu. Młodszy brat poczuł, jak wściekłość przeszywa go niczym prąd elektryczny. Prąd o napięciu zapewne sto razy słabszym niż ten, który musiał porazić Coalhouse'a Walkera. Dla młodszego brata ów szok okazał się zbawienny.

W tym miejscu – zważywszy przyszłe wydarzenia – należałoby może wspomnieć o skąpych, bo skąpych informacjach dotyczących przeszłości Coalhouse'a. Urodził się podobno w St. Louis, w stanie Missouri. Jako młody chłopiec znał i podziwiał Scotta Joplina i innych miejscowych muzyków. Opłacał lekcje muzyki pieniędzmi zarobionymi w porcie, gdzie pracował jako tragarz okrętowy. O jego rodzinie nie ma informacji. Jakaś kobieta w St. Louis twierdziła, że jest jego żoną, ale nie zostało to nigdy dowiedzione. Nie natrafiono też na jakikolwiek ślad w rejestrach tamtejszych szkół i nikt nie wie, jak zdobył elokwencję, gdzie nauczył się tego swojego bogatego słownictwa. Był to prawdopodobnie akt woli.

Kiedy stał się powszechnie znany, zaczęto rozpisywać się o tym, że nie wyczerpał wszystkich dostępnych sposobów pokojowego i prawnego załatwienia sprawy, ale że od razu postanowił osobiście wywalczyć sobie sprawiedliwość. Nie jest to zarzut w pełni usprawiedliwiony. Coalhouse zgłosił się po kolei do trzech adwokatów poleconych mu przez ojca. Wszyscy odmówili reprezentowania go w sądzie. Radzili mu, żeby zabrał samochód, zanim zdewastują go do reszty, i zapomniał o wszystkim. Każdemu z nich Coalhouse oświadczył, że nie chce o niczym zapomnieć, przeciwnie, pragnie wnieść do sądu skargę przeciwko komendantowi ochotniczej straży pożarnej Emerald Isle i jego ludziom.

Ojciec zadzwonił do jednego z tych adwokatów, człowieka, który wielokrotnie reprezentował jego firmę w różnych sprawach. Czy nie ma podstaw do wniesienia skargi? – zapytał go. Kiedy ten człowiek będzie składał zeznania, oświadczył adwokat, może mu pan towarzyszyć. Ja nie jestem do tego potrzebny. Gdy właściciel nieruchomości w mieście towarzyszy w sądzie Murzynowi, sędzia zazwyczaj odrzuca tego rodzaju skargę. Nie o to chodzi, powiedział ojciec, to przecież właśnie on chce wytoczyć sprawę tamtym. W tym momencie ojciec zorientował się, że adwokat prowadzi rozmowę z kimś, kto znajduje się w jego biurze. Zawsze do pańskich usług, powiedział adwokat i odwiesił słuchawkę.

Wiadomo również, że Coalhouse Walker zwrócił się w pewnym momencie o poradę do czarnego adwokata w Harlemie. Wiedział już, że komendant straży nazywa się Will Conklin i że jest przyrodnim bratem sędziego sądu miejskiego i siostrzeńcem wiceburmistrza White Plains. Adwokat z Harlemu powiedział mu, że można by wnieść skargę do innego sądu, ale pochłonełoby to mnóstwo czasu i pieniędzy, a wynik wcale nie byłby pewny. Czy pan ma na to odpowiednie fundusze? – zapytał adwokat Coalhouse'a. Zamierzam się wkrótce ożenić, odparł Coalhouse Walker. To też jest kosztowny projekt, rzekł adwokat. Sądzę, że pańskie obowiązki wobec narzeczonej są ważniejsze od próby otrzymania zadośćuczynienia za krzywdy doznane od białych ludzi. Walker podobno odpowiedział czarnemu adwokatowi w sposób niezbyt grzeczny. Ten podniósł się z biurka i kazał mu wyjść. Prowadzę sprawy natury charytatywnej, o których pan nie ma żadnego pojęcia, wrzasnął. Walczę o sprawiedliwość dla naszej rasy. I jeżeli wyobraża pan sobie, że pojedę do okręgu Westchester, żeby domagać się satysfakcji dla Murzyna, któremu ktoś narobił do samochodu, to grubo się pan myli.

Wiadomo przecież, że Coalhouse usiłował także załatwić swoją sprawę bez pomocy adwokata. Złożył pisemną skargę do sądu, ale nie wiedział, co robić, żeby uzyskać termin rozprawy, i nie miał pojęcia, jak sformułować swoje pismo, żeby sprostać wszystkim niezbędnym przepisom. Poszedł do magistratu, do jednego z urzędników. Kazano mu przyjść innego dnia, kiedy będzie mniej ważnych spraw. Jednakże nie dał za wygraną; w końcu oświadczone mu, że w ewidencji nie ma jego skargi i że odnalezienie jej potrwa kilka tygodni. Niech pan wtedy przyjdzie, poradził mu urzędnik. Coalhouse poszedł do komisariatu policji, gdzie składał swoje pierwsze zażalenie, i wypisał drugie. Policjant, który tego dnia pełnił służbę, przyglądał mu się ze zdumieniem. Jakiś starszy urzędnik odciągnął Walkera na bok i próbował mu wytłumaczyć, że najprawdopodobniej i tak nic z jego skargi nie wyniknie, ponieważ ochotnicza straż pożarna, nie opłacana przez władze miejskie, nie podlega ich jurysdykcji. Coalhouse zrozumiał, że biorą go za durnia, i postanowił nie wdawać się więcej w żadne rozmowy. Podpisał swoją skargę i odszedł. Ledwo znalazł się za drzwiami, usłyszał śmiech urzędników.

Wszystko to rozegrało się w ciągu dwóch, może trzech tygodni. Później, kiedy nazwisko Coalhouse'a Walkera stało się symbolem gwałtu i zbrodni, te jego wczesne zabiegi o sprawiedliwość przestały mieć znaczenie. Nawet z perspektywy dzisiejszego dnia trudno jest usprawiedliwić zbrodnie popełnione w obronie jego praw, ale musimy przynajmniej – jak dalece jest to możliwe – próbować dojść prawdy. Rozmowy prowadzone przy kolacji w naszym domu toczyły się teraz wyłącznie dokoła sprawy tego dziwnego, dumnego, czarnego człowieka, który tak stanowczo domagał się, żeby zwrócono mu jego własność. Cała ta historia wydawała się po prostu idiotyczna. Wina musiała być po jego stronie, może dlatego, że był Murzynem, bo podobna historia mogła się w końcu przytrafić jedynie Murzynowi. Jego posągowa murzyńska uroda przyciągała naszą uwagę niczym bukiet ozdabiający środek stołu. Podczas gdy Sara podawała kolejne dania, ojciec namawiał ją, żeby skłoniła narzeczonego do zabrania samochodu, póki jeszcze czas, i do tego, aby zapomniał o całej tej sprawie. Młodszy brat najeżył się. Mówisz jak człowiek, którego zasady nigdy nie były wystawione na próbę, powiedział. Ojciec był tak oburzony tą uwagą, że nie potrafił wydobyć z siebie głosu. Matka powiedziała łagodnie, że sprzeczką nikomu nie przyniesie nic dobrego. Dziwny, niezwykle ciepły jak na tę porę roku wiatr wydał zasłony w oknach naszej egipskiej jadalni. Powiało grozą, jak to czasami u progu wiosny. Sara upuściła na podłogę półmisek filetów z ryby. Uciekła do kuchni i chwyciła w ramiona dziecko. Zanosząc się od płaczu, powiedziała młodszemu bratu, który pobiegł za nią, że poprzedniej niedzieli Coalhouse zawiadomił ją, że nie ożeni się z nią, dopóki nie oddadzą mu jego Forda, i to w takim stanie, w jakim był w momencie, kiedy konie strażackie zatarasowały mu drogę.

Nikt nie znał nazwiska Sary, bo nikt nie pomyślał o tym, żeby o nie zapytać. Gdzie się urodziła, gdzie dotychczas mieszkała ta uboga, zupełnie niewykształcona dziewczyna, tak niezłomnie pewna tego, jak człowiek powinien żyć. W ciągu tych kilku radosnych tygodni – pomiędzy oświadczeniami Coalhouse'a a dniem, w którym zaczęła się obawiać, że małżeństwo nigdy nie dojdzie do skutku – zmieniła się do tego stopnia, że nawet jej twarz stała się zupełnie inna. Ból, złość, troski odcisnęły się na jej wyglądzie jak znamiona choroby. Matka była wręcz onieśmiewiona tą nową urodą. Sara śmiała się i odzywała się ciepłym, miękkim głosem. Razem zajęły się szyciem ślubnej sukni. Ruchy Sary stały się lekkie i pełne wdzięku. Miała doskonałą figurę i przyglądała się z dumą swojemu odbiciu w lustrze. Radowała się samym faktem istnienia. Pod wpływem tej radości piersi jej pęczniały od pokarmu, a dziecko rosło jak na drożdżach. Chłopiec zaczął już stawać w swoim wózekczku i trzeba go było pilnować. Przebywał stale w pokoju Sary. A ona brała go w ramiona i tańczyła. Miała osiemnaście lat. Najwyżej dziewiętnaście. I nagle zrozumiała, że warto jest żyć. Była – i matka wiedziała o tym – dziewczyną absolutnie czystą moralnie. Wierzyła w to, co zdawało jej się dobre. Była prostolinijna i działała jedynie i wyłącznie pod wpływem doraźnych impulsów. Kiedy kochała, kierowała się tylko miłością, zdrada musiałaby ją zniszczyć. Piękne, ale niebezpieczne są żywoty istot niewinnych. Chłopiec był coraz bardziej oczarowany nią i jej dzieckiem. Bawił się z nim delikatnie. Odnosili się do siebie z powagą. Sara śpiewała, szyła ślubną suknię, którą wciąż przymierzała i zdejmowała. Pod spodem nosiła tylko halkę, która unosiła się aż po biodra, kiedy ściągała z siebie białą suknię przez głowę. Widziała, że chłopiec przygląda się – zupełnie otwarcie – jej udom i uśmiechała się do niego. Z młodszym bratem łączyła ją solidarność wynikająca z przynależności do tego samego pokolenia. Jej przyszły mąż był wszak dużo od niej starszy, młodszy zaś brat najbliższym jej wiekiem mieszkańcem naszego domu. I prawdopodobnie dlatego powierzyła mu, kiedy poszedł za nią do kuchni, wiadomość o tym, że Coalhouse wycofał się z przyrzeczonego małżeństwa do chwili odzyskania samochodu.

Co on chce zrobić? – zapytał młodszy brat. Nie mam pojęcia, odparła Sara. Być może wiedziała już, że wszelkie próby bronienia zasad są niebezpieczne.

Następnej niedzieli Coalhouse Walker nie zjawił się w naszym domu. Sara znowu zaszyła się w swoim pokoju. Ojciec był już pewny, że jest źle. Powiedział, że jego zdaniem sprawa samochodu nie ma prawa tak ciążyć nad naszym życiem. Że jest to wprost śmieszne. Postanowił pójść nazajutrz do remizy i porozmawiać ze strażakami, a szczególnie z ich komendantem, Conklinem. Co im powiesz? – zapytała go matka. Dam im do zrozumienia, że mają do czynienia z człowiekiem, który jest właścicielem nieruchomości w tym mieście, odparł ojciec. Jeżeli to na nich nie podziała, dam im po prostu łapówkę w zamian za zreperowanie samochodu i przywiezienie go pod nasz dom. Zaofiaruję im pieniądze. Przekupię ich. Pan Walker na pewno tego nie pochwali, stwierdziła matka. Mimo to, powiedział ojciec, zamierzam to zrobić. Później zastanowimy się, co mu powiedzieć. Ci ludzie to zwykła miejscowa hołota i mają respekt dla pieniędzy.

Zanim ojciec zdołał urzeczywistnić swój plan, Sara postanowiła działać na własną rękę. Tak się składało, że był to rok wyborczy i tegoż wieczora jeden z republikańskich kandydatów, wiceprezydent James Sherman, zastępca prezydenta Tafta, miał wygłosić przemówienie w New Rochelle w czasie kolacji wydawanej przez partię republikańską w hotelu „Tidewaters”. Sara słyszała, jak ojciec tłumaczył nam, dlaczego nie zamierza brać udziału w tej imprezie. Sara nie orientowała się w polityce i nie zdawała sobie sprawy, jak mało ważna jest w skali krajowej sprawa Coalhouse'a, toteż postanowiła zwrócić się o pomoc do rządu Stanów Zjednoczonych. Był to już drugi przerażający i desperacki postępek wynikający – podobnie jak pierwszy – z jej naiwności. Kiedy zapadł wieczór i dziecko usnęło, nakryła głowę szalem, nic nikomu nie mówiąc opuściła dom i pobiegła na North Avenue. Była bosa. Biegła szybko jak dziecko. Zamierzała pobiec aż do hotelu, ale w pewnym momencie znalazła się na szynach, tuż przed nadjeżdżającym tramwajem. Motorniczy zaczął gwałtownie dzwonić, światła tramwaju migały. Sara wsiadła do środka, kupiła bilet i pojechała do śródmieścia.

Zerwał się wieczorny wiatr, na ciemnym niebie ukazały się ciężkie, deszczowe chmury. Sara stała przed hotelem wśród gromadki ludzi czekających na przybycie wielkiego człowieka. Co chwila zajeżdżały samochody, z których wyłaniał się jeden lub drugi dygnitarz. Na chodnik zaczęły spadać – poganiane wzmagającym się wiatrem – coraz rzęsiście krople deszczu. Od krawężnika chodnika do wejścia hotelowego ciągnął się czerwony dywan. Miejscowi policjanci w białych, wieczorowych rękawiczkach, wspomagani oddziałem milicji, odsuwali gapiów od głównego wejścia i spychali ich z jezdni na chodnik. Czekano na przyjazd samochodu wiceprezydenta. Po zamordowaniu McKinleya Theodore Roosevelt zmobilizował milicję i nakazał, aby służba bezpieczeństwa, wspomagana przez tajniaków, chroniła prezydentów i wiceprezydentów. Roosevelt, który faktycznie odsunął się już od życia politycznego, wystąpił tej wiosny znowu na forum publicznym, żeby kandydować ponownie na prezydenta rywalizując ze swoim starym przyjacielem Taftem. Kandydatem demokratów był Wilson, kandydatem socjalistów Debs i wszyscy oni, wraz ze swoimi ludźmi,

przemierzali kraj wzdłuż i wszerz, budząc ludzkie nadzieje, niczym wichry szalejące na wielkich równinach. W jakiś tydzień wcześniej Roosevelt zjawił się w Milwaukee, w stanie Wisconsin, żeby wygłosić przemówienie. Kiedy szedł z gmachu dworca do samochodu, ochrona nie dopuściła do niego oczekujących ludzi. Jednakże z tłumu wyskoczył jakiś człowiek i skierował w niego rewolwer. Padły strzały. Jedna z kul przebiła futerał na okulary znajdujący się w górnej lewej kieszeni marynarki Roosevelta, zrobiła dziurę w pięćdziesięciostronicowym, złożonym w pół rękopisie jego przemówienia i utkwiała w żebrach. Roosevelt wzdrygnął się. Zamachowiec został powalony na ziemię. Rozległy się wrzaski. Roosevelt obejrzał swoją ranę i stwierdził, że nie jest poważna. Zanim dopuścił do siebie lekarzy, wygłosił przemówienie. Ale pamięć o tym incydencie była wciąż żywa. Wszyscy członkowie ochrony wybitnych osobistości mieli stale na oczach zamach na Teddy Roosevelta. Kilka tygodni wcześniej inny zamachowiec zranił burmistrza Nowego Jorku, Williama J. Gaynora. W całym kraju rozlegały się strzały.

Kiedy samochód wiceprezydenta – limuzyna marki Panhard – podjechał pod hotel i kandydat wysiadł, tłum zaczął wiwatować na jego cześć. Jim Sherman, nowojorski polityk, miał wielu przyjaciół w okręgu Westchester. Był to tęgi, łysiejący człowiek o tak słabym zdrowiu, że nie miał przeżyć kampanii wyborczej. Sara wyrwała się z tłumu i pobiegła ku niemu wołając: Prezydencie! prezydencie! Wyciągnęła czarną dłoń. Sherman cofnął się odruchowo. Wieczór był ciemny, wiał porywisty wiatr i ludzie z ochrony wzięli być może czarną rękę Sary za rewolwer. Jeden z policjantów wyskoczył naprzód i z nadgorliwością charakterystyczną dla ludzi odpowiedzialnych za życie wielkich tego świata z całej siły uderzył Sarę kolbą karabinu w pierś. Upadła. Jakiś tajniak rzucił się na nią. Wiceprezydent zniknął za drzwiami hotelu. Wśród ogólnego zamieszania i hałasu Sara została wrzucona do karetki policyjnej i odwieziona do komisariatu.

Zatrzymano ją na noc. Kaszlała, pluła krwią i gdzieś nad ranem pilnujący ją sierżant policji pomyślał, że byłoby może wskazane wezwać lekarza. Odmawiała odpowiedzi na pytania i tylko patrzyła na przesłuchujących ją policjantów oczami pełnymi strachu i bólu i gdyby nie to, że jeden z nich słyszał wyraźnie, jak wołała: Prezydencie! Prezydencie! uznano by ją za głuchoniemą. Coś ty chciała zrobić? – pytano ją. Jakie miałaś zamiary? Nad ranem przewieziono ją do szpitala. Dzień był szary, niebo zaciągnięte. Wiceprezydent odjechał, sprzątacze uliczni zamiatali plac przed hotelem wielkimi szczotkami, uroczystości były skończone. Oskarżenie w stosunku do Sary zmieniono z próby zamachu na życie wiceprezydenta na zakłócenie spokoju publicznego. Leżała w szpitalu. Okazało się, że ma złamany mostek i kilka żeber. U nas w domu matka usłyszała w nocy płacz dziecka Sary i poszła na górę zobaczyć, dlaczego nie przestaje marudzić. Dopiero po kilku godzinach policja zorientowała się, że czarna dziewczyna, o której zaginięciu z naszego domu zgłaszaliśmy w komisariacie, jest tą samą ranną Murzynką, którą umieszczono w szpitalu. Matka poszła do niej z domu, a ojciec z biura. Znaleźli ją na ogólnej sali. Dziewczyna spała, czoło miała suche i gorące, w kąciку ust wytworzyła się bańka krwi, która pulsowała z każdym oddechem. Nazajutrz przyplątało się zapalenie płuc. Moi rodzice odtworzyli sobie – z jej nielicznych słów – przebieg wydarzenia. Sara nie zwracała na nich wielkiej uwagi i wciąż wzywała Coalhouse'a. Załatwili jej separatkę. Ponieważ nie znali adresu Coalhouse'a, zatelefonowali do „Manhattan Casino” i poprosili do telefonu szefa orkiestry „Clef Club”. W ten sposób Coalhouse został zawiadomiony o wypadku i już w kilka godzin później siedział przy łóżku Sary.

Matka i ojciec czekali za drzwiami. Kiedy po pewnym czasie zajrzeli do środka, Coalhouse klęczał przed łóżkiem trzymając rękę Sary w swoich dłoniach. Wycofali się. Później usłyszeli stłumiony szloch dorosłego człowieka dotkniętego nieszczęściem. Matka powróciła do domu. Wzięła czarne dziecko na ręce i nie chciała go puścić. Cała nasza rodzina była zdruzgotana. Wszystkim było bez przerwy zimno i nie mogliśmy się rozgrzać. Nałożyliśmy swetry. Młodszy brat dokładał bez przerwy do pieca. Pod koniec tygodnia Sara umarła.

Pogrzeb odbył się w Harlemie. Z wielką pompą. Trumna była z brązu. Wieziono ją karawanem marki Pierce Arrow, model Opera, który miał długi przedział dla pasażerów i otwarte pomieszczenie dla szofera. Dach okolony mosiężną galeryjką pokryto kwiatami. Na czterech rogach powiewały czarne wstęgi. Był tak wypolerowany, że chłopiec widział całą ulicę odbitą w jego tylnych drzwiach. Wszystko było czarne, nawet niebo. Ulica kończyła się dopiero na horyzoncie. Korowód limuzyn wiół żałobników na cmentarz. Byli to przeważnie muzycy, przyjaciele i koledzy Coalhouse'a z orkiestry „Clef Club”. Murzyni o krótko przystrzyżonych włosach, w obcisłych, czarnych garniturach, koszulach o zaokrąglonych kołnierzykach i czarnych krawatach. Towarzyszące im kobiety ubrane były w suknie do samej ziemi, kapelusze o szerokich rondach i małe futrzane etole. Kiedy wszyscy znaleźli się w samochodach, drzwiczki za nimi zamknięto, a szoferzy zajęli swoje miejsca, rozległy się fanfary i na ulicę wjechał otwarty omnibusów którym siedziała orkiestra dęta złożona z pięciu muzyków ubranych w smokingi. Coalhouse wydał na pogrzeb Sary wszystko, co uzbierał na wesele. Załatwił dla zmarłej narzeczonej, za pośrednictwem Związku Zawodowego Czarnych Muzyków, miejsce na cmentarzu w Brooklynie. Orkiestra przez całą drogę grała muzykę żałobną. Kondukt ciągnął powoli przez ciche ulice Harlemu, przez śródmieście, aż dotarł na sam cypel Manhattanu. Biegły za nim chmary dzieciaków, ludzie na chodnikach zatrzymywali się. Orkiestra grała, podczas gdy samochody powoli przemierzały brooklyński most zawieszony wysoko nad East River. Pasażerowie w tramwajach sunących skrajem mostu wstawali z miejsc, żeby obejrzeć ten wspaniały korowód. Dzień był słoneczny. Mewy zrywały się z powierzchni wody. Przelatywały pomiędzy linami podtrzymującymi most, a kiedy przejechała ostatnia czarna limuzyna, przysiadły na balustradzie.

Wiosna! Wiosna! Jak szalony magik, wyrzucający z kufierka kolorowe jedwabie i szmaty, tak ziemia najpierw wypuściła z siebie żółte i białe krokusy, potem pędy dzikiego wina, zakwitły krzaki forsycji, nieco później irysy, kwiaty jabłoni mieniające się różowością, bielą i seledynem, ciężkie kiście bzu i żonkile. Dziadek stał w ogródku i klaskał w dłonie. Podniósł się łagodny wietrzyk i zdmuchnął z klonów istny deszcz drobnych spermatozoidalnych, miękkich zielonych pączków. Zapłatały się w rzadkie, siwe włosy dziadka. Zachwycony potrząsał głową, jakby ukoronowano go laurowym wieńcem. Przeszył go dreszcz radości, podniósł nogę, by wykonać kilka tanecznych kroków, stracił równowagę, pośliznął się na obcasie i wylądował na ziemi w pozycji siedzącej. Złamał sobie miednicę i od tej chwili zdrowie jego stale się pogarszało.

Nigdy już właściwie nie wydobrzał. Ale cieszył się wiosną i mimo bólu uśmiechał się. Wszędzie wzbierały soki i ćwierkały ptaki. Przeniesiony do stanowego więzienia-fermy w Matteawan, w północnej części stanu Nowy Jork, Harry K. Thaw lekko przeskoczył przez rów, przebiegł szosę i wspiął się na stopień czekającego samochodu. Uchwycił się wspornika dachu. Wydał okrzyk radości, samochód ruszył. Thaw uciekł do Kanady, pozostawiając po drodze całe zastępy rozwścieczonych kelnerów i zdumionych hotelarzy. Porwał i wy chłostał młodego chłopca – jednym słowem, zaczął rozwiązywać swoje problemy. Po pewnym czasie znów przekroczył granicę. Rozpoznano go w pociągu w pobliżu Buffalo. Pędził z chichotem przez wagony, za nim biegła sfera zadyszanych detektywów. W wagonie restauracyjnym obrzucił ich ciężkimi, posrebrzanymi dzbankami do kawy, które porywał ze stolików sprzed nosa zdumionym pasażerom. Wspiął się na dach pociągu i przeskakiwał niczym małpa z jednego wagonu na drugi, aż dotarł do platformy obserwacyjnej, gdzie stanął z wyciągniętymi ku słońcu ramionami. Tam dopadli go policjanci.

Thaw nie wyjawiał nazwiska człowieka, który dopomógł mu w ucieczce. Mówcie mi Houdini, zaproponował policjantom. Przedsiębiorczy reporter postanowił zwrócić się do wielkiego iluzjonisty i zapytać go, co myśli o tej sprawie. Był to dziennikarz specjalizujący się w opisywaniu głupich i mało ważnych wydarzeń, w których ówczesne gazety tak się lubowały. Znalazł Houdiniego na cmentarzu w Queens, klęczącego nad grobem matki i obserwującego nadejście wiosny. Houdini podniósł na niego zapuchnięte oczy. Był niemal śmieszny w swojej żalobie i reporter odszedł bez słowa. Na całym cmentarzu kwitł biały dereń, pod drzewami magnolii leżały sterty płatków.

Houdini miał na sobie czarny wełniany garnitur z naderwanym rękawem. Matka umarła przed kilkoma miesiącami, ale on co rano budził się wciąż z uczuciem dojmującego smutku, jakby jej śmierć nastąpiła ubiegłej nocy. Zerwał wiele umów. Golił się tylko wtedy, kiedy o tym pamiętał, a więc niezbyt często, miał stale zaczerwienione oczy, chodził w wygniecionym ubraniu, więc daleko mu było do wyglądu wytwornego magika o międzynarodowej sławie.

Żydzi mają zwyczaj pozostawiania przy grobie swoich bliskich małego kamyczka na znak, że go odwiedzili. Grób pani Cecylii Weiss pokryty był dużymi i małymi kamykami ułożonymi jeden na drugim, tak że powstało z tego coś w rodzaju piramidy. Houdini wyobrażał sobie matkę w trumnie pokrytej ziemią. Płakał gorzko. Chciał się jak najprędzej znaleźć obok niej. Pamiętał własną próbę wydostania się z trumny i potworny strach, jaki go ogarnął, kiedy się zorientował, że nie sprosta zadaniu. Trumna miała specjalnie skonstruowane wieko, ale widać źle obliczył wagę przygniatającego go piasku. Wpierał ramiona w wieko, ale ciężar ziemi był ogromny. Wrzeszczał na całe gardło w tej nieprzeniknionej ciszy. Toteż dobrze wiedział, co to znaczy być przygniecionym ziemią, ale teraz zdawało mu się, że to jedyne dla niego miejsce. Bo czymże jest jego życie bez ukochanej matki?

Nienawidził tej wiosny. Powietrze wypełniało mu nozdrza i płuca niczym mokry piasek.

W domu z brunatnego piaskowca przy Sto Trzynastej Ulicy, tuż przy Riverside Drive, Houdini poustawiał fotografie matki we wszystkich pokojach, żeby była zawsze i wszędzie obecna. Na poduszce pościł duże zdjęcie portretowe. Na jej ulubionym fotelu umieścił powiększoną fotografię przedstawiającą ją uśmiechniętą, siedzącą na tymże fotelu. Miał też zdjęcie, na którym w kapeluszu i płaszczu wchodziła po schodkach do domu. Powiesił je na wewnętrznej stronie wejściowych drzwi. Jednym z jej ulubionych przedmiotów była pozytywka – dębowe pudełko ze szklanym wiekiem, przez które widać było obracającą się dużą, ząbkowaną tarczę. Matka miała kilka takich tarcz, ale najbardziej lubiła właśnie tę, z nagraniem po jednej stronie *Gaudeamus igitur*, a po drugiej – piosenki z refrenem *Kolumbio, klejnocie oceanu*. Houdini co wieczór nakręcał pozytywkę i odgrywał obie melodie. Wyobrażał sobie, że słucha śpiewu matki. Przechowywał wszystkie listy, jakie napisała do niego przez wiele lat. Teraz kazał je przetłumaczyć na angielski i przepisać na maszynie, żeby mógł je łatwiej czytać i nie obawiać się, że rozlecą się od zbyt częstego dotykania. Stawał w drzwiach szafy matki i wdychał zapach jej sukien.

Kiedy stara pani zapadła na zdrowiu, Houdini był w Europie. Cieszył się na myśl, że będzie jej mógł opisać audiencję u arcyksięcia Franciszka Ferdynanda, następcy austro-węgierskiego tronu, ale zanim zdążył to uczynić, matka umarła.

Zerwał kontrakt i wszedł na pierwszy odjeżdżający do Ameryki statek. Nic z tej podróży nip pamiętał. Był bliski obłądu. Czekano na niego z pogrzebem. Powiedziano mu, że na chwilę przed śmiercią matka wzywała go do siebie. Miała wylew krwi do mózgu i została sparaliżowana. Erich, jęczała, Erich, Erich. Dręczyły go gwałtowne wyrzuty sumienia. Wmawiał sobie, że miała mu coś ważnego do powiedzenia, coś takiego, co mogła wyjawić dopiero w godzinie swojej śmierci.

Odnosił się zawsze sceptycznie do okultyzmu, podobnie jak do spirytystów i ich mediów. We wczesnych dniach swojej kariery, kiedy jeszcze pracował w cyrku braci Welsh w Pensylwanii, sam wykorzystywał łatwowierność prostaczków twierdząc, że jest obdarzony nadprzyrodzoną siłą, za pomocą której wykonuje wiele magicznych sztuk. Kazał sobie zawiązywać oczy i mówił partnerowi, jaki przedmiot ten czy ów z widzów unosi do góry. Co to jest, panie Houdini, pytał jego pomocnik, a on odpowiadał i nigdy się nie mylił. Sprawa była oparta na szyfrze. Czasami twierdził, że potrafi nawiązać kontakt z duchami zmarłych i przekazywał jakiemś nieszczęśnikowi, którego imię i nazwisko udało mu się poznać, wiadomości od zmarłej osoby. Wiedział więc doskonale, na czym polega humbug spirytystów. Rozpoznawał go bez trudu. A spirytyzm kwitł w Stanach Zjednoczonych od 1848 roku, kiedy to dwie siostry Margaretta i Kate Fox zaprosiły swoich sąsiadów z Hydesville, w stanie Nowy Jork, by posłuchali tajemniczego pukania, jakie rozlegało się w ich domu. I właśnie owa głęboka znajomość przedmiotu skłoniła teraz Houdiniego do rozglądania się za człowiekiem, który byłby autentycznym medium. Jeżeli porozumienie się ze zmarłymi jest możliwe, rozumował, to on to stwierdzi. Potrafił jednak zdemaskować każdą mistyfikację. Gdyby udało mu się znaleźć prawdziwe medium, z pewnością poznałby się na nim. Pragnął ponad wszystko w świecie zobaczyć znowu drobną postać swojej matki, Cecylii, poczuć dotyk jej dłoni na twarzy. A skoro nie było to możliwe, postanowił przynajmniej spróbować porozmawiać z nią.

W owym okresie naszej historii możliwość porozumienia się ze zmarłymi zdawała się ludziom mniej nieprawdopodobna niż dziś. Ameryka stała na progu dwudziestego wieku, była krajem parowych kopaczek i lokomotyw, statków powietrznych, motorów spalinowych, telefonów i dwudziestopięciopiętrowych gmachów. Ale, rzecz ciekawa, nawet najwięksi pragmatycy mieli skłonność do okultyzmu. Ukrywali to oczywiście. W pewnych kołach krążyła plotka, że Pierpont Morgan i Henry Ford założyli tajne stowarzyszenie. Houdini wiedział również, że słynny uczonek, przyrodnik Luther Burbank, który krzyżował rośliny, hodował hybrydy i któremu udało się wielokrotnie powiększyć wydajność licznych upraw, rozmawia potajemnie z roślinami i wierzy, że one go rozumieją. Wielki Edison, ojciec dwudziestego wieku, głosił teorię, według której pewne cząsteczki żywej materii, które nazywał „rojami”, mogą przetrwać po śmierci organizmu i są niezniszczalne. Houdini próbował porozumieć się z Edisonem. Zwrócił się do niego z prośbą o spotkanie. Ale wielki człowiek nie miał czasu. Pracował nad pewnym wynalazkiem, i to w takiej tajemnicy, że prasa nieustannie spekulowała na ten temat. Jedna z gazet napisała, że nowy wynalazek uczonego jest czymś w rodzaju rury próżniowej, za pomocą której Edison zamierza komunikować się ze zmarłymi. Houdini wysyłał do niego rozpaczliwe depesze, błagając go o rozmowę. Został zignorowany. Ofiarował pieniądze na sfinansowanie eksperymentów uczonego. Znowu został zignorowany. Przysięgnął sobie, że wynajdzie instrument do porozumiewania się ze zmarłymi, podobnie jak nauczył się latać aeroplanem. Edison ostatecznie rozporządzał tylko ogólnie dostępną technologią. Houdini kupił mnóstwo książek i zabrał się do fizyki mechanicznej, uczył się zasad budowy akumulatora. Postanowił użyć wszelkich metod – mechanicznych czy manualnych – i był przekonany, że jeżeli istnieje życie pozagrobowe, to właśnie on to stwierdzi.

Jego pasja niebawem zainteresowała kilka osób, które również zajmowały się tymi sprawami. Poznał człowieka z Buffalo, w stanie Nowy Jork, który twierdził, że był przez pewien czas współpracownikiem Steinmetza, genialnego karła, zatrudnionego przez General Electric Company. Człowiek ten powiedział Houdiniemu, że we wszystkich krajach świata fizycy odkrywają najrozmaitsze fale. Dodał, że za granicą istnieje teoria zakładająca, iż materia i energia to tylko dwa aspekty tej samej podstawowej siły. Ja również podzielam ten pogląd, powiedział. Był fizykiem i miał dyplom uniwersytetu w Transylwanii. Potrzebne mu były tylko odpowiednio czułe instrumenty celem wykrycia i zidentyfikowania fal, o których jeszcze nikt nie wiedział. Houdini podpisał z nim umowę i dał mu dwa tysiące dolarów za wyłączne prawo do wyników jego eksperymentów. W podziemiach swojego domu urządził laboratorium dla innego człowieka, chemika. Otrzymywał listy od osób, które twierdziły, że mają zdolności mediumiczne, i prosiły go o przysłanie im jakiegokolwiek przedmiotu należącego do jego matki, chociażby broszki albo pukla włosów. Opłacał detektywów, którym kazał badać wiarygodność tych ludzi. Uczył ich, jak odróżniać humbug od prawdy w dziedzinie spirytyzmu. Mówił im o trąbach, fotografii trikowej, ukrytych głośniczkach, o metodach podnoszenia stołów za pomocą specjalnie skonstruowanych urządzeń. Dlaczego medium zawsze pracuje w ciemności? – pytał ich. Jeżeli ludzie gaszą światło, to dlatego, że chcą coś ukryć.

Wkrótce Houdini dzięki tej aktywności pozbył się apatii i zaczął myśleć o powrocie do pracy. Czuję się lepiej, powiedział swojemu menażerowi. Zaczynam wracać do formy. Ustalono terminy występów. Ci, którzy byli na nich obecni w tym okresie jego życia, twierdzą, że Houdini wprost przechodził samego siebie. Sprowadzał na scenę murarzy, stawiali mur wysokości pięciu metrów, przez który on potem bez trudu przechodził. Klaskał w dłonie i wielki słoń znikał widzom sprzed oczu. Z czubków jego palców sypały się monety. Z uszu wylatywały gołębie. Wchodził do drewnianej skrzyni, którą przedtem zbadało kilku widzów. Skrzynię zabijano gwoździami i owiażywano grubym sznurem, bez zasłaniania. Potem ją otwierano. Była pusta. Po chwili Houdini wbiegał do teatru głównym wejściem i widownię przenikał jeden wielki dreszcz podziwu. A on wskakiwał na scenę. Oczy błyszczały mu jak niebieskie brylanty. Powoli podnosił ramiona. Odrywał się od podłogi. Zawisał w powietrzu na wysokości piętnastu centymetrów. Kobiety dyszały. Nagle spadał jak łachman na podłogę. Ludzie wyrażali głośno niedowierzanie, a potem klaskali jak opętani. Asystent pomagał mu usiąść. Houdini prosił o kieliszek wina dla odzyskania sił. Unosił go ku światłu. Wino robiło się bezbarwne. Wypijał je. Kieliszek znikał z jego ręki.

Jego wyczyny były tak niezwykle, wywierały tak dziwny i niepokojący wpływ na widownię, że często wyprowadzano z sali dzieci przed zakończeniem spektaklu. Houdini tego nie zauważał. Pracował ponad siły i często zamiast zapowiadanych trzech głównych numerów, wykonywał osiem, a nawet dwanaście. Zawsze ogłaszał, że jego popisy mogą się skończyć śmiercią, i reporterzy nowojorskich dzienników zaczęli jeździć za nim w przekonaniu, że któregoś dnia skręci sobie kark. Występował co wieczór w innej sali, od Brooklynu po Union City, aż do New Rochelle. Wykonywał słynny numer, w którym wydostawał się z zamkniętej na kłódkę czterdziestolitrowej bańki na mleko, jednej z tych, w jakich dostarczano mleko do sklepów. Bańkę napełniano wodą. Jeżeli nie chciał w niej umrzeć, musiał się z niej wydostać. Kładł się do szklanej trumny, z której wypompowywano powietrze, tak że nie mogła się w niej palić nawet jedna świeca. Leżał tak czasami przez sześć minut po zgaśnięciu świecy. Ludzie na widowni wrzeszczeli. Kobiety zamykały oczy i zasłaniały uszy rękami. Błagały jego pomocników, żeby go wyciągnęli. Kiedy wreszcie otwierali szczelne wieko trumny, rozległ się dźwięk, jaki towarzyszy wyciąganiu korka z butelki szampana. Houdini wychodził z trumny z pomocą swoich ludzi. Drżał na całym ciele i był zlany potem. Każdy z tych wyczynów symbolizował jego tęsknotę za matką. Zасыpywano go, a on wracał do życia. Pewnego wieczoru w czasie występu w New Rochelle jego pragnienie śmierci było tak widoczne, że ludzie zaczęli krzyżeć, a obecny na widowni ksiądz wstał i wrzasnął: Houdini, przestań, bo będziesz potępiony! Nie jest wykluczone, że magik nie rozróżnił już rzeczywistości od własnych sztuczek. Stał przy rampie w długim szlafroku mocno związanym w tali, ociekając potem, z mokrymi, skręconymi w grajcarki włosami i rzeczywiście wyglądał jak istota z innej planety. Panie i panowie, powiedział zmęczonym głosem, wybaczone mi. Chciał im wytłumaczyć pewien stary, egipski trik polegający na takim sposobie oddychania, który wstrzymuje procesy życiowe. Chciał im powiedzieć, że jego eksperymenty wyglądają na bardziej niebezpieczne, niż są w rzeczywistości. Wyciągnął ramiona w niemej prośbie o zrozumienie. Ale w tej samej chwili rozległa się tak silna eksplozja, że stary teatr zadrżał w posadach, a z sufitu zaczął się sypać tynk. Przerażeni i zdenerwowani widzowie – przekonani, że jest to kolejny, szatański trik Houdiniego – zerwali się z krzesel i uciekli w popłochu.

W rzeczywistości wybuch zdarzył się w odległości dwóch mil od teatru, w zachodniej części miasta. Wyleciała w powietrze remiza straży ogniowej Emerald Isle, pokrywając okoliczne pola płonącymi odłamkami. Nad całym Westchesterem zapłonęło niebo. Ze wszystkich dzielnic miasta i z sąsiednich miasteczek, takich jak Pelham i Mount Vernon, zjechały wozy strażackie. Ale niewiele dało się uratować. Na szczęście drewniana remiza znajdowała się w znacznej odległości od najbliższego domostwa. Ale dwóch strażaków trzeba było odwieźć do szpitala, przy czym jeden z nich odniósł tak poważne poparzenia, że nie spodziewano się, iż przeżyje następny dzień. Wiadomo było, że co najmniej pięciu ludzi miało mieć tej nocy dyżur. Był bowiem czwartek, a w każdy czwartek ochotnicy zbierali się w remizie na partyjkę pokera.

Kiedy nadszedł świt, okazało się, że otaczające remizę pole jest spalone, a sama remiza jest już tylko zwęgloną ruiną. Ogrodzono prowizorycznie pogorzelnisko i policjanci zabrali się do wydobywania zwłok spod gruzów i zbierania poszlak, które mogłyby wyjaśnić przyczynę nieszczęścia. Wkrótce stało się jasne, że popełniono zbrodnię. W ciałach dwóch spośród czterech zabitych znaleziono gruby śrut i to on, a nie ogień czy eksplozja, był przyczyną ich śmierci. Specjalnie dobrane konie tej samej maści były zaprzężone do wozu i leżały tam, gdzie padły, już prawie na drodze. Znaleziono aparaturę rejestrującą alarm pożarowy i okazało się, że ktoś wzywał strażaków do północnej dzielnicy miasta, a przecież nie było tej nocy ani jednego pożaru. Na podstawie tej i kilku innych poszlak oraz orzeczenia lekarza sądowego tak zrekonstruowano wypadki: około godziny 10³⁰ wieczorem sześciu członków ochotniczej straży pożarnej zebrało się w remizie na partię pokera. Rozległ się alarm pożarowy. Gracze błyskawicznie nałożyli buty i hełmy, wyprowadzili konie ze stanowisk i zaprzęgli je do wozu. Mieli specjalne, dające się automatycznie zakładać uprząże produkowane dla koni strażackich przez fabrykę P. A. Setzera w mieście Hickory, w Północnej Karolinie. Jak wszyscy strażacy, tak i ochotnicy z Emerald Isle, dumni byli z szybkości, z jaką reagowali na alarm. Pod kotłem palił się zawsze mały

ogień, tak że z chwilą gdy wóz dojeżdżał do miejsca pożaru, rozporządzali już pełną parą. Jeżeli założyć, że tego wieczoru strażacy działali według ustalonego schematu, to w minutę po odebraniu sygnału alarmowego otworzyli bramę i woźnica, poganiając konie, wyjeżdżał na ulicę. Po drugiej stronie, dokładnie na wprost bramy, musiał stać człowiek, a może nawet kilku ludzi. On-czy oni-strzelił nadjeżdżającym koniom prosto w łby. Dwa padły na miejscu, trzeci, ranny w kark, stanął dęba, a jego krew rozprysnęła się po jezdni niczym drobny deszcz. Woźnica dostał śmiertelny postrzał i spadł z koźła. Z trzech znajdujących się na wozie ochotników dwaj zginęli od kul, a trzeci został zmiądzony przez wóz, który szarpnięty przez spłoszone konie przewrócił się na bok. Kiedy kocioł parowy runął na ziemię, powstał huk, który rozległ się po całej okolicy. To jeszcze bardziej przstraszyło mieszkańców już dostatecznie przerażonych odgłosami strzałów. Rozżarzone węgle prysnęły na wszystkie strony, drewniane ściany remizy szybko zajęły się ogniem. Bojler wybuchł od żaru, płonące szczapy spadły na pobliskie pole. W tym właśnie momencie Houdini stracił sympatię swoich widzów.

Tak się złożyło, że cała nasza rodzina położyła się tego wieczoru wcześniej do łóżka. Wszyscy spaliliśmy ostatnio kiepsko. Kolorowe dziecko płakało za matką, widocznie nie służyło mu mleko mamki. Ojciec, usłyszawszy eksplozję, wyrzwał przez okno sypialni i zobaczył lunę na niebie. Przyszło mu na myśl, że wyleciała w powietrze fabryka z magazynem pełnym sztucznych ogni. Ale zaraz się zorientował, że pożar wybuchł w innej części miasta. Dopiero nazajutrz rano dowiedział się, co się spaliło. Miasto nie mówiło o niczym innym. Ojciec poszedł na miejsce pożaru tuż przed obiadem. Za policyjną barierą stał tłum ludzi. Ojciec obszedł sznury i stanął na brzegu stawu znajdującego się na skraju pola, naprzeciwko spalonej remizy. Zobaczył wrak Forda łagodnie unoszony przez falującą wodę. To wyłaniał się, to znikał pod jej powierzchnią. Ojciec poszedł do domu, mimo że syreny fabryczne ogłaszały dopiero godzinę dwunastą. Matka nie chciała nawet spojrzeć na niego. Siedziała w zamyśleniu z opuszczoną głową, z dzieckiem na kolanach, podświadomie przybrawszy pozę Sary. Ojciec zaczął się zastanawiać, czy aby nie grozi im niebezpieczeństwo.

O czwartej chłopiec roznoszący gazety cisnął złożony numer popołudniówki na werandę. Morderca i podpalacz był najprawdopodobniej Murzynem. Jedyne ocalały i znajdujący się w szpitalu strażak opisał go policji. Murzyn ten jakoby zgasił płonące na strażaku ubranie, a potem jak gdyby w obawie, że gest ten zostanie wzięty za objaw litości, chwycił go za włosy, podniósł mu głowę i zażądał wyjawienia, gdzie się ukrył komendant. Ale Conklin, na swoje szczęście, nie wybrał się tego wieczoru do remizy. Nikt nie wiedział, skąd Murzyn zna Conklina i co ma przeciwko niemu.

Fachowcy orzekli, że podpalacz musiał mieć współników – głównie na podstawie faktu, że ktoś włączył fałszywy alarm i wywabiał strażaków z remizy. Mimo to artykuł wstępny określał sprawcę jako samotnego, obłąkanego mordercę. Wzywano obywateli, żeby starannie ryglowali drzwi, byli czujni, ale zachowali spokój.

Nasza rodzina siedziała przy kolacji. Matka trzymała dziecko Sary w ramionach. Nie zdawała sobie z tego jeszcze sprawy, ale już postanowiła, że nigdy się z nim nie rozstanie. Dziecko malutkimi paluszkami wodziło po jej policzku. Na górze w swoim pokoju jęczał z bólu dziadek. Tego dnia nie podano kolacji, nikt nie miał apetytu. Przed ojcem postawiono kryształową karafkę z koniakiem. Pił już trzeci kieliszek. Miał wrażenie, że coś – może odłamek kości czy jakiś paproch – utkwilo mu w krtani, i wyobrażał sobie, że tylko koniak mu pomoże. Wyciągnął z szuflady biurka stary pistolet wojskowy jeszcze z czasów kampanii na Filipinach. Położył go na stole. Jesteśmy uczestnikami tragedii, z którą nie powinniśmy byli mieć nic wspólnego, powiedział do żony. Cóż to, na litość boską, opętało cię tamtego dnia? W naszym okręgu są przytułki dla ubogich. Przyjęłaś tę dziewczynę do naszego domu bez chwili zastanowienia. Sprowadziłaś na nas wszystkich nieszczęście tym bezmyślnym, babskim sentymentalizmem. Matka spojrzała na niego. Nie mogła sobie przypomnieć, żeby kiedykolwiek – przez te wszystkie wspólnie przeżyte lata – zrobił jej wymówkę. Wiedziała, że poprosi ją o wybaczenie, mimo to oczy jej napełniły się łzami, które zaczęły spływać po policzkach. Kosmyki włosów wymknęły się jej z koka i opadły na kark i uszy. Ojciec spojrzał na nią i zobaczył, że odzyskała nagle dawną dziewczęcą urodę. Nie zdawał sobie sprawy z tego, jaką przyjemność sprawił mu fakt, że doprowadził ją do płaczu.

Młodszy brat siedział wparty łokciami w poręcz fotela, zakrywając dłonią twarz, z palcem wskazującym wymierzonym w skroń. Przyglądał się uważnie szwagrowi. Czy zamierzasz wyjść, znaleźć go i zastrzelić? – zapytał. Zamierzam tylko bronić mojego domu, odparł ojciec. Tu jest jego dziecko. Jeżeli przez omyłkę przyjdzie, rozprawię się z nim. Czemu miałby tu przychodzić? – zapytał młodszy brat przekornie. To nie my zapaskudziliśmy mu samochód. Ojciec spojrzał na matkę. Rano pójde na policję i powiem im, że ten obłąkany morderca bywał gościem w moim domu. Będę im też musiał powiedzieć, że trzymamy u siebie jego bękarta. Jestem przekonany, powiedział młodszy brat spokojnie, że Coalhouse Walker z pewnością życzy sobie, żebyś powiedział policji wszystko, co wiesz. Ale powiedz im także, że jest to ten sam zwariowany Murzyn, którego samochód leży w stawie przy remizie. I powiedz im jeszcze, że jest to ten sam człowiek, który był w komisariacie i próbował złożyć skargę na Conklina i jego bandytów. I jeszcze to, że jest to ten sam obłąkany, czarny morderca, który siedział przy łóżku szpitalnym umierającej od obrażeń dziewczyny. Mam nadzieję, że

nie zrozumiałem cię dobrze, powiedział ojciec. Czyżbyś bronił tego dzikusa? Któż, jeżeli nie on, jest winien śmierci Sary? On i jego zaciekle murzyńska pycha? Nie ma żadnego usprawiedliwienia dla masakrowania ludzi i świadomego niszczenia własności publicznej! Młodszy brat wstał tak gwałtownie, że przewrócił fotel. Dziecko przestraszyło się i zaczęło płakać. Młodszy brat był blady i trząsł się na całym ciele. Nie pamiętam, żebyś wygłaszał coś takiego nad grobem Sary, wykrztusił z siebie, nie mówiłeś wtedy, że masakrowanie ludzi i niszczenie cudzego mienia nie dają się niczym usprawiedliwić.

Ale Coalhouse Walker już zrobił szereg kroków, żeby się zdemaskować. Okazało się, że w godzinę po eksplozji – on sam, a może jakiś inny Murzyn – przyniósł do redakcji dwóch miejscowych gazet identyczne listy. Redaktorzy naczelni po konsultacji z policją postanowili ich nie drukować. Listy napisane były energicznym, czytelnym pismem i mówiły o wydarzeniach, które doprowadziły do napadu na remizę. Żądam, żeby ten nikczemny komendant ochotniczej straży pożarnej został wydany w moje ręce, pisał autor listu. Żądam, żeby zwrócono mi samochód w pierwotnym stanie. Jeżeli te warunki nie zostaną spełnione, będę w dalszym ciągu zabijał strażaków i palił remizy. Nie zawaham się przed zniszczeniem całego miasta. Redaktorzy i policja doszli do wniosku, że ogłaszanie listów byłoby sprzeczne z dobrze zrozumianym interesem publicznym. Pojedynczy, obłąkany morderca to jedna sprawa. Ale rebelia to zupełnie co innego. Patrole policyjne dyskretnie przemierzały murzyńskie dzielnice, pytając o Coalhouse'a Walkera. To samo robiono w okolicznych miastach, gdzie mieszkała murzyńska ludność. Do kwatery głównej policji nadchodziły kolejne raporty: To nie jest żaden z naszych Murzynów. Żaden z naszych.

Nazajutrz rano ojciec pojechał tramwajem do śródmieścia. Wszedł do ratusza – szanowany, powszechnie znany biznesmen i podróżnik, o którym wiele pisano w gazetach. Flaga powiewająca na ratuszowej wieży była jego darem dla miasta.

Część III

Ojciec urodził się i wychował w mieście White Plains, w stanie Nowy Jork. Był jedynakiem. Pamiętał jasne, ciepłe dni lata spędzane w Saratoga Springs. Były tam ogrody o ścieżkach wysypanych czystymi, małymi kamyczkami. Spacerował z matką po alei ciągnącej się przed wielkimi hotelami o dużych, pomalowanych na biało werandach. Co roku wracali do domu tego samego dnia. Matka ojca była delikatnego zdrowia i umarła, kiedy miał czternaście lat. Ojciec ukończył college w Groton, a potem studiował na Uniwersytecie Harvarda. Specjalizował się w niemieckiej filozofii. Ale na drugim roku studiów, w połowie zimy, musiał przerwać naukę. Jego ojciec zrobił wielkie pieniądze w czasie wojny domowej i od tej pory zajmował się wyłącznie traceniem ich, wdając się w bezsensowne spekulacje. Teraz okazało się, że przepuścił wszystko. Ale był człowiekiem, który lubił przeciwności losu. Im więcej tracił, tym bardziej ufał szczęściu. Nawet kiedy był już całkowitym bankrutem, nie stracił radości życia i wigoru. Zmarł nagie, do końca pełen wiary w przyszłość. Jego błyskotliwość uczyniła z syna samotnika, ostrożnego, trzeźwego, pracowitego i chronicznie nieszczęśliwego. Kiedy ojciec doszedł do pełnoletności, zainwestował pozostawioną mu przez ojca niewielką sumę pieniędzy w małą fabrykę fajerwerków należącą do pewnego Włocha. Po pewnym czasie przejął ją, rozbudował, wykupił jeszcze fabrykę flag i zaczął zupełnie nieźle zarabiać. Znalazł też czas na dorobienie się stopnia oficerskiego w kampanii filipińskiej. Szczycił się swoimi osiągnięciami życiowymi, ale nigdy nie zapominał, że zanim został biznesmenem, był studentem Harvardu. Słuchał wykładów Williama Jamesa o zasadach nowoczesnej psychologii. Wyprawy na Arktykę stały się pasją jego życia: chciał uniknąć tego, co wielki James nazywał nawykiem poczucia mniejszej wartości w stosunku do własnej jaźni.

Teraz ojciec każdego ranka po przebudzeniu leżał i zastanawiał się nad stanem swojej duszy. Zastanawiał się, czy niechęć, jaką odczuł od pierwszego wejrzenia do Coalhouse'a Walkera, wywołana była kolorem jego skóry, czy może zazdrością, że człowiek ten zabiegał o względy ładnej dziewczyny i że najlepsza część życia była jeszcze przed nim. Ojciec zauważył, że ostatnio na wierzchu jego dłoni pojawiły się brunatne plamy. Zdawał sobie również sprawę z tego, że od czasu do czasu zmuszony jest prosić ludzi, żeby powtórzyli raz jeszcze to, co przed chwilą powiedzieli. Jego pęcherz domagał się coraz częściej opróżnienia. Ciało matki nie podniecało go już tak jak dawniej, mimo że doceniał jej urodę. Podziwiał krągłe kształty, ale ich widok nie pobudzał go seksualnie. Zauważył, że jej ramiona zrobiły się pełniejsze. Przyzwyczaili się, po jego powrocie z Arktyki, znowu do wspólnego życia, ale byli teraz już tylko parą dobrych, mało od siebie wymagających przyjaciół. Zdawało mu się, że życie zaczęło go po prostu omijać, że jest jego widzem, a nie uczestnikiem. Zainteresowanie matki małżeństwem czarnej dziewczyny uznał za rzecz niesmaczną. Teraz, kiedy zabrakło Sary, miał wrażenie, że stał się po prostu niedostrzegalny. Matka pogrążona w swoim zmartwieniu kierowała całą uwagę na dziecko zmarłej dziewczyny.

Uznał, że wizyta w komisariacie sprawiła mu pewną przyjemność. Wiedział, że nie świadczy to o nim najlepiej. Być może dla skompensowania tego scharakteryzował Coalhouse'a jako człowieka spokojnego, doprowadzonego do obłędu przez niezależne od niego okoliczności. Był to dokładnie ten sam argument, jakiego młodszy brat używał w domu. Ojciec potwierdził autentyczność wypadków opisanych w liście Coalhouse'a. Był pianistą, dodał, używając czasu przeszłego. Był zawsze uprzejmy i pełen kurtuazji. Policjanci kiwali głowami z powagą. Czy, zdaniem ojca, zapytali, ten Murzyn znów uderzy? Dokładnie tak wyraził się komendant policji, czy Murzyn znów uderzy. Ojciec odpowiedział, że jeżeli Coalhouse coś postanowi, to niewątpliwie dotrzyma słowa. Idąc głównie za jego radą zorganizowano ostre pogotowie. Wszystkie oddziały straży pożarnej w całym mieście zostały obstawione policją. Podobnie jak główne szosy. W centralnym komisariacie policji powieszono mapę, na której zaznaczony był rozkład postojów poszczególnych patroli. Również na podstawie informacji ojca skłoniono nowojorską policję do rozesłania detektywów po Harlemie w poszukiwaniu Coalhouse'a.

Ojciec spodziewał się słów nagany ze strony policji. Jednakże przyjęto go dobrze. Potraktowano jako eksperta w dziedzinie psychologii przestępców. Zaproszono do spędzenia możliwie największej ilości czasu w komisariacie. A nawet do uczestniczenia w naradach. Ściany komisariatu pomalowane były na seledynowo mniej więcej do wysokości metra od sufitu, niżej na ciemnozielono. W każdym z czterech rogów stała spluwaczka. Ojciec zgodził się poświęcić śledztwu tyle czasu, ile tylko mógł. Był to jednakże w jego branży najgorętszy okres roku. Trzeba było sprostać licznym zamówieniom na fajerwerki, sztuczne ognie, rakiety świetlne, bombki, petardy, ognie bengalskie i błyski, gdyż zbliżało się święto Czwartego Lipca. Ojciec dzielił więc swój czas pomiędzy biuro a komisariat. Spotykał tam często – ku swojemu zgorszeniu – komendanta straży Emerald Isle, Willa Conklina, który śmierdział whisky, a strach przed zemstą Murzyna nadał jego czerstwej niegdyś twarzy kolor ugotowanej cielęciny. Był na przemian to bezczelny, to przerażony. Wszystkie jego pomysły cechowała ta sama głupota, która stała się przyczyną całej tragedii. Chciał pójść do dzielnicy murzyńskiej i wykurzyć z niej wszystkich czarnuchów raz na zawsze. Policjanci nie zwracali uwagi na jego słowa. Stroili sobie nawet z niego żarty. Będziemy cię musieli chyba rzucić na pożarcie temu muzykantowi,

Willie, mówili. Chociażby dla świętego spokoju. Ale Conklin nie znał się na żartach. Niech was Pan Bóg kocha, przecież to nasza wspólna sprawa, mówił. Willie, upomniał go komendant, dowiedzieliśmy się dopiero od tego Murzyna, że wasze kretyńskie figle wywołały tę całą hecę. Jesteś patentowanym durniem i jeszcze mówisz, że to nasza wspólna sprawa.

Charakter i mentalność Conklina idealnie odpowiadały temu, co działo się w komendzie policji. Przez jej oszklone drzwi wtaczał się nieustający korowód drobnych aferzystów, rzezimieszków, adwokatów, poręczycieli, policjantów i zdenerwowanych krewnych. Pijaków przywlekano za kołnierze, złodziei zakutych w kajdanki. Wszyscy mówili podniesionym głosem, używali ordynarnych słów. Conklin był handlarzem węgla i lodu, mieszkał z żoną i trojgiem dzieci w oficynie nad składem. Ojciec orientowali się, że człowiek ten spędza tyle czasu w komendzie policji dlatego, że się boi. Nie przyznawał się oczywiście do strachu. Chwalił się, jakie to środki ostrożności zastosował w swoim domu. Mimo że jego podwórze stale patrolowali dwaj policjanci, namówił wszystkich pozostałych przy życiu strażaków, żeby zamieszkali chwilowo u niego. Uzbroił ich. Czarnuch mógłby z równym powodzeniem zaatakować West Point, twierdził.

Ojciec czuł się poniżony kontaktem z tym człowiekiem. Conklin mówił z nim inaczej niż z policjantami. Lepiej się wysławiał. Najbardziej denerwowało ojca to, że Conklin rozmawiał z nim jak równy z równym. Tragiczna historia, panie kapitanie, powtarzał, bardzo tragiczna. Pewnego razu położył ojcu rękę na ramieniu gestem tak braterskiej poufałości, że ojca przeszył dreszcz podobny do elektrycznego wstrząsu.

Mimo to ojciec spędzał coraz więcej czasu w komendzie. I coraz trudniej było mu wracać do domu. W dniu pogrzebu ofiar masakry i ognia w Emerald Isle poszedł na cmentarz, by wysłuchać przemówień. Zjawilo się tam pół miasta. Nad głowami tłumu kołysał się wielki mosiężny krzyż. Will Conklin nie opuścił gmachu komendy. Był tam idealnym celem dla wyborowego Strzelca, oświadczył. Na mieście zaczęto kwestionować jego postępowanie. Wkrótce potem kilka nowojorskich gazet napisało, że tragiczne wydarzenia w Emerald Isle były wynikiem nie załatwionych słusznych żądań Murzyna. Nowojorscy dziennikarze nie musieli się liczyć z interesami miejscowej izby handlowej. „World” i „Sun” wydrukowały list Coalhouse’a. Will Conklin stał się postacią powszechnie potępianą. Mówiono o nim z nienawiścią jako o człowieku, którego głupota przyczyniła się do śmierci jego podkomendnych. Z drugiej strony, w innych sferach mówiono, że wprawdzie utarł nosa czarnuchowi, ale że nie potrafił napędzić mu strachu.

Przed naszym domem na Broadview Avenue stał teraz dzień w dzień samochód, w którym siedział człowiek w meloniku. Ojciec nie został o tym wprawdzie oficjalnie zawiadomiony, ale powiedział matce, że sam zwrócił się o ochronę policyjną do władz, nie chciał jej się bowiem przyznać, że mimo współpracy z policją jest inwigilowany. Zastanawia! się, o co go podejrzewano.

Dokładnie w tydzień po ataku Coalhouse’a na remizę Emerald Isle, o godzinie szóstej rano, na Railroad Place – wąską, wybrukowaną kocimi łbami. uliczkę w zachodniej części miasta – wjechała powoli duża limuzyna. W połowie uliczki znajdował się gmach drugiego oddziału miejskiej straży pożarnej. Limuzyna zatrzymała się przed bramą i dwaj senni policjanci stojący na warcie zobaczyli ze zdumieniem, że wyskakuje z niej kilku uzbrojonych w strzelby i karabiny Murzynów. Jeden z policjantów miał na tyle przytomności umysłu, że padł na ziemię. Drugi stał jak wryty i gapił się na nich z otwartymi ustami. Murzyni ustawili się sprawnie w szyku plutonu egzekucyjnego i na dany znak oddali salwę. Policjant padł martwy na bruk, szklane drzwi i okna budynku rozprysnęły się. Jeden z Murzynów podbiegł do wybitego okna i wrzucił do gmachu kilka niewielkich paczek.

Mężczyzna, który wydał komendę, podszedł do przerażonego, skulonego na chodniku policjanta. Wsunął mu do ręki list i powiedział spokojnym głosem: To ma być opublikowane w gazecie. Potem przyłączył się do pozostałych Murzynów, którzy tymczasem powrócili do samochodu. Samochód ruszył i w tej samej chwili w budynku nastąpiły – jeden po drugim – dwa albo trzy wybuchy, wyrывая główne drzwi i zamieniając go w piekło. Ogień szybko przeniósł się na sąsiedni bar oraz skład kawy, którego właściciel prowadził także detaliczną sprzedaż na ulicy. Worki z kawą zaczęły tlić się żółtym dymem, a zapach spalonej kawy unosił się nad tą dzielnicą jeszcze przez kilka tygodni. W zgłiszczach znaleziono zwłoki czterech strażaków. W mieszkaniu, po drugiej stronie ulicy, znaleziono też zwłoki staruszki, która najprawdopodobniej umarła ze strachu. Jeden wóz strażacki i jeden ambulans uległy zniszczeniu.

W mieście wybuchła panika. Przestano posyłać dzieci do szkół. Powszechne oburzenie skoncentrowało się na miejskiej policji i Willie Conklinie. Delegacja strażaków pomaszerowała na ratusz żądając wydania broni i zaprzysiężenia ich jako członków straży obywatelskiej. Przerażony burmistrz wysłał depeszę do gubernatora stanu Nowy Jork żądając przysłania posiłków. Wszystkie gazety w całym kraju podały na pierwszych stronach wiadomość o nowym zamachu bombowym Coalhouse’a. Całe zastępy nowojorskich reporterów zjawily się w New Rochelle. Komendant policji został potępiony za to, że dopuścił do drugiego zamachu ze strony czarnego mordercy. Zwołał konferencję prasową w swoim urzędzie. Ten człowiek ma do dyspozycji kilka samochodów, oświadczył reporterom. Napada i znika, Bóg jeden wie, gdzie. Od kilku lat stowarzyszenie komendantów policji stanu Nowy Jork żąda uchwalenia ustawy o obowiązku rejestracji samochodów i ich właścicieli. Gdyby

uchwała taka istniała, moglibyśmy teraz bez trudu znaleźć tego zbrodniarza. Podczas przemówienia do dziennikarzy komendant opróżniał szuflady biurka. Kurzył cygaro. Opuścił komisariat razem z reporterami. Nazajutrz sejm stanowy zaczął rozpatrywać projekt ustawy o obowiązkowej rejestracji samochodów.

Ojciec zatrudniał w swoim przedsiębiorstwie dwóch Murzynów. Jeden był strażnikiem, drugi montował rakiety świetlne. W dniu, w którym wysadzono w powietrze gmach straży pożarnej, żaden z nich nie zgłosił się do pracy. W mieście w ogóle nie widać było Murzynów. Pozamykali się w swoich domach. Tej nocy policjanci aresztowali na ulicach kilku białych obywateli uzbrojonych w strzelby i pistolety. Gubernator stanowy, w odpowiedzi na apel burmistrza w New Rochelle, przysłał mu dwa oddziały milicji z Nowego Jorku. Przybyli następnego ranka i natychmiast rozbili namioty na polu baseballowym na tyłach liceum. Uczniowie przyglądali się im z ciekawości. Miejscowe gazety wydały dodatki nadzwyczajne z tekstem drugiego listu Coalhouse'a. Oto, co można w nim było przeczytać: Po pierwsze, żądam wydania w moje ręce białego łajdaka, Willie Conklina, po drugie, żądam, żeby mój samochód, Ford, model T, z wykonanym specjalnie na zamówienie dachem z dermatoidu, został mi zwrócony w pierwotnym stanie. Dopóki moje żądania nie zostaną spełnione, trwać będzie stan wojenny. Coalhouse Walker, prezydent Tymczasowego Rządu Amerykańskiego.

Teraz wszyscy chcieli przede wszystkim wiedzieć, jak wygląda Coalhouse Walker. Gazety gorączkowo ze sobą współzawodniczyły. Reporterzy wdarli się do pokoju szefa orkiestry „Clef Club” w Harlemie. Nie, nie miał on ani jednego zdjęcia z podobizną niesławnego pianisty. Hearstowski dziennik „American” triumfalnie umieścił na pierwszej stronie fotografię kompozytora Scotta Joplina. Przyjaciele Joplina zagrozili skargą sądową, ponieważ kompozytor znajdował się w ostatnim stadium śmiertelnej choroby i nie był w stanie bronić własnych interesów. Gazeta wydrukowała przeprosiny. Wreszcie jakiś dziennikarz z St. Louis zdobył zdjęcie, które ukazało się w wielu gazetach. Ojciec rozpoznał w nim Coalhouse'a. Zdjęcie przedstawiało go nieco młodszego – we fraku, siedzącego przed pianinem. Ręce trzymał na klawiaturze i uśmiechał się do obiektywu. Dokoła pianina siedział muzyk grający na banjo, kornecista, trębacz i perkusista pochylony nad bębniem. Wszyscy mieli na sobie fraki. Upozowani byli tak, jakby grali. Głowę Coalhouse'a ktoś otoczył kółkiem. Fotografia stała się powszechnie znana. Widok uśmiechniętej, szczerzej fizjonomii czarnego człowieka ze starannie przystrzyżonym wąsikiem stanowił paradoks, który nie mógł ująć uwagi dziennikarzy. Podpisywali zdjęcie: „Uśmiech mordercy”. Albo: „Prezydent Tymczasowego Rządu Amerykańskiego w szczęśliwszych dniach”.

Reporterzy nie mogli oczywiście nie odkryć roli, jaką w całej tej historii odegrała nasza rodzina. Pukali do naszych drzwi, najpierw pojedynczo albo parami, później w większych grupach, a ponieważ nie wpuszczano ich, rozłożyli się na dobre przed naszym domem pod norweskiemi klonami. Chcieli zobaczyć czarne dziecko, chcieli zdobyć jakąś wypowiedź o Walkerze, o jego wizytach u Sary. Zaglądali w okna salonu i próbowali otworzyć kuchenne drzwi. Na głowach mieli słomkowe kapelusze, a w kieszeniach bruliony. Żuli tabakę i pluli, gdzie popadło, papierosy gasili na trawniku. W nowojorskich gazetach ukazały się fotografie naszego dornu. I niezbyt ściśle opowieści o wyprawach polarnych ojca. Ojciec kazał zasunąć rolety i nie pozwalał synowi wychodzić na ulicę. W pokojach było duszno, nocami dziadek jęczał przez sen.

Matka zapewne znosiłaby to wszystko bez szemrania, gdyby nie wybuchła dyskusja dotycząca losu synka Coalhouse'a Walkera. Sznury samochodów pełne ciekawskich przejeżdżały pod naszymi oknami. Wykorzystując długie, letnie wieczory ludzie obserwowali nasze okna w nadziei, że zobaczą chociażby twarz któregoś z członków rodziny. Jeden z urzędników nowojorskiego Urzędu do Spraw Dzieci, oświadczył, że jego zdaniem nieślubne i dotychczas nawet jeszcze nie ochrzczone dziecko Sary powinno zostać oddane do jednego ze znakomitych sierocińców, które zostały specjalnie zorganizowane dla sierot i dzieci niczyich lub pochodzących ze związków pozamałżeńskich. Matka trzymała małego w swoim pokoju. Nie znosiła go nawet na parter. Kiedy musiała się czymś zająć, prosiła syna, żeby ją przy nim zastąpił. Szkoda jej było nawet czasu na upinanie włosów i nosiła je teraz przez cały dzień luźno rozrzucone na ramionach. Do ojca mówiła cierpkim tonem, co było sprzeczne z jej naturą. Czemu nie otworzysz swojego skarbcza i nie wynajmiesz mi kogoś do pomocy? – pytała go. Ojciec rzeczywiście bardzo ostrożnie wydawał pieniądze, czego matka dotąd nigdy nie kwestionowała. Za wsze żyli. na nieco niższe j stopie, niżby to warunkowała ich sytuacja materialna. Ojciec był dotknięty uwagą matki, ale wyszedł na miasto i zaangażował jedną kobietę do gotowania, drugą do prania i sprzątanania. Obydwie na stałe. Ogrodnikowi, który pracował u nas dotychczas przez pół dnia, dał pomieszczenie nad garażem. Dziadkiem opiekowała się już od pewnego czasu całodzienna, wykwalifikowana pielęgniarka. Nasz dom przypominał teraz obłąkaną twierdzę. Co chwila ktoś prosił chłopca, żeby usunął się z drogi. Przyglądał się matce, która krążyła niespokojnie po swoim pokoju ze złożonymi rękami i opadającymi włosami. Wychudła, a jej zawsze raczej okrągły podbródek zaostriżył się i nadawał twarzy surowy wyraz.

Ta kryzysowa sytuacja odbierała nam radość życia. Ojciec był dotychczas w głębi duszy przekonany, że na jego rodzinę spływa szczególna łaska. Teraz czuł, że łaska ta została odjęta. Był bezradny, wiedział, że miota nim przypadek, że losy jego znajdują się w rękach Coalhouse'a. A przecież przemierzył Afrykę, był na Filipinach, ba, na biegunie. Podróżował po całym Zachodzie. Czyżby to miało świadczyć, że coraz więcej

codziennych spraw wymyka mu się z rąk? Całymi godzinami siedział w gabinecie. Doszedł do wniosku, że zawiódł wszystkich swoich bliskich, nie wyłączając dziadka. Traktował go od pewnego czasu z ową arogancką kurtuazją, z jaką zwracał się z reguły do ludzi bardzo starych, ale zaczął to robić, jeszcze zanim dziadek zestarzał się na dobre. Z młodszym bratem nie mógł się w ogóle porozumieć. Był przekonany, że utracił szacunek żony, która uważała go za człowieka równie konserwatywnego jak jego ojciec, za pozornego tylko zdobywcę nowych lądów. Stawał się chyba rzeczywiście coraz podobniejszy do ojca, nawet z wyglądu. Nic go właściwie nie interesowało, jego soki żywotne wysychały, w oczach zaś pojawiały się zniechęcające błyski szaleństwa. Czy tak musiało być?

Najbardziej potępiał siebie za zaniechanie syna. Nigdy z chłopcem nie rozmawiał, nie przyjaźnił się z nim. Zawsze uważał, że wystarczy świecić mu dobrym przykładem. Jakież to było niemądre, jakże świadczyło o zadufaniu, tym bardziej że stanowiło taktykę człowieka, który przez całe życie starał się postępować tak, żeby nikt nie mógł go identyfikować z ojcem. Poszedł do pokoju syna i zastał go leżącego na podłodze, zagłębionego w lekturze gazety z opisem zwycięstwa nowojorskiej drużyny baseballowej pod wodzą znakomitego trenera, Johna J. McGrawa. Czy chciałbyś pójść na ich mecz? – zapytał. Chłopiec spojrzał na niego ze zdumieniem. Właśnie o tym marzyłem, powiedział. Ojciec poszedł do pokoju matki. Jutro, oświadczył, zabieram chłopca na mecz baseballowy. Powiedział to z taką stanowczością, że matka powstrzymała się przed powiedzeniem, iż to idiotyzm, a kiedy wyszedł, zaczęła się zastanawiać, dlaczego właśnie tak zareagowała, dlaczego jest tak całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek miłości dla niego.

Nazajutrz po południu ojciec i syn wyszli z domu i szybkim krokiem ruszyli na dworzec przy Quaker Ridge Road. Dwaj reporterzy towarzyszyli im przez część drogi. Idziemy na mecz drużyny „Giantów”, oświadczył im ojciec. To wszystko, co zamierzam wam powiedzieć. Kto dzisiaj rzuca piłkę? – zapytał jeden z reporterów. Rube Marquard, odpowiedział chłopiec. Wygrał trzy razy pod rząd.

Właśnie w momencie, kiedy weszli na peron, zajechał pociąg. Należał do linii New York-Westchester-Boston. Mimo to linia ta nie obsługiwała Bostonu ani miasta Nowy Jork. Ojciec i syn dojechali więc do Bronxu, przesiadli się na tramwaj jadący na Sto Pięćdziesiątą Piątą Ulicę, a następnie na inny, który przecinał miasto wszerz, przejeżdżał przez most harlemski i zatrzymywał się w Coogan’s Bluff. tuż przy stadionie.

Popołudnie było piękne. Wielkie, białe chmury przesuwały się szybko po błękitnym niebie. Kiedy tramwaj znalazł się na harlemskim moście, zobaczyli, że na wielkich drzewach, bezlistnych nawet o tej porze roku, rosnących na wzgórzu, wznoszących się nad drewnianymi lawami stadionu, siedzą faceci w melonikach, podobni do wielkich czarnych kwiatów chybotających się na wietrze. Woleli oglądać mecz bezpłatnie z tej dogodnej wysokości. Ojcu udzieliło się w pewnej mierze radosne podniecenie chłopca. Był ogromnie zadowolony, że wy dostał się z New Rochelle. Kiedy dotarli do parku, zobaczyli tłumy wysypujące się z kolejki nadziemnej, mnóstwo osób wysiadających z taksówek, gazeciarzy sprzedających programy meczu. Wszystko tętniło tu pełnią życia. Rozlegały się klaksony samochodów. Stelaż nadziemnej kolejki rzucał na jezdnię skomplikowany wzór światła i cieni. Ojciec kupił drogi bilet wstępu za pięćdziesiąt centów i dopłacił do łoża. Weszli do parku i zajęli miejsca tuż za pierwszą bazą pola gry, gdzie podczas niektórych partii meczu musieli później osłaniać oczy przed promieniami słońca.

Członkowie drużyny „Giants” mieli na sobie obszerne białe kombinezony w cienkie czarne paski. Kierownik i trener drużyny, McGraw, w grubym, czarnym, zapinanym z przodu swetrze okrywającym potężny tors, miał na lewym rękawie wyhaftowane litery NJ. Był niski, krępy i wyglądał na zawadiakę. Podobnie jak cała drużyna, nosił skarpety w szerokie poprzeczne pasy, a na głowie sterczała mu mała cyklistówka z daszkiem i guzikiem na czubku. Przeciwnikami drużyny „Giants” tego popołudnia była drużyna „Boston Braves” w ciemnogrnatowych flanelowych kostiumach. Kurtki mieli ‘zapięte wysoko pod szyją, kołnierzyki podniesione. Wiatr wznosił tumany kurzu. Rozpoczął się mecz i niemal natychmiast ojciec zaczął żałować, że nie wybrał innych miejsc. Przekleństwa rzucane przez podnieconych zawodników dochodziły wyraźnie do uszu chłopca. Drużyny obrzucały się nawzajem ordynarnymi wyzwiskami. Sam trener McGraw, znany i szanowany powszechnie za znakomitą opiekę, jaką otaczał zawodników, stał przy trzeciej bazie i z ust jego płynął nieprzerwany strumień wielce pomysłowych i wysoce nieprzyzwoitych przekleństw. Słyszeć go było w całym parku. Widzowie zdawali się równie jak on podnieceni. Gra była wyrównana, to jedna, to druga drużyna zdobywała chwilową przewagę. W pewnym momencie jeden z zawodników przewrócił drugiego basemana „Giantów”, który podniósł się z wrzaskiem i zaczął skakać w kółko na jednej nodze, podczas gdy z drugiej ciurkiem lała się krew, przeciekając przez grubą pończochę i plamiąc piasek. Wszyscy gracze zbiegli się na miejsce wypadku, zatrzymano grę na kilka minut i zaczęła się ogólna bijatyka. Zawodnicy tarzali się w piasku i okładali nawzajem, a publiczność zachęcała ich okrzykami. Wznowiono mecz i po dwóch rozgrywkach Marquard, któremu tego dnia szczęście wyraźnie nie dopisywało, trafił batsmana bostończyków piłką w twarz. Ten najpierw upadł, po czym wstał i natarł na Marquarda wywijając kijem. Znowu zbiegli się wszyscy gracze, znowu starli się ze sobą okładając się nawzajem, znowu nad boiskiem wzniosły się tumany kurzu. Publiczność tym razem wzięła udział w rozgrywce rzucając butelkami po lemoniadicie. Ojciec zajrzał do programu. Po stronie „Giantów” grali między innymi Merkle, Doyle, Meyers, Snodgrass i Herzog. Wśród graczy bostońskich znajdował się niejaki Maranville, facet niewielkiego wzrostu, który co chwila kucał, wyciągał długie ramiona i rozczesywał palcami trawę zupełnie jak małpa. Pierwszy baseman nazywał się Schmidt, inni mieli takie nazwiska jak Cocrehan, Morgan, Hess, Rudolph, co wskazywało niedwuznacznie na to, że zawodowy baseball opanowany był niemal wyłącznie przez imigrantów. Kiedy gra została wznowiona, ojciec przyjrzał się po kolei każdemu z batsmanów. Wyglądali rzeczywiście na chłopców pochodzących prosto z ferm i fabryk, byli opalem, o grubych rysach twarzy, odstających uszach, wielkich łapskach i policzkach wyдутych od nieustannego żucia tytoniu, zaprzątnięci jedynie i wyłącznie baseballlem. Na rękach mieli wielkie, skórzane rękawice, co nadawało im wygląd niekompletnie ubranych kłownów. Piasek boiska nakrapiany był plwocinami. Biada kampanii Ligi do Walki z Pluciem. Chłopiec, który zbierał kije dla bostończyków, okazał się po dokładnej obserwacji karłem w zminiaturyzowanym stroju swojej drużyny. Wznosił okrzyki i szydził z przeciwników piskliwym głosem. Prawie każdy batsman wchodzący do gry dotykał w przelocie jego głowy – na szczęście. Maskotką „Giantów” był nie karzełek, ale dziwny, bardzo chudy facet w źle skrojonym stroju drużyny, na dodatek zezowaty, który naśladował ruchy graczy – bardzo powoli, jakby we śnie – i rzucał wyimaginowane piłki mniej więcej jednocześnie z aktualnym graczem.

Wyglądał niczym jaskiniowiec. Rozkładając długie ramiona zataczał pełne koła, jak wiatrak. Ojciec częściej patrzył na tę nieszczęsną kreaturę niż na „Giantów”, których maskotką był ten dziwoląg. Podczas mniej interesujących fragmentów meczu widzowie oklaskiwali jego figle i wołali brawo. I rzeczywiście figurował w programie jako maskotka. Nazywał się Charles Victor Faust. Wyglądał na debila i z pewnością wyobrażał sobie, że jest członkiem drużyny, bo umieszczano jego nazwisko wśród nazwisk graczy.

Ojciec przypomniał sobie harwardzkie czasy sprzed dwudziestu lat, kiedy zawodnicy zwracali się do siebie per pan, grali zawzięcie, ale po dżentelmeńsku, i mieli sensowne stroje. Widzów – samych studentów – bywało nie więcej niż stu. Uczucie nostalgii, jakie odczuwał, zaniepokoiło go. Zawsze uważał się za człowieka postępowego, a republikę za najdoskonalszą z form ustrojowych. Był pewny, że Murzyni – odpowiednio kierowani – potrafiliby wziąć na siebie takie same obowiązki jak inni ludzie. Nie wierzył w niczyją wyższość z wyjątkiem tej, jaka wynika z indywidualnych zdolności. Był przekonany, że fakt utraty przez ojca całego majątku wyszedł mu na dobre, bo uchronił go przed bezkrytycznym przejęciem przesądów jego klasy. Ale powietrze na stadionie znajdującym się w końcu pod gołym niebem cuchnęło jak w podrzędnej knajpie. Wisiała nad nim chmura dymu cygar, podświetlona skośnymi promieniami popołudniowego słońca. Ojciec miał wrażenie, że otaczająca go wielka bania powietrza kurczy się gwałtownie, a dziesięć tysięcy zachrypłych, rozwrzeszczanych głosów to głosi chwałę, to przeklina cuchnący wszechświat.

W głębi stadionu, za odkrytymi rzędami ławek, wisiała wielka tablica, na której notowano liczbę wejść i wykluczeń oraz uderzeń i biegów wykonanych przez zawodników. Chodzący po rusztowaniu człowiek zawieszał na niej odpowiednie plansze. Ojciec zapadł się w swoim krześle. Czas płynął i nagle wyobraził sobie, że to, na co patrzy, wcale nie jest meczem, ale pantomimą obrazującą nękające go problemy, przeznaczoną wyłącznie dla niego i zakodowaną w cyfrach ukazujących się na tablicy.

Zwrócił się do syna. Co ci się najbardziej podoba w baseballu? – zapytał. Chłopiec odpowiedział, nie odrywając oczu od boiska, to, że ta sama sytuacja stale się powtarza. Przeciwnik próbuje rzucić piłkę taki żeby zmylić batsmena. Ale czasami batsmenowi udaje się odbić ją, zauważył ojciec. Wtedy ten, który ją rzucił, zostaje wystrychnięty na dudka, odpowiedział chłopiec. W tej samej chwili Hub Perdue z bostońskiej drużyny wyrzucił piłkę, a Rudy Jack Murray z drużyny nowojorskiej odbił ją. Piłka zatoczyła półkole i przez chwilę jakby zatrzymała się w powietrzu. Ojciec przeraził się, gdyż zdał sobie sprawę, że piłka leci prosto na nich. Chłopiec podskoczył, wyciągnął ręce i złapał ją. Rozległy się brawa i przez chwilę cały stadion patrzył w ich stronę. Zezowaty jaskiniowiec, któremu zdawało się, że jest zawodnikiem, podszedł do bariery oddzielającej publiczność od stadionu i wbił wzrok w chłopca. Ramiona i ręce drgały mu konwulsyjnie. Miał na sobie workowatą, flanelową koszulę i absurdalnie małą czapeczkę na wielkim łbie. Chłopiec podał mu łagodnie piłkę, a on z normalnym niemal uśmiechem wziął ją z jego rąk.

Człowiek ten, Charles Victor Faust, tylko raz wszedł do gry pod sam koniec sezonu, kiedy drużyna „Giants” już była mistrzem roku i w związku z tym w beztroskim nastroju. Na kilka chwil to, o czym marzył, stało się rzeczywistością. Wkrótce potem znudził się graczom drużyny, a McGraw uznał, że przestał przynosić szczęście jego chłopcom. Odebrał mu kombinezon i bezceremonialnie odprawił. Trzeba go było umieścić w zakładzie dla obłąkanych, gdzie po kilku miesiącach zmarł.

Pod koniec meczu ojca ogarnął nagle silny niepokój. Pomyślał, że głupstwo zrobił pozostawiając żonę samą w domu. Ale kiedy wychodzili ze stadionu – unoszeni niemal przez falę tłumu – poczuł rękę chłopca w swojej dłoni. Zrobiło mu się natychmiast raźniej na duszy. Kiedy już siedzieli w otwartym wagonie, objął syna ramieniem. Wyszli do New Rochelle i ruszyli szybkim krokiem naprzód z dworca, a kiedy dotarli do domu, zawołali głośno: hallo! Wtedy po raz pierwszy od dłuższego czasu ojciec poczuł się znowu sobą. Matka wyłoniła się z głębi hallu. Włosy miała związane wstążką, była starannie ubrana i uśmiechnięta. Pocałowała go i powiedziała, spójrz, chcę ci coś pokazać. Odsunęła się i wtedy okazało się, że tuż za nią – trzymając się ręki pokojówki – stał synek Sary ubrany w nocną koszulkę. Zatoczył się lekko, uczeplił spódnicy dziewczyny, ale szybko odzyskał równowagę i spojrzał na ojca triumfalnym wzrokiem. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Nie można go utrzymać, roześmiała się matka, chce biegać po całym domu.

Chłopiec przykleknął i rozłożył ręce, a mały puścił pokojówkę i ruszył ku niemu nabierając coraz większej szybkości i równowagi. Wreszcie, z radosnym śmiechem, padł mu w ramiona.

Wieczór upłynął w nieco wymuszonej, ale pogodnej atmosferze. W zaciszu pokoju matki, około północy, rodzice powiedzieli sobie wszystko, co ich dręczyło. Należało się liczyć z tym, że Coalhouse nieprędko zostanie ujęty. Miejscowe społeczeństwo będzie im coraz bardziej wrogie. Nawet teraz niektóre znajome matki z Klubu Pań okazywały jej jawną niechęć. Matka bała się poza tym, że rozgoryczenie i chęć zemsty wezmą górę i że dziecko Sary zostanie im odebrane i umieszczone w przytułku. Ojciec nie mógł nie zgodzić się z jej obawami. Byli tacy spokojni, tak opanowani, że nie było potrzeby wzajemnego pocieszania się, popisywania sztucznym optymizmem. Ojciec stwierdził, że nie można wykluczyć, iż władze użyją dziecka w celu skłonienia Coalhouse'a do oddania się w ich ręce. Powinniśmy stąd wyjechać, powiedział w końcu. Ale czy to jest możliwe? – zapytała matka. Mój ojciec jest ciężko chory, szkoła się jeszcze nie skończyła, dopiero niedawno zaangażowaliśmy służbę, za którą jesteśmy odpowiedzialni. Każdy z tych problemów odliczała kolejno wskazującym palcem prawej, na palcach lewej ręki. Bo w gruncie rzeczy i ona myślała już o tym wszystkim od pewnego czasu i ojciec rozumiał, że czeka na jego decyzję. Powiedział, żeby pozostawiła mu wszystkie sprawy do załatwienia. Fakt, że przejął na siebie odpowiedzialność, ujął ją ogromnie. Ta rozmowa uświadomiła im, że są starymi przyjaciółmi. Noc spędzili we wspólnym łóżku. Matka pozwoliła mężowi zbliżyć się do siebie i reagowała na jego pieczyoty tak czułymi pocałunkami i tak śmiałymi mchami bioder, jakby chciała zachęcić go do działania i życzyła mu powodzenia, a ojciec poczuł, że po raz pierwszy od wielu miesięcy matka z radością trzyma go w ramionach.

Pobyt w miejscowości Atlantic City wydał się ojcu najlepszym rozwiązaniem problemów rodziny. Znalazł tam doskonały hotel „The Breakers”, gdzie wynajął kilka wychodzących na morze pokoi za sumę znacznie mniejszą, niż się spodziewał, ponieważ sezon ledwo się zaczął. Południowe wybrzeże stanu New Jersey znajdowało się w odległości kilku godzin jazdy pociągiem od New Rochelle, a więc wystarczająco daleko, a jednocześnie dostatecznie blisko, żeby ojciec mógł wracać do domu w każdą niedzielę wieczorem i zajmować się przedsiębiorstwem. Zmiana powietrza na pewno wszystkim dobrze zrobi. Lekarz dziadka, który poddał go najnowszemu zabiegowi zalecanemu przy złamaniu stawu biodrowego, a mianowicie wstawieniu drogą operacyjną metalowego gwoźdźca, polecił mu, żeby poruszał się o kulach możliwie jak najwięcej albo przynajmniej siedział w fotelu, dodając, że najgorsze dla ludzi w jego wieku jest leżenie w łóżku. Chłopiec musiał opuścić szkołę o kilka tygodni wcześniej niż jego koledzy, ale ponieważ uczył się doskonale, uznano, że nie zaszkodzi mu to w poważnym stopniu. Domu postanowiono nie zamykać, bo to pociągnęłoby za sobą zamknięcie również wszystkich pokoi i zasłonięcie mebli białymi pokrowcami. Odwrotnie, zatrzymano całą służbę, bo w końcu ojciec zamierzał spędzać w New Rochelle większą część tygodnia. Gospodyni zostanie zabrana do Atlantic City. Była to spokojna, sumienna Murzynka, której obecność miała między innymi stanowić – mylnie wprawdzie, ale na pozór logiczne – wytłumaczenie obecności czarnego dziecka w naszej rodzinie.

Tak więc uzbrojona w plan akcji rodzina szykowała się do wyjazdu. Wszyscy starali się zachować dobry humor, co – w miarę jak sytuacja stawała się przykrzejsza – zaczynało graniczyć z histerią. Nowy inspektor policji, były kierownik nowojorskiego wydziału zabójstw, przyjął bardzo ryzykowny tryb postępowania. Nazajutrz po objęciu urzędu oświadczył dziennikarzom, że materiał wybuchowy użyty przez bandytów do wysadzenia gmachu straży pożarnej numer dwa był bardzo fachowo spreparowaną kombinacją paków z piorunianem rtęci, z pewnością dzieło fachowca w dziedzinie pirotechniki, którym pianista Coalhouse Walker jako żywo nie był. Poza tym zastanawiał się, skąd przestępca wziął pieniądze na samochód, którym obecnie jeździ, oraz na opłacenie i uzbrojenie Murzynów, którzy z pewnością każą sobie słono płacić. Skąd czerpie pieniądze dla tej swojej zgrai morderców? Z czego pokrywa liczne wydatki? Skąd bierze fundusze na to wszystko? Gdzie się ukrywa, z jakiej kryjówki wykonuje obłąkańcze napady na niewinnych obywateli naszego

spokojnego miasteczka? Znam co najmniej pół tuzina skrajnych lewicowców, których chętnie widziałbym za kratkami. Jestem przekonany, że mógłbym wydusić z nich odpowiedzi na wiele z tych pytań.

Te uwagi, które sobie powszechnie powtarzano, sugerowały istnienie jakiegoś sprzysiężenia radykałów i wywarły jak najgorszy wpływ na zdenerwowanych już i tak obywateli New Rochelle. Po ulicach miasta przesuwali się patrole milicji. Zanotowano kilka wypadków pobicia Murzynów, którzy ośmielili się wyjść poza swoją dzielnicę. Fałszywe alarmy pożarowe rozlegały się w całym mieście i do każdego z tych pseudopożarów pędziły wozy strażackie z policyjną eskortą i samochody pełne reporterów. W mieście roiło się od uzbrojonych milicjantów, wozów policyjnych i dziennikarzy, co w sumie wytwarzało atmosferę wielkiego napięcia. Na nabożeństwach niedzielnych była teraz ogromna frekwencja. Szpitale notowały wzmożoną liczbę nieszczęśliwych wypadków domowych. Ludzie oblewali się przez nieuwagę wrzątkiem, kaleczyli się, spadali ze schodów, potykali się o dywany. Przywieziono kilku mężczyzn, którzy odnieśli rany przy czyszczeniu dawno nie używanej broni.

Tymczasem prasa wybiegała daleko poza rozumowanie policji w interpretacji listów Coalhouse'a. Prawdopodobnie ze względu na efektywność ewentualnych fotografii domagała się przede wszystkim wydobyć ze stawu Forda. Zrobiono to w końcu; przyjechał dźwig i wyciągnął zatopiony samochód niczym monstrualnych rozmiarów dzieło sztuki. Muł spływał z jego kół, woda i śluz wyciekały spod maski. Postawiono go na brzegu, gdzie każdy mógł go obejrzeć.

Władze poczuły się zakłopotane. Ford stanowił jaskrawy dowód krzywdy wyrządzonej Coalhouse'owi. Porzewiały i pogięty budził swoim wyglądem oburzenie wszystkich ludzi doceniających maszyny i ich znaczenie dla naszego życia. Po opublikowaniu fotografii samochodu tylu ciekawskich przyjeżdżało nad staw, żeby obejrzeć go na własne oczy, że policja musiała Odgrodzić teren. Czując, że sami się skompromitowali, burmistrz i rada miejska wydali całą serię oświadczeń, w których potępili czarnego szaleńca i stwierdzali, że wszelkie próby porozumienia się z nim – z wyjątkiem stanowczego żądania, żeby oddał się w ręce władz – skończyłyby się nieuchronnie tym, że każdy renegat i radykał, ba, każdy Murzyn w całym kraju poczułby się zachęcony do lekceważenia prawa i bezczeszczenia amerykańskiej flagi.

Ale nawet gdyby w tym momencie zdradzono jakąś chęć do negocjacji – czego nawet prasa nie sugerowała – nikt nie potrafiłby znaleźć sposobu na skontaktowanie się z nim. Coalhouse nie zawiadomił władz, ile im daje czasu przed wykonaniem następnego zamachu. Psychiatra, w wypowiedzi opublikowanej przez nowojorski „World”, oświadczył, że jego zdaniem drugi list Murzyna, podpisany „Coalhouse Walker, prezydent Tymczasowego Rządu Amerykańskiego”, świadczy o tym, że rozkład jego osobowości postąpił naprzód od chwili napisania pierwszego i że próba rokowania z człowiekiem znajdującym się w stanie postępującej demencji – chociaż sprawiającym zupełnie normalne wrażenie – mogłaby okazać się tragicznym błędem.

Ale prości obywatele New Rochelle wpadli na najlepszy pomysł załatwienia sprawy. Ze wszystkich dzielnic zaczęły się rozlegać żądania usunięcia Willie Conklina poza granice miasta. Kilku rozwścieczonych ludzi napisało wprost do niego samego. Conklin przyniósł do komendy policji parę anonimowych listów domagających się, żeby spakował manatki i wyniósł się, bo w przeciwnym przypadku ludność miejscowa sama się z nim rozprawi. Nie czekając na Coalhouse'a Walkera. Udostępnienie tych pism władzom było równie niemądre jak wszystkie inne postęпки Conklina. Wbrew nadziejom nie wzbudziły one bynajmniej sympatii do niego, lecz przeciwnie, przekonały władze, że należy się go pozbyć. Conklin od samego początku nie był w stanie zrozumieć, że może istnieć biały człowiek, który nie obdarzałby go sympatią. Im bardziej stawał się niepopularny, tym żałośniejsze było jego zdumienie. Nieborak już nic nie rozumiał i nie potrafił spojrzeć na propozycję opuszczenia miasta ani w jej szerszym aspekcie, jako na sposób rozładowania sytuacji, ani w jej aspekcie węższym, jako na próbę uratowania mu życia. Czuł się skrzywdzony przez – jak ich nazywał – wielbicieli czarnuchów, do których zaliczała się teraz faktycznie cała ludność New Rochelle. Pił do utraty przytomności, podczas gdy jego żona i przyjaciele czynili przygotowania do odjazdu.

Ale mimo że w gruncie rzeczy nikt nie panował nad sytuacją – gdyż zarówno władze miejscowe, policja, milicja, jak i ogół obywateli, wszyscy byli sparaliżowani strachem przed nowym aktem terroru ze strony czarnych bandytów – miały miejsce dwa wydarzenia, obydwie za mniej więcej powszechną zgodą, które dla dobra sprawy Coalhouse mógłby uznać za spełnienie swoich żądań: jego Ford został wyciągnięty ze stawu, co mogło stanowić sygnał, że władze gotowe są do negocjacji, a jednocześnie w dwóch wychodzących w New Rochelle gazetach podano wiadomość, opatrzoną największym w ich historii nagłówkiem, że rodzina Conklinów wyniosła się z miasta i znalazła sobie schronienie w Nowym Jorku. Władze nie poszły na żaden kompromis, ulice miasta roiły się w dalszym ciągu od policjantów i milicji, ale atmosfera się zmieniła. Proszę bardzo, pisała jedna z gazet w artykule wstępnym, niech ten człowiek spali teraz cały Nowy Jork. Albo uzna zasadę, że każdy, kto uzurpuje sobie przywilej wymierzania na własną rękę sprawiedliwości, przeciwstawia się własnemu cywilizowanemu i zdeterminowanemu społeczeństwu i łamie prawo, na które się powołuje.

W przeciwieństwie do tego wszystkiego wyjazd naszej rodziny odbył się bardzo dyskretnie – nie został przez prasę zauważony. Ojciec wysłał pociągiem pośpiesznym nasz bagaż składający się ze specjalnie przez

niego na tę okazję zakupionych dwóch wiklinowych kufrów. Kufry te miały wiele szuflad i schowków oraz spory przedział do wieszania ubrań. Poza tym zabrano kilka walizek i pudel na kapelusze oraz mały kuferek żołnierski nabijany mosiężnymi gwoździami. Rodzina wyjechała z New Rochelle pociągiem, który przybywał do Atlantic City wczesnym rankiem. W Nowym Jorku, na Pennsylvania Station, trzeba się było przesiąść. Dworzec ten był zaprojektowany przez zespół architektoniczny Stanforda White'a i Charlesa McKima. Miał kamienną kolumnadę wzorowaną na rzymskich łaźniach Karakalli. Był budowlą kwadratową sąsiadującą Siódmą i Ósmą Aleją oraz Trzydziestą Pierwszą i Trzydziestą Drugą Ulicą. Tragarze wynieśli z przedziału dziadka siedzącego w fotelu na kółkach. Matka miała na sobie biały kostium. Praczka trzymała na ręku synka Sary. Hala dworca była tak ogromna, że chociaż szczelnie wypełniali ją ludzie, ich głosy były ledwo słyszalne. Chłopiec spojrzał w górę na kopułę z falistego, zielonego szkła, z arkadami i wgłębieniami podtrzymywanymi przez stalowe żebra i cienkie, również stalowe kolumnienki. Przefiltrowane przez kopułę światło opadało miękko jak kryształowy pył. Kiedy chłopiec znalazł się na peronie, spojrzał w lewo, a potem w prawo i zobaczył dwa długie rzędy rozdygotanych lokomotyw. Biły dzwony, syczała para, kolejarze nawoływali się, pachniało daleką podróżą.

Ale co działo się tymczasem z młodszym bratem matki? Jego nieobecność w domu od owego wieczoru, kiedy z taką pasją bronił sprawy Coalhouse'a, nie wzbudziła w nikim szczególnego niepokoju. Wszyscy byli przyzwyczajeni do jego ponurych nastrojów. Zjawiał się od czasu do czasu w fabryce flag i fajerwerków ojca. Podejmował swoją pensję. Był nieobecny w dniu odjazdu rodziny, więc matka napisała do niego list, zapieczętowała i położyła na stole w hallu. Listu tego nigdy nie odebrał.

W kilka dni po zamachu bombowym na gmach straży pożarnej młodszy brat zjawił się w Harlemie przed domem, w którym odbyły się uroczystości pogrzebowe Sary. Przy drzwiach powitał go właściciel. Muszę się koniecznie zobaczyć z panem Coalhouse'em Walkerem, powiedział młodszy brat, będę czekał co wieczór pod arkadami „Manhattan Casino”, aż uzna, że może się tam bezpiecznie ze mną spotkać. Właściciel zakładu wysłuchał w milczeniu jego słów i nie dał poznać po sobie, że zrozumiał, o co chodzi. Mimo to młody człowiek każdego wieczoru przechadzał się pod gmachem kasyna, nie zwracając uwagi na zdziwione spojrzenia wchodzących tam Murzynów i licząc minuty, jakie upływały pomiędzy przyjazdem kolejnych pociągów nadziemnej kolejki jadącej nad Ósmą Aleją. Było ciepło i zza ozdobnych, przeszklonych drzwi teatru – które otwierano z chwilą, kiedy zaczynał się wieczorny koncert – dochodziły go synkopowane dźwięki orkiestry Jima Europe i oklaski publiczności. Coalhouse oczywiście nie grał już w orkiestrze, okazało się też, że opuścił swoje mieszkanie na kilka tygodni przed pierwszym zamachem. Policja nie mogła trafić na jego trop, znikł, jakby nigdy nie istniał.

Czwartego wieczoru dobrze ubrany młody Murzyn podszedł do młodszego brata i poprosił go o dziesięć centów. Ukrywając zdumienie na widok tak eleganckiego żebraka, młodszy brat wsunął rękę do kieszeni i wyciągnął dziesiątkę. Młodzieniec uśmiechnął się i powiedział, że skoro młodszy brat ma tyle pieniędzy, czy mógłby zaofiarować mu jeszcze dwadzieścia pięć centów. Młodszy brat spojrzał tamtemu w oczy i zobaczył w nich inteligencję człowieka upoważnionego do podejmowania decyzji.

Nazajutrz rozglądał się za młodym Murzynem, ale nadaremnie. Zauważył jednak, że kiedy już cała publiczność weszła do teatru, inny młody człowiek pozostał pod arkadami. Miał na sobie porządne ubranie, koszulę z krawatem, a na głowie melonik. Ruszył nagle przed siebie i młodszy brat impulsywnie poszedł za nim. Posuwali się pomiędzy nędznymi ruderami, mijali wybrukowane cegłą skrzyżowania, skręcali w boczne ulice. Wreszcie w cichym zaułku młody Murzyn zatrzymał się przed dwupiętrowym domem z piaskowca i zszedł kuchennymi schodami do sutereny, której drzwi były otwarte. Młodszy brat poszedł za nim przez niewielki korytarz, pchnął drzwi i znalazł się oko w oko z Coalhouse'em, który siedział za stołem ze skrzyżowanymi na piersiach rękami. Oprócz stołu i krzesła w pokoju nie było ani jednego mebla. Za Coalhouse'em stało kilku młodych Murzynów ubranych – podobnie jak on – w starannie odprasowane garnitury, czyste koszule z krawatami, w które wpięte były szpilki. Młodszy brat rozpoznał wśród nich młodzieńca, który prosił go poprzedniego, wieczoru o jałmużnę. Drzwi zatrzasnęły się za nim. Czego chcesz? – zapytał go Coalhouse. Młodszy brat spodziewał się tego pytania. Przygotował sobie spokojny wywód ha temat sprawiedliwości, cywilizacji i prawa jednostki do godnego życia. Teraz nic z tego nie pamiętał. Umiem robić bomby, powiedział. Umiem wysadzać gmachy w powietrze.

W ten sposób młodszy brat rozpoczął swoją karierę rewolucjonisty i człowieka wyjętego spod prawa. Przez pewien czas rodzina na szczęście o tym nie wiedziała. Istniała tylko jedna poszlaka, która wskazywałaby na to, że był jakoś związany z czarnym zamachowcem, a mianowicie, że ze składu fabrycznego ojca zginęła pewna ilość materiału wybuchowego i kilka baryłek prochu. Zawiadomiona o kradzieży policja szybko o tym zapomniała, władze ścigania były zbyt zajęte sprawą Coalhouse'a. Przez kilka dni młodszy brat znosił skradzione przedmioty do sutereny w Harlemie. Potem zabrał się do roboty. Skonstruował trzy potężne bomby i zakamuflował je, nadając im wygląd paczek. Zgolił jasne wąsy, ostrzygł głowę na zero. Z pomocą przypalonego korka poczercił sobie twarz i ręce, usta podkreślił szminką, nałożył melonik, nauczył się przewracać oczami. Przemówił w ten sposób do poczucia humoru młodych ludzi Coalhouse'a i udowodnił im swoją dobrą wolę. Potem pojechał wraz z nimi pod gmach straży pożarnej numer dwa i wrzucił bomby do środka. Czynem tym przekonał wszystkich – a i siebie samego – że można na niego liczyć.

Historię jego podziemnej działalności poznaliśmy z pierwszej ręki, bo z jego własnej relacji. Młodszy brat prowadził bowiem dziennik, i to od dnia przybycia do Harlemu aż do śmierci w Meksyku, w rok później. Coalhouse Walker nadał swojej żalobie oprawę wojskową. Jego rozpacz z powodu straty Sary i żal za życiem, jakie mogliby wieść, gdyby nie umarła, przybrały formę ceremoniału zemsty, wzorowanego jakby na obrzędach starożytnych wojowników. Młodszemu bratu zdawało się czasami, że Coalhouse – którego wzrok odznaczał się niezwykłą przenikliwością – patrzy już teraz poza doczesność. Jego chłopcy okazywali mu bezwzględna lojalność. Być może dlatego, że jej nie żądał. Żaden z nich nie dostawał pieniędzy. Oprócz młodszego brata było ich pięciu. Najstarszy miał dwadzieścia kilka lat, najmłodszy osiemnaście. Ich szacunek

dla Coalhouse'a graniczył z uwielbieniem. Mieszkali wszyscy razem w suterenie i dzielili się tym, co zarabiali. Pracowali jako sprzedawcy albo chłopcy na posyłki. Młodszy brat dorzucił do tego kilka swoich stosunkowo dobrych pensji z fabryki flag i fajerwerków, ale wkrótce rozstał się z New Rochelle na zawsze. Prowadzono bardzo skrupulatną rachunkowość wspólnego mienia. Rozliczano się z każdego grosza. Młodzi ludzie naśladowali sposób ubierania się Coalhouse'a, tak że dobrze odprasowane ubranie i starannie wy szczotkowany melonik stały się czymś w rodzaju ich munduru. Wchodzili i wychodzili ze swoich pokoi jak żołnierze na służbie.

W nocy omawiali całymi godzinami sytuację i plany na przyszłość. Uważnie śledzili reakcję prasy na swoje poczynania.

Coalhouse Walker nigdy nie był wobec nich dyktatorski czy szorstki. Traktował ich grzecznie i pytał o zdanie w każdej sprawie. Zachowywał się jak człowiek dotknięty wielkim smutkiem. Panował nad rozpaczą, ale jego ukryta wściekłość przyciągała tych młodych ludzi jak magnes. Nie pozwalał, żeby w suterenie rozlegała się muzyka. Nie pozwalał im grać na żadnym instrumencie muzycznym. Jego ludzie reprezentowali najrozmaitsze zawody. Przynieśli kilka łóżek polowych, rozdzielili obowiązki – jedni gotowali i zmywali, drudzy sprząтали. Byli pewni, że zginą w sensacyjny sposób. Wytwarzało to w nich samoświadomość pełną napięcia i egzaltacji. Młodszy brat zżył się z nimi bardzo szybko. Wkrótce był jednym z nich. Co rano budził się z uczuciem spokoju i radości.

W czasie obydwu zamachów Coalhouse posługiwał się samochodami skradzionymi przez młodych ludzi na Manhattanie. Wszystkie zostały odstawione w doskonałym stanie do swoich garaży i nawet jeżeli fakt ich zaginięcia i odnalezienia docierał do świadomości nowojorskiej policji, to nie kojarzyła ona tych meldunków z wydarzeniami w Westchesterze. Ponieważ po zbombardowaniu gmachu straży ogniowej na pierwszych stronach wszystkich gazet ukazała się jego fotografia, Coalhouse usiadł, zakrył sobie ramiona papierem i pozwolił, żeby jeden z jego chłopców usunął mu wypięlegnowane wąsy i ogolił na zero głowę. Zmieniło go to nie do poznania. Ogolona głowa wydawała się znacznie większa. Młodszy brat zrozumiał, że poza praktyczną stroną tego zabiegu było w tym jeszcze coś z rytuału szykowania się do ostatecznej rozgrywki. W dzień czy dwa później jeden z chłopców przyniósł gazetę ze zdjęciami wydobytego ze stawu Forda. Ten niewątpliwy dowód siły Coalhouse'a wprawił wszystkich w euforię. A kiedy dowiedzieli się o ucieczce Conklina i zebrali się, żeby się zastanowić nad odpowiednią na to reakcją, byli już tak przemienieni, że mówili o sobie kolektywnie jako o Coalhousie. Gdyby Coalhouse poszedł od razu do tego składu węgla i lodu, powiedział jeden z nich, Willie gryzłby już ziemię. To była szansa, której nie wykorzystaliśmy. Nie, bracie, powiedział inny, lepiej dla nas, że żyje. Przypomina ludziom o istnieniu Coalhouse'a. Coalhouse to bicz na nich. Musimy teraz zrobić w tym mieście coś tak strasznego, żeby nikt już nigdy nie skrzywdził czarnego w obawie, że jest to człowiek Coalhouse'a.

Ach, cóż to było za lato! Każdego ranka matka rozchyłała białe firanki, otwierała oszklone drzwi balkonu i patrzyła, jak słońce wyłania się z morza. Mewy muskały grzbiety fal i paradowały po plaży. Słońce zmiatało cienie z piasku, wygładzało i spłaszczało ziemię i kiedy w sąsiednim pokoju rozlegały się pierwsze kroki ojca, niebo było już jednolitą taflą błękitu, plaża bielusiańka i pierwsi pływacy pojawiali się na brzegu morza, żeby zbadać temperaturę wody przez ostrożne zanurzenie stóp.

Śniadanie podawano na stoliku nakrytym krochmalonym białym obrusem ze srebrną zastawą. Składało się z połówek grapefruitów, jajecznicy, gorących bułeczek, ryby z rusztu, cienko krojonej szynki i kielbasy, kilku rodzajów dżemu, kawy i herbaty. Bryza idąca od oceanu wydymała firanki. Chłopiec zawsze śpieszył się na plażę. Po pierwszych kilku dniach rodzice pozwolili, żeby nie czekał, aż wszyscy skończą śniadanie, wybiegał więc z jadalni i w kilka chwil później pędził już po stopniach werandy prosto na piasek, bosy, z butami w rękach. Mieszkańcy hotelu pozdrawiali się skinieniem głowy. Po pewnym czasie dochodziło do krótkiej wymiany zdań, zaspokajającej ciekawość wywołaną wyglądem czy ubiorem tej czy innej osoby. Nikt nie śpieszył się do niczego i do nikogo. Rodzina miała świadomość, że wygląda na zamożną i szanowaną. Matka kupiła kilka pięknych letnich kostiumików w sklepach przy drewnianej, nadmorskiej promenadzie. Ubierała się na białe i żółte i każdego popołudnia – poddając się panującej tu swobodzie – szła na spacer bez kapelusza, wyłącznie pod osłoną parasolki, z twarzą skąpaną w złotym świetle.

W połowie popołudnia, kiedy powietrze było zupełnie nieruchome i upał nieznośny, kąpaliśmy się w morzu. Kostium kąpielowy matki był skromny, mimo to przywykła do niego dopiero po kilku dniach. Był oczywiście czarny, ze spódniczką i pantalonami sięgającymi poniżej kolan i specjalnymi pantofelkami. Kostium odślaniał łydki i miał spory dekolt. Na jej życzenie rodzina oddalała się o kilkanaście metrów od najbliższej grupy ludzi. Rozkładaliśmy się pod parasolem z nazwą hotelu wydrukowaną pomarańczowym kolorem na wyciętym w ząbki lambrekinie. Czarna służąca siedziała nieco dalej na pleconym fotelu. Chłopiec i czarne dziecko obserwowali malutkie kraby, które zakopywały się w mokrym piasku pozostawiając za sobą rząd bąbelków. Ojciec nakładał kostium kąpielowy w poprzeczne białe i niebieskie paski, z nogawkami sięgającymi do kolan. Matka ze zgorzaniem stwierdzała, że kiedy wychodził z wody, widać było znamiona jego męskości rysujące się wyraźnie pod mokrym kostiumem. Ojciec lubił daleko wypływać. Kładł się na plecy i szybko przebierał nogami, wyrzucając w górę fontannę wody niczym wieloryb. Wychodził z morza zataczając się od naporu fal, roześmiany, z ociekającą brodą, przyklejonymi do głowy włosami, w nieprzyzwoicie ciasnym kostiumie i patrząc na niego matka doznawała chwilowego uczucia niechęci, tak przelotnego, że nawet sobie tego nie uświadamiała. Po kąpeli wszyscy wracali do swoich pokoi na drzemkę. Matka z ulgą ściągała z siebie kostium plażowy i mimo że zmoczyła go tylko przez chwilę w morskiej pianie, od razu obmywała się słodką wodą, żeby spłukać resztki soli z ciała. Miała tak jasną skórę, że promienie słońca były dla niej niebezpieczne. Ale odświeżona prysznicem, wypudrowana i odziana w luźne kimono czuła, że słońce przeniknęło do jej krwi, rozjaśniając ją podobnie, jak rozjaśniało morze w południe, spryskując je milionami diamentowych błysków. Porę tę ojciec uznał za najstosowniejszą dla swoich namiętnych, ale byle jakich miłosnych zabiegów. Gdyby matka godziła się na to, nachodziłby ją codziennie. Nie lubiła tych jego pieszczot, ale milczała, jednakże była teraz jakby bardziej świadoma tego, czego pragnie, jakby wrażliwsza na pieszczoty. Często myślała o ojcu. Wypadki, jakie zaszły od czasu jego powrotu z Arktyki, jego stosunek do nich, zniweczyły jej wiarę w tego człowieka. Jego kłótnia z młodszym bratem wciąż brzmiała jej w uszach. Ale chwilami – czasami przez całe dni – kochała go tak samo jak dawniej, z tym samym przekonaniem o doskonałości ich małżeństwa i tego, że jest ono trwałe, ustabilizowane i w obliczu Boga zawarte. Zawsze spodziewała się intuicyjnie, że w przyszłości coś się dla nich zmieni, wierzyła, że życie, jakie wiodą, jest tylko okresem przygotowawczym, po którym producent flag i fajerwerków oraz jego żona wyrwą się ze swojej mieszczańskiej egzystencji i odkryją nowy, wspaniały świat. Nie wiedziała dobrze, na czym to miało polegać. Ale teraz przestała się spodziewać czegokolwiek. Podczas nieobecności męża, kiedy musiała decydować o wielu sprawach związanych z przedsiębiorstwem, straciła wszelką wiarę w istnienie jego romantycznych stron, a przeciwnie, odkryła, że jest ono prozaiczne i nudne. Wiedziała już także, że jej uroda i młodzieńczy wdzięk nie są wieczne, i rozumiała, że mąż, który dawniej był dla niej uosobieniem miłości, zestarzał się, spowszedniał, zgłupiał być może po prostu od tych swoich podróży i codziennej pracy, tak że coraz bardziej widoczne były granice jego możliwości. Ogarnęła ją pewność, że nigdy ich już nie przekroczy.

Mimo to matka była szczęśliwa w Atlantic City. Tutaj dziecko Sary było bezpieczne. Po raz pierwszy od śmierci dziewczyny potrafiła o niej myśleć bez płaczu. Chętnie pokazywała się ludziom w jadalni lub wieczorem na werandzie bądź na nadmorskiej promenadzie w drodze do pawilonów, przystani czy sklepów. Od czasu do czasu rodzice wynajmowali wiklinowy fotel na kółkach, w którym – siedząc obok siebie – kazali się wozić portierowi po promenadzie. Przyglądali się leniwie ludziom jeżdżącym w takich samych pojazdach w

przeciwnym kierunku. Ojciec uchylał słomkowego kapelusza. Te wiklinowe fotele miały brezentowe daszki obrzeżone frędzlą i to przypominało matce dwukonną bryczkę, jaką wożono ją w czasach dzieciństwa. Dwa boczne koła były duże, trzecie, przednie, znacznie mniejsze, bardzo skrętne i często skrzypiało niemiłosiernie. Chłopiec bardzo lubił te przejażdżki. Można było wynajmować fotele bez portiera. Lubił wozić ojca i matkę. Zmienianie szybkości i kierunku bez instrukcji z ich strony dawało mu satysfakcję. Wzdłuż promenady ciągnęły się wielkie hotele, jeden przy drugim, płócienne markizy nad głównymi drzwiami trzepotały pod wpływem podmuchów morskiej bryzy. Na biało lakierowanych werandach stały bujane fotele i białe wiklinowe kanapy. Z hotelowych kopuł i kopulek powiewały kolorowe morskie flagi, a nocą – umieszczone wzdłuż linii dachów – płonęły rzędy żarówek.

Pewnego wieczoru rodzina zatrzymała się przed pawilonem, w którym murzyńska orkiestra dęta grała jakiś rag, matka nie знаła tego utworu, ale pamiętała, że tak niedawno wyczarowywały go z klawiatury jej fortepianu piękne ręce Coalhouse'a Walkera. Od wielu dni było jej nieco lżej na duszy – nie żeby przestała myśleć o niedawnej tragedii, ale odczuwała pewną ulgę, tak jakby w tym nadmorskim kurorcie bryza morska rozpraszała smutne myśli w momencie, kiedy zaczynały się układać. Jednakże teraz wezbrała w niej nowa fala rozpaczy, bo ta melodia skojarzyła jej się z młodszym bratem. Poczuła nie tylko miłość, ale i wielki podziw dla brata. Zrozumiała, że poświęcała mu zbyt mało czasu. Oczami duszy zobaczyła go nagle szczupłego, kapryśnego i porywczego, patrzącego na nią trochę niechętnie i z pewnym wyrzutem. Tak właśnie patrzył na nią poprzez jadalniany stół, kiedy ojciec czyścił pistolet. Zakręciło jej się lekko w głowie. Spoglądając na niestrudzonych muzykantów ubranych w czerwone i błękitne stroje i dmuchających w świetle reflektorów w błyszczące trąbki, komety, trąby i saksofony, zdawało jej się, że spod daszka każdej z tych eleganckich wojskowych czapek wyziera poważna twarz Coalhouse'a.

Po tym wieczorze pobyt w Atlantic City nie był dla matki już taki beztrioski. Musiała koncentrować się na każdym kolejnym dniu. Przyrzekła sobie solennie, że zachowa pogodę ducha. Była czuła dla syna, męża i chorego ojca. A także dla Murzynki, szczególnie zaś dla wciąż jeszcze nie ochrzczonego i pięknego synka Sary, któremu morskie powietrze wyraźnie służyło i który rósł w oczach. Zaczęła sobie zdawać sprawę, że budzi zainteresowanie wielu gości hotelowych. Patrzała na nich kątem oka, rozumiała, że czekają na jakiś znak od niej. Zdecydowała się na to chociażby dla zabicia czasu. W hotelu mieszkało kilku interesujących Europejczyków. Jednym z nich był attaché wojskowy niemieckiej ambasady, który nie rozstawał się z monoklem i zawsze salutował jej z dyskretną galanterią. Był wysoki, miał – jak to oni – włosy ostrzyżone na jeża i schodził na kolację w galowym, białym mundurze z czarną muszką. Ostentacyjnie wybierał wina z karty i często je odsyłał. Był w towarzystwie kilku mężczyzn, mniej od niego eleganckich i w niższej zapewne randze. Ojciec wyjaśnił matce, że jest to niejaki kapitan von Papen, inżynier. Obserwowali go co dzień, jak przechadzał się ze swoimi ludźmi po plaży, rozwijał mapy i wskazując jakieś punkty na morzu, rozprawiał z ożywieniem. Zazwyczaj jakiś statek przesunął się powoli wzdłuż horyzontu. Widać prowadzą pomiary, mówił ojciec leżąc na piasku, twarzą zwrócony ku słońcu. Nie rozumiem, dlaczego ci Niemcy tak się interesują południowym wybrzeżem New Jersey. Ojciec nie zwracał uwagi na badawczy wzrok, jakim Niemiec obrzucał jego żonę. Matkę to bawiło. Wiedziała od pierwszego, obojętnego spojrzenia, jakim odpowiedziała na impertynencki błysk monoklu oficera, że żywi w stosunku do niej wyłącznie lubieżne zamiary. Postanowiła go ignorować.

Była tam także para niemłodych Francuzów, z którymi matka codziennie zamieniała kilka miłych słów. Rozbawiona, usiłowała sobie przypomnieć szkolną francuszczyznę, a oni – kurtuazyjnie – chwalili jej akcent. Francuzi nigdy nie wychodzili na spacer inaczej niż opatuleni w niezliczone ilości bawełnianych okryć, jedwabnych szalów i w słomkowych kapeluszach. Do tego wszystkiego osłaniali się jeszcze parasolkami. Mężczyzna, który był niższy od żony i raczej tęgi, miał na twarzy wątrobiane plamy. I olbrzymie, obwisłe uszy. Oczy zasłaniał grubymi okularami. Dźwigał siatkę na motyle i duży słój z korkiem, ona zaś kosz pełen jedzenia, tak ciężki, że aż się pod nim ugiwała. Każdego ranka, z trudem nadążając za mężem, biegła za nim w kierunku diun. Wkrótce znikali w głębi otulonego lekką mgiełką lądu, gdzie nie było ani hoteli, ani promenad, tylko mewy, piskliwe brodzie i rzadkie gatunki wysokich traw rojących się od kolorowych motyli, na które Francuz tak namiętnie polował. Był emerytowanym profesorem historii z Lyonu.

Matka próbowała zainteresować dziadka francuskim małżeństwem, mówiąc o ich akademickich powiązaniach. Ale starzec ani słyszeć o nich nie chciał. Był całkowicie pochłonięty swoim stanem zdrowia i zbyt skłonny do irytacji, żeby móc prowadzić jakąkolwiek rozsądną rozmowę. Odrzucał wszelkie propozycje rozrywki, z wyjątkiem jednej – pozwalał się wozić codziennie po nadmorskiej promenadzie w wiklinowym fotelu na kółkach, bo widząc go w takim pojeździe nikt nie mógł go podejrzewać o inwalidztwo. Na kolanach trzymał laskę i kiedy piesi nie dość szybko ustępowali mu z drogi, dźgał ich – ku ogólnemu oburzeniu – w plecy, obojętnie, czy byli to mężczyźni, czy kobiety. Ludzie stawali i rzucali mu zgorzone spojrzenia, ale on mijał ich obojętnie w swoim wyplatany pojeździe.

W hotelu mieszkali również goście, którzy nie byli Europejczykami. Gigantycznej tuszy makler giełdowy z Nowego Jorku z tłustą żoną i trojgiem równie tłustych dzieci. W czasie posiłków nie odzywali się do siebie ani

słowem. Poznaliśmy kilka rodzin z Filadelfii, które łatwo było zidentyfikować po nosowym akcencie. Matka stwierdziła, że interesują ją wyłącznie cudzoziemcy. Było ich niewielu, ale mieli jakby więcej radości życia niż jej rodacy. Najbardziej fascynującym z nich był drobny, zwinny mężczyzna w bryczesach, białej, jedwabnej, rozpiętej pod szyją koszuli i płaskiej, lnianej, białej cyklistówce, niezwykle ruchliwy, zawsze zaaferowany człowiek, patrzący to tu, to tam, jak dziecko, które boi się, że coś umknie jego uwagi. Miał zawieszoną na piersi prostokątne szkiełko w metalowej oprawie, które często przykładał do oka, jakby kadrował jakąś scenę, która zwróciła jego szczególną uwagę. Pewnego pochmurnego przedpołudnia przedmiotem jego zainteresowania stała się siedząca na werandzie matka. Kiedy zorientował się, że został przyłapany, spieszył się, ale podszedł do niej i zaczął ją serdecznie przeproszać, mówiąc szybko silnym, cudzoziemskim akcentem. Powiedział, że nazywa się Aszkenazy, jest baronem, pracuje w przemyśle filmowym, a prostokątne szkiełko jest narzędziem pracy, z którym nie potrafi się rozstać, nawet na wakacjach. Uśmiechał się z zakłopotaniem. Matka była nim oczarowana. Miał błyszczące, czarne włosy i smukłe, drobne ręce. Następnym razem zobaczyła go na plaży. Biegł brzegiem z jakimś dzieckiem, zbierał coś i manipulował tym swoim dziwnym szkiełkiem. Słońce znajdowało się za nim, stanowił zrazu jedynie sylwetkę. Ale po chwili matka zorientowała się, że jest to znany jej, energiczny baron i uśmiechnęła się.

Baron Aszkenazy był pierwszym gościem hotelowym, który przysiadł się do stolika rodziny. Podszedł z prześliczną dziewczynką, którą przedstawił jako swoją córkę. Dziecko to obdarzone niezwykle wprost urodą musiało mieć mniej więcej tyle lat co chłopiec. Matka natychmiast zapragnęła, żeby dzieci się zaprzyjaźniły. A one siedziały naprzeciwko siebie, milczały i nawet na siebie nie patrzyły. Dziewczynka była rzeczywiście czarująca, miała przepastne, ciemne oczy i gęste, czarne włosy odziedziczone najwidoczniej po ojcu i taką samą jak on śniadą cerę. Pod śliczną, białą, koronkową sukienką z jedwabnym staniczkiem rysowały się malutkie piersi. Ojciec nie mógł oderwać od niej oczu. Przez cały czas kolacji mała nie odezwała się ani jednym słowem i nie uśmiechnęła się. Baron wytłumaczył niebawem, zaraz po zakąsce, skąd ten smutek w dziecku; mówiąc przyciszonym głosem i dotykając delikatnie dłoni córki, wyznał, że matka jej zmarła przed kilkoma laty. Nie powiedział na co. Dodał, że nie ożenił się po raz wtóry. Po chwili był jednak znowu wesoły i ożywiony. Mówił bez przerwy tą swoją silnie z europejską akcentowaną angielszczyzną pełną błędów, które szybko zauważał i które go samego bawiły. Życie go pasjonowało. Mówił o swoich odczuciach, chętnie dzielił się spostrzeżeniami na temat smaku wina czy też tego, że świece żyrandola odbijają się wielokrotnie w kryształowych wisiorach. Jego naturalna radość z najprostszych zjawisk była zaraźliwa i wkrótce matka i ojciec też zaczęli się uśmiechać. Zapominali przy nim o swoich zmartwieniach. Patrzenie na świat oczami barona było wielką przyjemnością, wracało im wiarę w życie. A on unosił szkiełko do oka i kadrował to ojca, to matkę, to dzieci, to kelnera podchodzącego do stolika, pianistę i skrzypka, którzy siedzieli w kącie sali na niewielkiej, ozdobionej palmami platformie i przygrywali podczas posiłków. Patrząc na film, mówił baron, podglądamy samo życie. Pulsuje ono na srebrnym ekranie, wydobyte z ciemnych zakamarków naszych serc. Film to poza tym wielki biznes. Ludzie chcą poznawać samych siebie. Za kilka groszy mogą spokojnie usiąść i przyjrzeć się sobie, jak biegają, jak ścigają się samochodami, walczą, a nawet – proszę mi wybaczyć – kochają się. To jest dzisiaj bardzo ważna sprawa. I to właśnie w tym kraju, gdzie prawie każdy jest nowym przybyszem. Gdzie istnieje tak wielka potrzeba wzajemnego zrozumienia. Baron unosił swój kieliszek. Przyglądał się winu, kosztował je. Wszyscy państwo z pewnością oglądali *Jej pierwszy błąd*. Nie? A *Niewinność córki*? Też nie? Śmiał się. Nie szkodzi, to są moje pierwsze filmy. Mają tylko po jednej rolce. Za każdy z nich zapłacono mi pięćset dolarów. A przyniosły po dziesięć tysięcy dolarów czystego zysku. O tak, śmiał się, to szczerą prawdą! Ojciec zakasłał i zarumienił się, kiedy baron Wymienił dokładną sumę. A ten nie rozumiejąc, o co ojcu chodzi, zaczął mu tłumaczyć, że jest to olbrzymi zysk, ale wcale nie niezwykły. Przemysł filmowy jest u zarania swego rozkwitu i każdy może na nim zrobić majątek. Ja, na przykład, dodał, zostałem niedawno współnikiem firmy Pathe. Zrobiłem dla nich film o długości piętnastu rolek!

Będziemy go wyświetlali w kinach po jednej rolce tygodniowo przez piętnaście tygodni, zmuszając widzów do powrotu do kina, jeżeli zechcą zobaczyć, co się dzieje dalej. Uśmiechnął się figlarnie, wyjął z kieszonki błyszczącą monetę i podrzucił aż pod sufit. Wszyscy wpatrywali się w niego. Baron złapał monetę i uderzył dłonią w stół. Sztucce podskoczyły. Woda w szklankach rozkołysała się. Baron cofnął rękę. Oczom naszym ukazała się srebrna pięciocentówka z wizerunkiem głowy bawołu. Ojciec nie zrozumiał, po co baron to robi. Stąd pochodzi nazwa mojej firmy, roześmiał się baron. Buffalo Nickel Photoplay, spółka z ograniczoną odpowiedzialnością!

Baron mówił dalej, a matka patrzyła na siedzące obok dzieci. Pomysł przyglądania się przez szkiełko rzeczom, na które zazwyczaj patrzymy gołym okiem, wydał jej się dość interesujący. Próbowwała teraz właśnie w taki sposób patrzeć na dzieci. Jej syn miał szesane z czoła włosy, a na sobie ubranie dorosłego mężczyzny, tyle że z dużym, białym, wykładanym kołnierzem i miękkim krawatem. W jego niebieskich oczach mieniły się żółte i zielone iskierki. Pięknej dziewczynce, która siedziała obok niego w białej, jedwabnej sukience ozdobionej koronką, brakowało tylko welonu. Mała podniosła wzrok i spojrzała matce w oczy tak śmiało, że

niemal wyzywająco. Matka skojarzyła sobie tę parę dzieci z Tomciem Paluchem i jego narzeczoną. Odtwarzanie sceny ślubu tej słynnej pary karłów było w owym czasie jedną z ulubionych zabaw dzieci szkolnych.

I tak spotkały się ze sobą te dwie rodziny. Każdego poranka słońce rozlewało się nad oceanem, a dzieci szukały się po szerokich korytarzach hotelu. Wybiegały na plażę wchłaniając w płuca morskie powietrze, zimny jeszcze piasek mroził im stopy. Płócienne markizy i chorągiewki trzepotały na wietrze.

Przed południem Tata pracował nad scenariuszem piętnastorolkowego filmu, dyktując swoje pomysły hotelowej stenotypistce i czytając przepisany przez nią tekst z poprzedniego dnia. Kiedy był sam, zastanawiał się nad własnym zuchwalstwem. Miewał napady lęku i wtedy trząsał się na całym ciełe, zamykał się w swoim pokoju paląc bezmunsztukowe papierosy, skurczony na fotelu, pełen najgorszych myśli – jak dawny Tata. Ale nowa egzystencja sprawiała mu niewysłowioną radość. Jego prawdziwa natura wzięła górę, był teraz człowiekiem pełnym energii i inicjatywy. Wiedział, że przyszłość należy do niego. Był przekonany, że zasłużył sobie na sukces. Że wypracował go sobie bez niczyjej pomocy. Najpierw zrobił kilka tuzinów książeczek filmowych dla Franklin Novelty Company. Potem zaprojektował magiczną latarnię, aparat, który poruszał za pomocą koła taśmę z wykonanymi przez niego sylwetkowymi rysunkami. Drewniane czółenka przesuwano się tam i z powrotem przed zapaloną żarówką. Aparat został zaakceptowany do dystrybucji przez firmę wysyłkową Sears, Roebuck and Company i umieszczony w jej katalogu, a dyrektorzy Franklin Novelty Company zaproponowali Tacie, żeby został ich współnikiem. Ale on już wiedział, że inni artyści także wykonują podobne rysunki, tyle że na taśmie celuloidowej. Zainteresował się więc produkcją filmów. Obrazków filmowych nie trzeba było ręcznie rysować. Sprzedał swoje udziały i zainwestował je w przemyśle filmowym. Każdy człowiek, obdarzony odpowiednią pewnością siebie, mógł zdobyć kapitał. Dystrybutorzy w Nowym Jorku domagali się usilnie wciąż nowych filmów. Zespoły filmowe powstawały jak grzyby po deszczu, rozpadały się, łączyły, procesowały się ze sobą, każdy z nich chciał zapewnić sobie prawo wyłączności rozpowszechniania filmów, wszystkie zgłaszały patenty na różne technologie, jednym słowem działały z siłą przebiccia i energią cechującą zawsze nowe gałęzie przemysłu.

W owym czasie przybywało do Ameryki wielu utytułowanych imigrantów z Europy – przeważnie zubożałych – którzy żywili nadzieję, że uda im się właśnie dzięki tytułom ożenić z córkami świeżo upieczonych milionerów. Tata postanowił przybrać tytuł barona. Pomagał mu funkcjonować w świecie chrześcijan. Nie musiał kamuflować swojego żydowskiego akcentu, wystarczyło, że mówił szybko i z emfazą. Za pomocą farby przywrócił włosom i brodzie dawną czerń. Stał się nowym człowiekiem. Nie rozstawał się z aparatem fotograficznym. Córeczkę ubierał niczym księżniczkę. Pragnął nade wszystko wymazać z jej pamięci smród rudery i brud ciemnych zaułków, zapewnić jej na: zawsze życie w słońcu, wśród ożywczych morskich wiatrów. Teraz bawiła się na plaży z ładnym, dobrze wychowanym chłopcem. Spała wśród miękkich białych prześcieradeł, pod oknem, w które zaglądało bezkresne niebo.

Tymczasem dzieci biegały każdego ranka na pustą część plaży, gdzie wydmy i wysokie trawy zasłaniały widok hotelu. Kopały kanały, przez które puszczały wodę z oceanu, budowały zamki z piasku, wały, bastiony, wieże. Ba, całe miasta poprzecinane rzekami i tunelami. Słońce grzało im plecy, a one odgarniały piasek. W południe kąpały się dla ochłody, po czym powracały pędem do hotelu. Po południu bawiły się w pobliżu plażowych parasoli, zbierały muszelki i kawałki drzewa wyrzucane przez fale na brzeg, spacerowały wolnym krokiem, a za nimi, w płytkiej wodzie, pluskał się brunatny synek Sary. Później dorośli powracali do hotelu i dzieci zostawały same na plaży. Kiedy na piasku zaczynały się ukazywać pierwsze niebieskie cienie, dzieci chowały się za wydmy i tam rozpoczynały swoją ulubioną zabawę. Uroczyste, wzajemne zakopywanie się. Najpierw chłopiec odgarniał piasek i robił w wilgotnym piasku płytkie wgłębienie. Dziewczynka układała się w nim na plecach. Chłopiec kucał u jej stóp i powoli, delikatnie zasypywał piaskiem stopy, nogi, brzuch, malutkie piersi i ramiona. Wilgotny piasek uklepywał w powiększony nieco kształt jej ciała. Kolana stawały się pagórkami, uda wydmami, a piersi krągłymi kopułkami. Pracował w skupieniu, a ona spoglądała na niego ciemnymi oczami. Delikatnie unosił jej głowę i robił poduszkę z piasku. Potem formował z piasku długie pasma włosów od jej czoła aż po ramiona.

Z chwilą kiedy skomplikowana budowla była skończona, dziewczynka zaczynała ją niszczyć delikatnymi ruchami palców rąk i nóg. Potem zginała jedno kolano, następnie drugie, wreszcie uwalniała się jednym gwałtownym szarpnięciem i biegła do morza, żeby opłukać z piasku plecy i nogi. Chłopiec pędził za nią. Pluskali się. Trzymali się za ręce, przykucali i pozwalali, żeby zalewały ich fale. Powracali na plażę, po czym następowała jego kolej. Dziewczynka zakopywała go, oblepiając piaskiem równie starannie jak on ją przed chwilą. Powiększała mu ręce i nogi, a także niewielkie wzniesienie w slipkach kąpielowych, wznosząc na nim kopczyk. Rozbudowywała mu klatkę piersiową i ramiona i robiła wspaniałą piaskową fryzurę. Kiedy dzieło było skończone, chłopiec powoli zaczynał je rujnować, wyłaniając się z niego ostrożnie, jak ze skorupy, żeby w końcu podskoczyć i pobiec do wody.

W niektóre wieczory rodzice zabierali je na promenadę, gdzie odbywały się koncerty i przedstawienia teatryków objazdowych. Chmury przesunęły się nad ich głowami. Obejrzeni *W osiemdziesiąt dni dokoła świata* i sztukę *Doktor Jekyll i pan Hyde*. Ale naprawdę interesujące były dopiero atrakcje, o których doradzi nawet słyszeć nie chcieli. Gry automatyczne, występy potworków, żywe obrazy. Dzieci były zbyt przebiegłe, żeby ujawniać swoje zainteresowania tymi imprezami. Po kilku takich wspólnych wyprawach, kiedy przestały się one wydawać dorosłym aż „tak ryzykowne”, dzieciom udało się przekonać rodziców, że same dadzą sobie doskonale radę. Otrzymawszy po pięćdziesiąt centów, pobiegły o zmroku na promenadę. Stały przed jasno oświetloną, szklaną szafką, w której znajdowało się woskowe popiersie wróżki. Włożyły pensa do otworu. Mechaniczna wróżka w turbanie na głowie podniosła głowę, obróciła ją w lewo i w prawo, kłapnęła błyszczącymi zębami, podniosła rękę, z aparatu wyleciała kartka i twarz lalki zastygła w półśmiechu. Jestem mężczyzno-kobietą, przeczytały. Następnie wsunęły monetę do automatu kleszczowego. Zręcznie kręcąc gałkami nakierowały zakończoną kleszczami łapkę na wybrany przedmiot, chwyciły go i zręcznie wrzuciły do zsuwni. W ten sposób zostały właścicielami naszyjnika z muszelek, lusterka z wypolerowanej blachy i malutkiego, szklanego kotka. Obejrzały sobie potworki. W milczeniu patrzyły na kobietę z brodą, na syjamskie bliźnięta, dzikusę z Borneo, wielkoluda z Cardiffu, człowieka-krokodyla i kobietę ważącą trzysta kilogramów. Na widok dzieci ta góra tłuszczu poruszyła się na stołku, obwisłe ciało zatrzęsało się. Poczuli widać niezwykłą sympatię dla pięknych dzieci, albowiem stanęła na swoich maleńkich stopkach i ruszyła ku nim niczym gigantyczny potwór. Wielkie fałdy tłuszczu falowały, rozchodziły się, schodziły i znów rozchodziły, podczas gdy rozkładała ramiona gestem pełnym macierzyńskiej miłości. Dzieci pobiegły dalej. Zza parkanów patrzyły na nie czujne, ludzkie oczy potworów. Od olbrzyma kupiły pierścionek z jego palca, tak wielki, że zachodził im aż na przegub ręki, od syjamskich bliźniąt fotografię z dedykacją. Potem powróciły pędem do hotelu.

Najchętniej nie rozstawałyby się ze sobą ani na chwilę. Fakt, który doradzi stwierdzali z uśmiechem. Spędzały ze sobą całe dni, aż do chwili, kiedy należało udać się na spoczynek, co czyniły bez szemrania. Biegły do swoich pokoi nie oglądając się nawet za siebie. Spały jak susły. Rano odnajdywały się znowu. Jedno instynktownie wyczuwało nastroje drugiego, widziało je na ekranie podświadomości oświetlone rozproszonym światłem lekkiego wewnętrznego podniecenia, podobnego do słabych wyładowań elektryczności, ale jeżeli się dotykały, to tylko przelotnie lub przypadkowo. To pełne wzajemne zrozumienie, wyrażające się i w czynach, i w myślach, sprawiało, że nie potrafiły patrzeć na siebie oddzielnie, toteż jedno nie mogło reagować na urodę drugiego. A przecież były piękne. On, jasnowłosa, zamyślony, ona, drobniejsza od niego, kruczowłosa, lekka jak piórko, z błyszczącymi czarnymi oczami i niemal żołnierską postawą. Kiedy biegały, wiatr odgarniał im włosy z czoła. Dziewczynka miała śniade, małe ręce i wąskie stopy. Ślady, jakie pozostawiały na piasku, przypominały ślady stóp dzieci uciekających przez ciemne ulice, wspinających się w popłochu po schodach, przerażonych pustką zaułków, grozą łomotu przewracanych pojemników na śmieci. Ona załatwiała się przez lata w drewnianych wychodkach na smrodliwych podwórzach. Szczury ocierały się jej o kostki nóg. Umiała szyć na maszynie, widywała parzące się psy, prostytutki wciągające klientów do bram, pijaków odlewających się na koła wózków ulicznych sprzedawców. Chłopcu nigdy w życiu nie zdarzyło się opuścić żadnego posiłku. Nigdy nie marzył w nocy. Kiedy biegł, biegł do czegoś, miał w tym cel. Nie znał uczucia strachu i nie wiedział, że istnieją ludzie mniej ciekawi świata niż on. Wszystko było dla niego jasne, z każdym człowiekiem kojarzył mu się jakiś kolor, nigdy nie dziwił się zbiegowi okoliczności. Ziemia była dla niego planetą całą w błękicie i zieleń.

Pewnego dnia, kiedy dzieci bawiły się na plaży, słońce zbladło i zerwał się silny wiatr od morza. Czując na plecach zimny podmuch, wstały i spojrzały w niebo. Zobaczyły przewalające się po nim ciężkie, czarne chmury. Ruszyły w stronę hotelu. Zaczęło padać. Krople deszczu wybijały małe kraterki w piasku. Tworzyły smugi na pokrytych solą ramionach dzieci. Zmoczyły im włosy. Dzieci wsunęły się pod deski promenady, w odległości kilkudziesięciu metrów od hotelu. Przykucnęły na zimnym piasku i słuchały bębnienia deszczu. Siedziały wśród odpadków jedzenia, kawałków szkła, zgniłych rybich łbów, w których tkwiły błyszczące oczy, wyschniętych krabów, zardzewiałych gwoździ, połamanych desek, twardych jak kamienie rozgwiazd, poplamionych zaschniętą krwią szmat, drzazg i odłamków muszli. Z tej swojej jaskini patrzyły na morze. Podniosła się wichura, niebo zapłonęło zielonkawym blaskiem. Rozdzierały je błyskawice, niby cienką skorupę. Wiatr biczował ocean, jakby chciał go ukarać, spłaszczał go, zmuszał do posłuszeństwa. Nie było już pojedynczych fal, wielka masa wody kołysała się beładnie, nie załamywała się o brzeg. Niesamowite światło potężniało. Niebo zrobiło się żółte. Grzmoty przewalały się po niebie, jak gdyby to ono pochłonęło całą potęgę morza, wiatr smagał plażę deszczem, ubijał piasek, gnał po promenadzie. Dwie postaci przedzierały się z trudem przez ulewę i wiatr. Ludzie ci szli ze spuszczonej głowami w złotym świetle, zasłaniając sobie twarze ramionami. Co chwila odwracali się tyłem do wiatru, patrzyli w prawo i lewo i nawoływali przykładając dłonie do ust. Ich głosy ginęły na wietrze. Dzieci przyglądały się im, ale nie reagowały. Tata i matka chłopca zbliżali się ku nim coraz bardziej, chociaż trudno im się szło po mokrym piasku. Obracali się co chwila, a wiatr przyklejał im płaszcz do pleców i nóg. Weszli na promenadę. Czarne włosy Taty błyszczały od deszczu.

Matce rozpadł się kok i włosy opadły na plecy i ramiona. Wołali. Krzyczeli. To biegli, to znowu szli i rozglądali się za dziećmi. Byli przerażeni. Wreszcie dzieci wybiegły ze swojej kryjówki. Kiedy matka je zobaczyła, opadła na kolana. Po chwili cała czwórka ścisnęła się, obejmowała i śmiała. Matka śmiała się i płakała jednocześnie, a deszcz zalewał jej twarz. Gdzie byliście? – pytała. Gdzie? Czy nie słyszeliście, jak wołaliśmy was? Tata podniósł córkę i trzymał ją w ramionach. *Gottzudanken*, powiedział. *Gottzudanken*. Wesołym, lekkim krokiem, zbici w ciasną gromadkę, przemoczeni do nitki powrócili do hotelu. Tata nie mógł nie zauważyć, że mokra suknia przykleiła się do ciała matki podkreślając krągłe kształty. Z rozpuszczonymi i zmierzwionymi włosami wyglądała bardzo młodo. Spódnica przywierała do nóg, więc matka co kilka kroków przystawała, nachylała się i odrywała ją, ale wiatr zaraz znowu robił swoje.

Tata i matka zorientowawszy się, że dzieci nie ma w hotelu, pobiegli razem na brzeg morza, a kiedy znaleźli się na piasku, matka zrzuciła pantofle i uczepliła się ramienia Taty, żeby nie stracić równowagi. Teraz szła obejmując ramionami dzieci. Widok ten przywiódł Tacie na myśl kobietę o obfitych kształtach z obrazu Winsłowa Homera, którą ludzie ratują – za pomocą liny – przed utonięciem. Któż nie zaryzykowałby życia dla takiej kobiety. Ale matka wskazywała ręką na horyzont. Tam rozszerzała się szybko smuga błękitu. Tata wybiegł naprzód i fiknął kozła. Potem stanął na rękach i zaczął tak chodzić po piasku. Dzieci wybuchnęły śmiechem.

Ojciec przespał cały ten incydent. Źle ostatnio sypiał w nocy, więc ucinął sobie popołudniowe drzemki. Był bardzo niespokojny. Czytał w gazetach, że w Kongresie mnoży się liczba zwolenników wprowadzenia narodowego podatku od dochodu. Były to dla niego pierwsze zwiastuny zbliżającego się końca lata. Ostatnio telefonował regularnie do zarządcy swojej fabryki w New Rochelle. Ale tam panował spokój. Czarny morderca nie dawał znaku życia. Interes rozwijał się doskonale, co potwierdzały kopie zamówień, jakie ojciec otrzymywał każdą pocztą. Ale te dobre wieści nie uspokajały go. Plaża zaczęła ojca nudzić i prawie zupełnie zrezygnował z pływania. Po kolacji szedł do pokoju bilardowego i ćwiczył karambole. Miał już ochotę wyjechać z Atlantic City i podjąć dawny tryb życia. Czasami budził się z rana z poczuciem, że życie przeszło obok, pozostawiając go bardziej bezradnym w obliczu niebezpieczeństwa niż przedtem. Nowy przyjaciel rodziny bawił go nawet przez pewien czas. Matka uznała barona za ogromnie sympatycznego człowieka, ale ojciec nie lubił go specjalnie ani nie spotkał się z sympatią z jego strony. Najchętniej, spakowałby manatki i wyjechał, ale powstrzymywała go myśl, że matka czuje się tu tak bezpiecznie. Uważała, że należy pozostać w Atlantic City, aż rozstrzygnie się tragiczna sprawa Coalhouse'a Walkera. Ojciec był pewny, że to nigdy nie nastąpi. Ku konsternacji właściciela hotelu matka przyprowadzała teraz czarne dziecko do stołu. Nazajutrz po burzy, przy śniadaniu, ojciec otworzył gazetę i zobaczył na pierwszej stronie fotografię ojca synka Sary. Gang Coalhouse'a wtargnął poprzedniej nocy do siedziby najśłynniejszej galerii dzieł sztuki w Ameryce – do Biblioteki Pierponta Morgana przy Trzydziestej Szóstej Ulicy. Zabarykadował się i zażądał pertraktacji z władzami grożąc, że w przeciwnym razie zarówno dom, jak i cała znajdująca się w nim kolekcja zostaną wysadzone w powietrze. Dla zademonstrowania siły swojej amunicji ludzie Coalhouse'a rzucili na ulicę granat. Ojciec gwałtownym ruchem zmiął gazetę. W godzinę później został wezwany do telefonu. Dzwoniono z biura prokuratora okręgowego Manhattanu. Tegoż popołudnia – czule żegnany przez matkę – pojechał pociągiem do Nowego Jorku.

Nawet dla kogoś, kto śledził sprawę Coalhouse'a od samego początku, strategia zemsty, jaką sobie teraz obrał, musiała stanowić ostateczny dowód jego szaleństwa. Bo jakże inaczej wytłumaczyć sobie fakt, że zrównał kreaturę tak pospolitą i ordynarną, jaką był Willie Conklin, z Pierpontem Morganem, największą indywidualnością swojej epoki. Ośmiu ludzi zginęło dotychczas z ręki Coalhouse'a, nie mówiąc już o zabitych koniach i spalonych budynkach. Mieszkańcy New Rochelle drżeli na sam dźwięk nazwiska Walker. Jego bezczelność nie znała granic. A może doznana krzywda potrafi stać się osobnym światem rządzącym się logiką i prawami całkowicie sprzecznymi z zasadami naszej cywilizacji?

Wiemy z pamiętnika młodszego brata, że początkowy plan polegał na uwięzieniu Morgana w jego własnym domu. Ludzie Coalhouse'a wychodzili z założenia, że Conklin ukrywający się w irlandzkiej dzielnicy miasta jest równie trudny do znalezienia jak Coalhouse w Harlemie i że wobec tego trzeba go stamtąd wykurzyć. Postanowili wziąć zakładnika. Po dwóch nocach spędzonych na dyskusji kandydatem na zakładnika został Morgan. Dla Coalhouse'a był on – bardziej niż jakikolwiek gubernator czy burmistrz – symbolem potęgi białej rasy. Od lat karykaturzyści przedstawiali go jako symbol władzy, w cylindrze, kurzącego wielkie cygaro. Liczono na to, że bogate miasto Nowy Jork chętnie poświęci całą armię szefów straży pożarnej i cały sznur Fordów, model T, w zamian za zwolnienie swojego Morgana.

Ale Coalhouse powierzył obserwację domu magnata dwóm młodym ludziom, którzy niewiele wiedzieli o życiu w dzielnicy bogaczy, a jeszcze mniej o obyczajach milionerów. Kiedy zorientowali się, że Morgan jest właścicielem dwóch domów – jednego, niezbyt wielkiego, zbudowanego z brunatnego piaskowca, i pałacu z białego marmuru – doszli do wniosku, że na pewno mieszka w tym ostatnim. Młodszy brat nie popełniłby oczywiście takiego błędu. Ale jemu przydzielono rolę zaopatrzeniowca. Leżał na dnie ciężarówki załadowanej materiałem wybuchowym i różnymi prowiantami. Słyszał wprawdzie wszystko, ale nic nie widział. Ciężarówka podjechała tyłem do bramy biblioteki i stanęła. Na dany sygnał miał zacząć ją rozładowywać. Kiedy uniósł brezentową zasłonę, spojrzął na dom i zaczął krzyczeć, że zaszła pomyłka. Ale było już za późno. Jeden ze strażników leżał martwy przed bramą, ze wszystkich stron rozlegał się przeciągły dźwięk policyjnych gwizdków. Odgłosy strażaków zaalarmowały całą dzielnicę. Spiskowcy rozładowali ciężarówkę, zaryglowali wielkie, mosiężne drzwi biblioteki i zajęli wyznaczone im pozycje. Coalhouse przebiegł przez cały gmach. Nic straconego, oświadczył, chcieliśmy ująć tego człowieka i właściwie mamy go, ponieważ zajęliśmy jego posiadłość.

Pierpont Morgan był poza Nowym Jorkiem. Znajdował się od dwóch dni na pokładzie statku „Carmania” płynącego do Rzymu. Udawał się do Egiptu. Coalhouse i o tym nie wiedział. Jego akcja była źle przemyślana i zaplanowana w nieodpowiednim czasie, ale mimo to nie pozbawiona sensu.

Zawiadomiono natychmiast dyrektorów J.P. Morgan Company. Zadepeszowali do starego pana po instrukcje. Z niewiadomych powodów – być może instalacja telegraficzna na pokładzie „Carmanii” była uszkodzona – ni; mogli się nawet zorientować, czy depesza doszła do szefa. Bez wyraźnych instrukcji Morgana policja nie chciała nic robić, ograniczono się zatem do odcięcia całego bloku ulic, od Trzydziestej Szóstej do Trzydziestej Siódmej z jednej strony i od Madison Avenue do Park Avenue z drugiej. Ruch skierowano na inne ulice, a policjanci konni pilnowali, żeby tłumy gapiów nie schodziły na jezdnię. Wszystko to odbywało się w niezwyklej ciszy, odgradzonej jak gdyby murem od szumu ruchu ulicznego, trąbienia samochodów, całego jej życia. Wielotysięczny tłum był tak przejęty tym, co się stało, że niemal milczał. Gdy zapadła noc, przywieziono przenośne generatory i oświetlono fronton biblioteki. Generatory trzęsły się i warczały, ziemia pod nogami ludzi drgała jak w czasie trzęsienia ziemi. Policjanci byli wszędzie, pieszo i na koniach, ale robili wrażenie takich samych gapiów jak ci, których próbowali trzymać w ryzach.

Rzucony przez młodszego brata – po ostrzegawczym okrzyku – granat rozbił asfalt i wyrwał w jezdni, tuż przed bramą biblioteki, wielką dziurę. Na jej dnie, z powodu pęknięcia rury wodociągowej zaczęło bić małe źródółko. We wszystkich okolicznych domach wyleciały szyby. Naprzeciwko biblioteki znajdował się dom z brunatnego piaskowca – prywatna rezydencja – który najwięcej ucierpiał w czasie wybuchu. Właściciele opuścili go w popłochu i zgodzili się, żeby policja urządziła sobie kwaterę na parterze. Policjanci przekonali się wkrótce, że mogą bez obawy poruszać się po tej stronie Trzydziestej Szóstej Ulicy, wchodzić i wychodzić z domu, ale że nie wolno im wkraczać na jezdnię." Wkrótce dom pełen był wysokich oficerów policji i różnych przedstawicieli władz miejskich, i w miarę jak wyjaśniała się sytuacja, jeden urząd po drugim zaczął przerzucać odpowiedzialność za kierowanie akcją na coraz wyższe czynniki. Wreszcie, mimo że obecni byli oficerowie policji, szefowie komisariatów i inspektorzy – nie mówiąc już o samym komisarzu Rhinelandrze Waldo – kierownikiem akcji został prokurator okręgowy Nowego Jorku, Charles S. Whitman. Whitman zdobył sobie zasłużoną sławę za wykrycie afery przekupnego porucznika policji, niejakiego Beckera, i doprowadzenie do skazania go na śmierć za wynajęcie czterech rzeźmieszków – Krwawego Gypa, Franka Makaroniarza,

Whiteya Lewisa i Louie Mańkuta – i polecenie im zamordowania znanego szulera Hermana Rosenthala. Ten słynny proces tak wstawił imię Whitmana, że został kandydatem na gubernatora stanu Nowy Jork. Mówiono w pewnym momencie nawet o tym, żeby wysunąć jego kandydaturę na prezydenta. Właśnie wybierał się z żoną na wakacje do Newport, dokąd zaprosiła go pani Stuyvesant Fish, właścicielka czterdziestopokojowej letniej rezydencji. Sama pani O.H.P. Belmont wprowadziła go niedawno do nowojorskiej socjety. Bardzo sobie cenił te koneksje, ale nie mógł się oprzeć pokusie wstąpienia przynajmniej na chwilę na Trzydziątą Szóstą Ulicę. Uznał to za swój obowiązek, chociażby ze względu na możliwość zostania prezydentem. Chętnie pozwalał się fotografować w takich właśnie okolicznościach. Kiedy zjawił się w zaimprovizowanej kwaterze głównej, wszyscy – nie wyłączając jego wroga, znanego z niepohamowanych wybuchów złości, burmistrza Williama J. Gaynora – uznali jego autorytet. Whitman zrozumiał, że jest to znamieny objaw realizmu politycznego. Spojrzał na zegarek i stwierdził, że musi rozprawić się ze zwariowanym czarnuchem w ciągu kilku minut.

Kazał sobie sprowadzić plany architektoniczne Biblioteki Morgana z firmy Charles McKim i Stanford White. Przystudiował je, zarządził rekonesans. Chciał, żeby jeden dobrze wysportowany policjant wszedł na dach biblioteki, zajrzał przez szklaną kopułę do hallu i Sali Wschodniej i zorientował się, ilu tam jest czarnuchów. Znalaziono takiego policjanta i kazano mu przemknąć się przez ogród oddzielający rezydencję Morgana od gmachu biblioteki. Whitman, w otoczeniu pozostałych funkcjonariuszy, czekał w napięciu w zaimprovizowanej kwaterze. Kiedy policjant znalazł się w ogrodzie, niebo rozbłysło, coś huknęło i rozległ się przeciągły krzyk. Whitman zbladł. Oni zaminowali ten cały cholerny teren, warknął. Do pokoju wszedł jeden z dyżurnych policjantów. Z tego, co nam wiadomo, tamten zginął na miejscu, oświadczył, trzeba być wdzięcznym Opatrzności za to, gdyż i tak nikt nie mógłby go stamtąd wyciągnąć. Oficerowie policji przybrali ponure miny. Wszyscy patrzyli na Whitmana. A on zrozumiał, że stwierdzenie stanu liczebnego bandy Coalhouse'a nie jest rzeczą najważniejszą. Mimo to zwołał dziennikarzy i oświadczył, że w Bibliotece Morgana znajduje się od dwunastu do dwudziestu terrorystów.

W ciągu następnych kilku godzin prokurator okręgowy Charles S. Whitman przeprowadził szereg narad, między innymi z pułkownikiem, dowódcą oddziałów milicji Manhattanu, który doradzał przeprowadzenie pełnej operacji wojskowej. Ta propozycja tak zdenerwowała jednego z kuratorów muzeum pana Morgana – wysokiego, nerwowego mężczyznę z *pince-nez* na nosie i z uniesionymi na wysokość piersi, zaciśniętymi rękami, niczym primadonna opery – że zaczął drzeć na całym ciełe. Czy zdajecie sobie sprawę z wartości kolekcji pana Morgana! Mamy cztery wydania *in folio* dzieł Szekspira! Biblię Gutenberga na pergaminie! Siedemset inkunabułów i pięciostronicowy list pisany ręką George’a Washingtona! Pułkownik pokiwał palcem. Jeżeli nie zlikwidujemy tego skurwysyna, jeżeli nie wejdziemy tam i nie wykastrujemy drania, to wszystkie czarnuchy w całym kraju rzuca się nam do gardeł! I co komu wtedy przyjdzie z Biblii na pergaminie? Whitman krążył nerwowo po pokoju. Jeden z urzędników miejskich, inżynier, zaproponował, żeby zreperować pękniętą rurę wodociagową i dostać się przez nią do fundamentów biblioteki. Ile zajęłoby to czasu? – zapytał Whitman. Dwa dni, odparł inżynier. Ktoś inny zaproponował użycie gazu trującego. To jest nawet pomysł, zgodził się Whitman. Zginęliby też oczywiście wszyscy mieszkańcy wschodniej strony Manhattanu. Whitman denerwował się coraz bardziej. Biblioteka była zbudowana z bloków marmuru. I to tak szczelnie do siebie dopasowanych, że nie dałoby się wbić pomiędzy nie nawet ostrza noża. Gmach był teraz zaminowany. Przez każde okno patrzyła para czujnych, murzyńskich oczu.

Whitman zwrócił się wreszcie po radę do otaczających go funkcjonariuszy policji. Stary sierżant, który przez wiele lat patrolował ulice, weteran najbiedniejszych i najniebezpieczniejszych punktów miasta, takich jak Hells Kitchen czy Tenderloin, powiedział: Proszę szanownego pana, trzeba koniecznie wciągnąć Coalhouse’a Walkera w rozmowę. Wiem z doświadczenia, że tacy uzbrojeni szaleńcy uspokajają się, kiedy zaczynają gadać. Trzeba go do tego jakoś skłonić, a potem – mówić z nim jak najdłużej, to zawsze jakoś rozładowuje sytuację. Whitman – człowiek nie pozbawiony odwagi – chwycił megafon, wyszedł przed dom i krzyknął, że ma coś do powiedzenia Coalhouse’owi. Wymachiwał przy tym słomkowym kapeluszem. Jeżeli powiecie, o co wam chodzi, krzyczał, to, może znajdziemy wspólnie jakieś wyjście. Powtarzał te i podobne zdania przez kilka minut. Nagle okienko znajdujące się obok frontowych drzwi uchyliło się na moment. Przedmiot w kształcie cylindra wyleciał na ulicę. Whitman cofnął się, a ludzie znajdujący się na parterze padli na podłogę. Ku ogólnemu zdziwieniu nie było wybuchu. Whitman wycofał się w głąb domu i dopiero po kilku minutach stwierdzono przez lornetę połową, że przedmiot wyrzucony z biblioteki jest srebrnym pojemnikiem z pokrywką. Jeden z policjantów wybiegł, podniósł go i pędem powrócił do zaimprovizowanej kwatery. Okazało się, że jest to średniowieczny – teraz lekko obity – srebrny kufel do piwa z wykutą na nim sceną przedstawiającą polowanie. Kurator obejrzał go i oświadczył, że pochodzi z siedemnastego wieku i był własnością elektora Saksonii, Fryderyka. Bardzo mi miło, skwitował go Whitman. Kurator otworzył wieko kufła i wyciągnął ze środka kawałek papieru z numerem telefonu, który rozpoznał jako swój własny.

Prokurator okręgowy osobiście chwycił za słuchawkę. Trzymając ją w jednej ręce, przysiadł na brzegu stołu i wziął do drugiej mikrofon. Halo, panie Walker, powiedział dziarskim tonem, tu prokurator okręgowy Whitman. Zaskoczył go spokojny, rzeczowy ton czarnego człowieka. Moje warunki są bez zmian, powiedział Coalhouse. Chcę, żeby mi zwrócono samochód w takim samym stanie, w jakim znajdował się, kiedy zostałem zatrzymany na szosie. Nie możecie wskrzesić Sary, ale za jej życie żądam życia Conklina. Coalhouse, powiedział Whitman, pan wie, że jako przedstawiciel prawa nie mogę oddać w pańskie ręce człowieka, któremu żaden sąd nie udowodnił winy. Pan stawia mnie w sytuacji bez wyjścia. Mogę panu przyrzec, że zbadam tę sprawę i zorientuję się, czy zostało popełnione przestępstwo. Ale nic nie mogę dla pana zrobić, dopóki pan tam siedzi. Coalhouse Walker jakby go nie słyszał. Daję wam dwadzieścia cztery godziny czasu, powiedział, a potem wysadzam w powietrze ten gmach i wszystko, co się w nim znajduje. Odwiesił słuchawkę, Halo, wrzasnął Whitman. Halo! Kazał się połączyć po raz drugi z tym samym numerem. Ale nikt już nie odpowiedział.

Whitman wysłał depezę do pani Stuyvesant Fish do Newport. Miał nadzieję, że dama ta czytuje gazety. Oczy jego – które zawsze robiły się wyłupiaste, kiedy był podniecony – wyglądały teraz, jak gdyby miały mu za chwilę wyjść z orbit. Dostał wypieków. Zdjął marynarkę i rozpiął kamizelkę. Poprosił jednego z policjantów o przyniesienie mu whisky. Wiedział, że znana anarchistka Emma Goldman przebywa w mieście. Kazał ją aresztować. Stał w jednym z okien i wyglądał na ulicę: Dzień był pochmurny i wyjątkowo ciemny, powietrze duszne, drobny kapuśniaczek zraszał ulicę. Asphalt połyskiwał w świetle pierwszych zapalających się latarni. Znajdujący się naprzeciwko biały pałac w greckim stylu błyszczał, ulica była cicha i spokojna. W tym momencie Whitman doszedł do wniosku, że komisarz Rhinelandor Waldo i jego ludzie wciągnęli go w niebezpieczną grę, która mogła mieć dla niego bardzo złe skutki polityczne. Z jednej strony musiał chronić interesów Morgana, który finansował – za pośrednictwem licznych komitetów gromadzących protestanckich

republikanów – dochodzenia prowadzone przez prokuratora okręgowego, mające na celu zdemaskowanie nadużyć w departamencie policji opanowanym przez katolickich demokratów. Z drugiej zaś strony Whitman musiał za wszelką cenę utrzymać swoją reputację energicznego prokuratora okręgowego, który rozprawia się ostro z przedstawicielami świata przestępczego. Żeby spełnić obydwie te warunki, należało jak najszybciej wykurzyć Coalhouse'a z Biblioteki Morgana. Przyniesiono mu szklanę whisky. Wypiję tę jedną, powiedział sobie, to mi uspokoi nerwy.

Tymczasem do drzwi domu Emmy Goldman przy Trzynastej Ulicy Zachodniej zapukali policjanci. Emma nie była zaskoczona. Zawsze miała spakowaną walizeczkę, w której trzymała zmianę bielizny i książkę. Od chwili zamordowania prezydenta McKinleya oskarżano ją automatycznie o czynny lub bierny współudział w każdym akcie przemocy, każdym strajku czy demonstracji na terenie Stanów Zjednoczonych. Stróże porządku publicznego w całym kraju mieli obsesję na jej punkcie i aresztowali ją z byle okazji, nawet jeżeli byli pewni, że jest niewinna. Emma nałożyła kapelusz, chwyciła walizeczkę i wyszła z mieszkania. W karetce policyjnej towarzyszył jej młody policjant. Nie uwierzy pan, powiedziała do niego, ale cieszy mnie perspektywa spędzenia kilku tygodni w więzieniu. To jedyne miejsce, w którym odpoczywam.

Emma nie wiedziała oczywiście, że jednym z ludzi Coalhouse'a jest młody człowiek, którego określiła jako drobnomieszczańskiego kochanka Eweliny Nesbit. W komisariacie przy Centre Street złożyła reporterom oświadczenie. Stojąc przed biurkiem sierżanta powiedziała, że żal jej zabitych strażaków z Westchesteru, że jest jej przykro z powodu ich śmierci, ale że temu Murzynowi stała się wielka krzywda, a do desperackich czynów skłoniła go śmierć narzeczonej, Bogu ducha winnej młodej kobiety. Jako anarchistka muszę pochwalić, że zajął nieruchomość pana Morgana. Pan Morgan też przywłaszczył sobie to i owo. Reporterzy zarzucali ją pytaniami. Czy on jest jednym z pani stronników, Emmo? Czy pani go zna? Czy ma z tym coś wspólnego? Emma Goldman uśmiechnęła się i potrząsnęła przecząco głową. Przyjaciele, powiedziała, naszym ciemną jest wielki kapitał. Kapitał nas gnębi, Coalhouse Walker nie potrzebuje uczyć się od Czerwonej Emmy. Jego nauczycielem było cierpienie.

Już w godzinę później specjalne dodatki gazet rozpowszechniły wiadomość o jej aresztowaniu. Zacytowały też jej wypowiedzi. Whitman zastanawiał się, czy dobrze się stało, że dał jej takie pole do popisu. Ale wkrótce okazało się, że jednak przydała mu się na coś. Prezes Tuskegee Normal and Industrial Institute, Booker T. Washington, znajdował się w Nowym Jorku, żeby zabiegać o fundusze dla swojego instytutu. W wielkiej hali Cooper Union na Astor Place wygłaszał właśnie przemówienie i odchodząc na chwilę od przygotowanego tekstu, skrytykował wypowiedź Emmy Goldman i potępił akcję Coalhouse'a. Jakiś reporter powiadomił o tym telefonicznie Whitmana. Prokurator natychmiast skomunikował się z wielkim pedagogiem, prosząc go, żeby przyjechał na Trzydziestą Szóstą Ulicę, położył na szalę swój ogromny autorytet i pomógł rozwiązać kryzys. Chętnie, odparł Booker T. Washington. Posłano mu eskortę policyjną i Washington, przeprosiwszy swoich gospodarzy, wstał od stołu i przy akompaniamencie burzliwych oklasków opuścił wydany na jego cześć bankiet.

Booker T. Washington był w owym czasie najwybitniejszym Murzynem w Ameryce. Od chwili założenia instytutu Tuskegee w Alabamie stał się głównym inspiratorem sprawy zawodowego szkolenia Murzynów. Sprzeciwiał się wszelkiej walce o równouprawnienie polityczne i społeczne swojej rasy. Jego autobiografia stała się bestsellerem. Opowiadał w niej, jak to z niewolnika stał się – dzięki własnemu wysiłkowi – człowiekiem wolnym i szanowanym, formułował idee, według których Murzyni powinni się emancypować przy pomocy białych przyjaciół, propagował przyjaźń pomiędzy ludźmi różnych ras i był pełen wiary w przyszłość. Czterej prezydenci i znakomita większość gubernatorów południowych stanów udzielali mu poparcia, podzielali jego poglądy. Andrew Carnegie finansował jego szkołę, Harvard nadał mu doktorat *honoris causa*. Washington ubierał się z reguły w czarny garnitur, na głowie miał zawsze miękki, filcowy kapelusz. Stał na środku Trzydziestej Szóstej Ulicy, przystojny, dumnie wyprostowany, pewny swoich osiągnięć i wielkim głosem zażądał od Coalhouse'a, żeby wpuścił go do biblioteki. Z pogardą odsunął od siebie megafon. Był znanym mówcą i miał silny głos. Cała jego postawa wyrażała niezłomną wiarę w to, że kto jak kto, ale on zostanie wysłuchany przez tych zdesperowanych ludzi. Zaraz tam do was wchodzę, zawołał. Zszedł na jezdnię, okrążył wyłom po granacie i pchnął żelazną kratę bramy. Wspinał się powoli po stopniach strzeżonych przez duże kamienne lwice i stanął pod sklepieniem portyku, podtrzymywanego dwoma rzędami jońskich kolumn, czekając na otwarcie drzwi. Panowała taka cisza, powietrze było tak nieruchome, że klakson taksówki przejeżdżającej kilka ulic dalej zabrzmiał, jak gdyby była tuż obok. Po chwili frontowe drzwi się otworzyły. Booker T. Washington zniknął we wnętrzu gmachu. Po drugiej stronie ulicy prokurator Charles Whitman otarł pot z czoła i opadł na fotel.

Booker T. Washington znalazł się w ogromnej, połączanej sali zawierającej kolekcję obrazów, szafy pełne rzadkich druków i całe rzędy rzeźb, w sali o ścianach pokrytych adamaszką i posadzce z marmuru. Stały tam bezcenne florenckie meble. Wszystko to było gotowe do wysadzenia w powietrze. Do kolumn przymocowano wiązki dynamitu. Wyprowadzone ze Wschodniej i Zachodniej Sali druty wlokły się po posadzce i schodziły w niewielkiej alkwie znajdującej się w hallu. Tam, na marmurowej ławie, siedział okrakiem młody mężczyzna. Przed nim – na tejże ławie – stała skrzynka ze sterzącym w niej tłokiem w kształcie litery T, który trzymał oburącz. Mężczyzna był zwrócony plecami do mosiężnych drzwi i pochylony ku przodowi tak, że gdyby trafiła go zniecała kula, upadłby całym ciałem na tłok i wcisnął go do środka. Człowiek ten odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Washingtona, i wielki nauczyciel gwałtownie wciągnął powietrze w płuca, bo zobaczył nie Murzyna, ale białego człowieka z poczernioną twarzą. Washington wszedł do Biblioteki Morgana w nastroju wprawdzie bezkompromisowym, pełen dydaktycznych zamierzeń, ale zdecydowany na dyplomatyczne rozwiązanie sytuacji. Teraz ogarnęło go zgorszenie. Zajrzał najpierw do Sali Zachodniej, potem przeszedł przez hall i zajrzał do Wschodniej. Spodziewał się, że zastanie w gmachu kilkudziesięciu Murzynów, ale na razie zobaczył przy oknach trzech czy czterech uzbrojonych w strzelby młodzieńców. Coalhouse, w nienagannie skrojonym garniturze w drobną kratkę i starannie zawiązanym krawacie, czekał na niego. Za paskiem miał rewolwer. Washington zmierzył go wzrokiem od stóp do głów. Zmarszczył wysokie czoło i rzucił mu gniewne spojrzenie. Potem powiedział, co następuje: Przez całe życie pracuję cierpliwie i ofiarnie dla idei braterstwa chrześcijan. Nieustannie przekonuję białych, że mogą się nas nie bać, że nie muszą nas zabijać, albowiem dążymy tylko do tego, żeby być coraz lepsi i wraz z nimi w spokoju spożywać owoce amerykańskiej demokracji. Każdy Murzyn w więzieniu, każdy czarny nicpoń, karciarz, kanciarz czy gwałciciel jest moim wrogiem, każda zbrodnia popełniona przez czarnego człowieka odbiera mi kawałek życia. Czy wiesz, ile mnie będzie kosztowała twoja lekkomyślna zbrodnicza działalność? Jaką cenę zapłacą za nią moi adepci, ciężko pracujący chłopcy, którzy pragną za wszelką cenę zdobyć zawód, aby móc uczciwie zarabiać na życie i zadać kłam białym ludziom? Tysiąc uczciwych, pracowitych Murzynów nie potrafi odrobić szkody, jaką jeden taki jak ty może wyrządzić. Co gorsza, jesteś podobno wykształconym muzykiem, człowiekiem, który wszedł na ścieżkę zbrodni prosto z przybytków, w których rozlegają się piękne tony niebiańskiej muzyki, gdzie słychać dźwięk harf i trąbek, gdzie rozbrzmiewają wspaniałe pieśni. Potworze! Gdybyś nic nie wiedział o bohaterskiej walce, jaką toczy twój naród, mógłbym ci współczuć. Ale jesteś artystą! Rozglądam się dokoła, zalatuje tu potem zbuntowanych, młodych, bezsilnych nędzarzy. Czego ich nauczyłeś? Nawet największa twoja krzywda, najboleśniej twoja strata nie usprawiedliwi losu, jaki zgotowałeś tym nierozważnym młodym chłopcom! I na domiar złego przyjąłeś do swojej bandy jakiegoś białego, który wysmarował się na czarno, ośmieszając cię jeszcze na dodatek. Bądź przeklęty!

Każde słowo tego przemówienia dochodziło do uszu wszystkich członków grupy. Nie byli ci młodzieńcy aż takimi zatwardziałymi buntownikami, żeby zjawienie się Bookera T. Washingtona – o którym słyszeli od najwcześniejszego dzieciństwa – nie zrobiło na nich wrażenia. Odpowiedź Coalhouse'a miała więc bardzo wielkie znaczenie. Odezwał się głosem cichym i spokojnym. Pańskie przybycie, powiedział, poczytuję sobie za

wielki zaszczyt. Zawsze obdarzałem pana najwyższym szacunkiem. Wbił wzrok w marmurową posadzkę. Prawdą jest, że jestem muzykiem i człowiekiem już niemłodym. Skoro zdaje pan sobie z tego sprawę, rozumie pan zapewne także, że robię to, co robię, po poważnym namyśle. I że być może obaj jednak służyliśmy sprawie naszej rasy, że obu zależy nam na tym, żeby uznawano nas za dojrzałych mężczyzn i szanowano jako takich. Washington był tak zaskoczony tą odpowiedzią, że aż mu się w głowie zakręciło. Coalhouse zaprosił go do Sali Zachodniej i wskazał na jeden z czerwonych, obitych pluszem foteli. Washington odzyskał po pewnym czasie równowagę ducha i otarł chustką czoło. Spojrzał na marmurowy kominek. Na pokryty polichromią i rzeźbami sufit, który pochodził z pałacu kardynała Gigli w mieście Lukka. Na wybitej karmazynowym jedwabiem ścianie wisiał portret Marcina Lutra pędzla Cranacha Starszego i kilka obrazów przedstawiających oddawanie czci Matce Boskiej przez Trzech Króli. Wielki pedagog przykniął oczy i splótł dłonie. Boże mój, szepnął, powiedź mój naród do Ziemi Obiecanej. Pozwól mu się wyzwolić z jarzma faraonów. Zdejm z ich zniewolonych umysłów krępujące je łańcuchy, zbaw ich od grzechów, które wiodą prosto do piekła. Nad kominkiem wisiał portret Pierponta Morgana przedstawiający go w kwiecie wieku. Washington przyjrzał się uważnie tej srogiej twarzy. Tymczasem Coalhouse Walker usiadł obok w fotelu. Dwaj starannie ubrani Murzyni tworzyli obraz symbolizujący rozwagę i rzetelność. Niech pan ze mną wyjdzie, powiedział Washington po chwili cichym głosem. Wstawię się za panem i przyrzekam, że rozprawa będzie krótka, a wykonanie wyroku bezbolesne. Niech pan każe rozmontować te diabelskie instalacje, dodał wskazując ruchem ręki na wiązki dynamitu umieszczone na ścianach i sufitach. Proszę ująć mnie za rękę i iść ze mną. Niech pan zrobi to dla dobra swojego syna i wszystkich murzyńskich dzieci, których los jest tak ciężki i których droga tak daleka.

Coalhouse siedział w głębokim zamyśleniu. Panie Washington, odparł wreszcie, niczego nie pragnę goręcej niż pomyślnego zakończenia tej sprawy. Uniósł powieki i Washington zobaczył w jego oczach łzy. Niech Conklin wyremontuje mój samochód i przyprowadzi go przed bibliotekę. Wtedy wyjdę z rękami uniesionymi do góry i ani temu budynkowi, ani żadnemu człowiekowi nie stanie się już nic złego ze strony Coalhouse'a Walkera.

Oświadczenie to było pierwszym ustępstwem Coalhouse'a od czasu incydentu przed remizą strażacką Emerald Isle, ale Washington tego nie zrozumiał. Usłyszał tylko, że jego propozycja została odrzucona. Wstał i wyszedł bez słowa. Powrócił na drugą stronę ulicy przekonany, że jego interwencja nie odniosła żadnego skutku. Coalhouse krążył niespokojnie po salach biblioteki. Jego ludzie wodzili za nim oczami, nie opuszczając jednak swoich stanowisk. Jeden z nich leżał na szklanej kopule dachu nad portykiem, w strumieniach wciąż padającego deszczu, i chociaż ich nie widział, to czuł obecność tysięcy przyglądających mu się mieszkańców Nowego Jorku. Czasami, w środku nocy, zdawało mu się, że wydają z siebie głęboki, ledwo słyszalny, żałobny jęk, cichszy od oddechu umęczonych płuc, od szumu opadającej mgły.

Po rozmowie z prokuratorem okręgowym Booker T. Washington przyjął w salonie zarekwirowanego domu kilku reporterów. Biblioteka pana Morgana, powiedział, jest zaminowana dynamitem i może w każdej chwili wylecieć w powietrze. Mamy do czynienia ze zdolnym do wszystkiego, obłąkanym człowiekiem. Pozostaje mi tylko modlić się, aby Bóg w swojej bezgranicznej mądrości wskazał nam wyjście z tej tragicznej sytuacji. Następnie zatelefonował do kilku przyjaciół w Harlemie – pastorów i działaczy społecznych – i poprosił, żeby przyjechali na Trzydziątą Szóstą Ulicę w celu zademonstrowania, jako odpowiedzialni przedstawiciele społeczności murzyńskiej, sprzeciwu wobec akcji Coalhouse’a Walkera. Ludzie ci ustawili się na chodniku naprzeciw Biblioteki Morgana i stali tam w milczeniu. Prokurator Whitman zgodził się na to, mimo że po wysłuchaniu raportu Washingtona kazał ewakuować wszystkich mieszkańców okolicznych willi i kamienic. Tak miały się sprawy w momencie, kiedy zjawił się ojciec. Przeprowadzono go przez kordony policji, minął grupę modlących się bezgłośnie działaczy murzyńskich, rzucił okiem na gmach biblioteki i wszedł szybko do tymczasowej kwatery policji. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. Nikt z nim nie rozmawiał, nikt od niego niczego nie żądał. Kręcił się, rozglądał, czekał, żeby go zauważono, ale bezskutecznie.

Dom był pełen policjantów w mundurach i ludzi w cywilu o bliżej nieokreślonych kompetencjach. Wszyscy krzatali się niespokojnie. Ojciec zaszedł do kuchni. Tu przesiadywali reporterzy. Zjedli już wszystko, co znaleźli w lodówce. Jedni siedzieli na krzesłach trzymając nogi na stole, inni podpierali ściany. Wszyscy byli w kapeluszach. Pluli do zlewu. Ojciec dowiedział się z tego, co mówili, o rozmowie Bookera T. Washingtona z Coalhouse’em. Pomyślał, jakie to dziwne, że Murzyn, który jeszcze tak niedawno grywał w jego salonie na fortepianie, jest nagle taki sławny. Zdawało mu się, że Coalhouse złagodził swoje warunki. Czy tak? Nikt tego jakoś nie zauważył. Ale jeżeli życie Willie’ego Conklina nie było już podstawowym warunkiem Coalhouse’a – a w każdym razie stało się przedmiotem ewentualnych negocjacji – to powinien chyba zwrócić komuś na to uwagę. Rozejrzał się za odpowiednią osobą i natrafił na prokuratora okręgowego we własnej osobie, którego rozpoznał z fotografii w gazetach. Whitman stał w wykuszu bawialni z lornetą połową w rękach. Pan wybacz, zaczął ojciec. Przedstawił mu się i podzielił się z nim swoimi myślami. Prokurator spojrział na niego ze zdumieniem. Ojciec zauważył na jego policzkach sieć popękanych naczyń krwionośnych. Whitman przyłożył lornetę do oczu niczym admirał i wyjrzał na ulicę. Ojciec, nie wiedząc, co ze sobą dalej robić, pozostał przy nim.

Whitman czekał na wiadomość od pana Morgana. Co chwila spoglądał na zegarek. Nagle ktoś przebiegł pod oknami. W hallu nastąpiło poruszenie. Do salonu wpadł młody chłopiec, za nim kustosze i kilku policjantów. Chłopiec przyniósł depeszę z pokładu „Carmanii”. Prokurator gwałtownym ruchem rozerwał kopertę. Przeczytał depeszę i potrząsnął głową z niedowierzaniem. A niech to wszyscy diabli, mruknął, a niech to szlag trafi! Nagle zaczął wrzeszczeć do obecnych w pokoju ludzi. Wyjść! I to natychmiast! Wygonić wszystkich i zatrzaskać drzwi. Ojca trzymał mocno za ramię. Kiedy zostali sami, wcisnął ojcu depeszę do ręki. **ODDAJCIE MU JEGO AUTOMOBIL I POWIEŚCIE GO**, przeczytał ojciec.

Ojciec podniósł oczy i zobaczył, że prokurator okręgowy patrzy na niego z wściekłością. Tej ewentualności w ogóle nie brałem pod uwagę, powiedział wreszcie prokurator. Przecież nie możemy ustąpić czarnuchowi. Nawet, żeby go powiesić. Nie mogę sobie na taki krok pozwolić. Byłbym skończony. A niech to wszyscy diabli. Dałem sobie radę z tym skurwysynem Beckerem. A to była zbrodnia stulecia. Tak nazwały ją gazety. Teraz ja, prokurator okręgowy, mam ustąpić czarnuchowi! O nie, mój panie! O tym nie ma mowy!

Whitman zaczął krążyć po pokoju. Ojciec poczuł przyptyw odwagi. Miał w końcu w rękach telegram od samego J. Pierponta Morgana. Upoważniało go to do natychmiastowego przyjęcia funkcji prywatnego doradcy prokuratora okręgowego miasta Nowy Jork.

Zdaniem ojca, sytuacja dojrzała do negocjacji. Po drugiej stronie kuli ziemskiej rozumiał to także Morgan. Coalhouse wyraźnie zmiękł i zrezygnował z osobistego rozprawienia się z Conklinem. Ojciec był ponadto głęboko przekonany, że po zgonie Sary Coalhouse Walker pragnął już tylko i wyłącznie własnej śmierci. Powiedział to Whitmanowi. Ta cała sprawa może być błyskawicznie załatwiona, oświadczył. Samochód Coalhouse’a nie ma żadnej wartości. Poza tym jest to przecież pomysł pana Morgana. Oczywiście, warknął Whitman. Tylko on mógł coś takiego wymyślić. Nikt inny nie miałby czelności. No tak, to jest jego pomysł, powtórzył ojciec. Nie znam się na polityce, ale czy to pana całkowicie nie rozgrzesza? Whitman zatrzymał się i spojrział uważnie na ojca. Powinienem być w tej chwili w Newport u państwa Fish, powiedział.

W rezultacie tuż po północy zaprzężono parę silnych koni do zrujnowanego samochodu Coalhouse’a, który wciąż leżał na brzegu stawu tuż za remizą strażacką Emerald Isle. Deszcz przestał padać, wszystkie gwiazdy widniały na niebie. Konie wyciągnęły Forda na drogę i ruszyły na szosę. Woźnica stał na przednim siedzeniu, trzymając jedną ręką lejce, drugą manewrując kierownicą. Wszystkie cztery opony były dziurawe. Samochód kołysał się z boku na bok, a koła zgrzytały niemiłosiernie.

Podczas gdy Ford zbliżał się do Manhattanu, Whitmanowi udało się jeszcze raz porozumieć telefonicznie z Coalhouse'em. Powiedział, że chciałby omówić z nim warunki. Zaproponował pośrednictwo ojca, który miałby krążyć pomiędzy dwoma domami. To będzie dyskretniejsze od telefonu, powiedział. Pan ma do niego zaufanie i ja też. Jest to w końcu pański chlebobawca. Skądże, zaprotestował ojciec, on u mnie nigdy nie pracował. Ojciec zaczął poważnie żałować, że wmieszał się w sprawę. Aż nazbyt szybko znalazł się w mroźnym, porannym powietrzu na oświetlonej reflektorami ulicy. Okrążył krater w jezdni i wszedł po wejściowych schodach strzeżonych przez kamienne lwy. Dodawał sobie odwagi, próbując sobie uświadomić, że jest emerytowanym oficerem armii Stanów Zjednoczonych, uczestnikiem ekspedycji polarnej. Mosiężne drzwi biblioteki uchyliły się nieco i ojciec wszedł do środka. Odgłos własnych kroków na wypolerowanej marmurowej posadzce wydawał mu się ogłuszający. Dopiero po chwili wzrok jego przyzwyczaił się do słabego oświetlenia. Spodziewał się Coalhouse'a, ale zamiast niego zobaczył szwagra – który miał na sobie tylko spodnie – z poczernioną twarzą i pistoletem zawieszonym pod pachą. Ty! – krzyknął ojciec. Młodszy brat wyjął pistolet z pochwy i przyłożył go sobie do skroni gestem powitania. Nogi ugięły się pod ojcem. Zaniesiono go na fotel. Coalhouse podał mu manierkę z wodą.

Wstępne porozumienie pomiędzy stronami przewidywało przedłużenie terminu ultimatum Coalhouse'a z dwudziestu czterech godzin na czas nieokreślony. Drugie stanowiło zgodę na zakrycie dziury w jezdni deskami. Ojciec krążył pomiędzy jednym domem a drugim, sprawnie wywiązując się ze swojego zadania, ale czynił to wszystko dziwnie mechanicznie, jak somnambulik. Nie spojrzał już więcej na szwagra. Na samą myśl o nim zalewała go fala goryczy i krew uderzała do głowy.

Tymczasem Whitman telefonował, gdzie tylko mógł, mobilizując wszelkie stojące do jego dyspozycji siły celem znalezienia Conklina. Policja szukała go po wszystkich dzielnicach miasta. Wreszcie wpadło Whitmanowi do głowy, żeby zadzwonić do Wielkiego Tima Sullivana, bossa nowojorskiego Czwartego Okręgu Wyborczego i jednego z najstarszych przywódców Tammany Hall. Obudził go. Tim, powiedział Whitman, mamy w mieście gościa, niejakiego Willie Conklina z Westchesteru. Nie znam człowieka, odparł Wielki Tim, ale zobaczymy, co się da zrobić. Liczę na ciebie, powiedział Whitman. W niecałą godzinę później przyprowadzono Conklina za kołnierz do kwatery prokuratora. Był rozchełstany, cały mokry od potu i bardzo przestraszony. Guziki dolnej części koszuli odpadły mu po drodze i potężne brzuszysko przewalało się przez pasek od spodni. Rzucono go na stojący w hallu fotel i kazano milczeć. Postawiono przy nim policjanta. Conklin szczekał zębami, trzęsły mu się ręce. Sięgnął do tylnej kieszeni spodni, żeby wyciągnąć ćwiartkę whisky w brązowej papierowej torbie, ale policjant ubiegł go i trzepnął w głowę kajdankami.

Kiedy zrobiło się jasno, gapie powrócili na ulicę i stali teraz w trzech, czterech rzędach za barykadami ustawionymi przez policję. Zardzewiały Ford, model T, znajdował się już przed drzwiami Biblioteki Morgana. W umówionej chwili drzwi domu po przeciwnej stronie ulicy otworzyły się i na ganku ukazali się dwaj policjanci z nieszczęsnym Conklinem. Trzymali go przez chwilę, jak eksponat, i po kilku minutach wciągnęli z powrotem do środka. Spełniwszy uczciwie dwa warunki Coalhouse'a – sprowadzenie samochodu i Conklina – Whitman przystąpił do stawiania własnych. Na wstępie przyrzekł, że skłoni kolegę z Westchesteru do wytoczenia Conklinowi sprawy o naruszenie praw obywatelskich, wandalizm i złośliwe uszkodzenie cudzej własności. Poza tym Conklin zostanie zmuszony do pracy wraz ze specjalistami przy odnawianiu samochodu Coalhouse'a – i to tu, na ulicy, na oczach obywateli. Upokorzenia tego nie zapomni na pewno do końca swoich dni. W zamian za to wszystko Whitman żądał, żeby Coalhouse poddał się wraz ze wszystkimi swoimi ludźmi. Gwarantuję wam, dodał, że sąd rozpatrzy waszą sprawę z pełnym obiektywizmem i w całym majestacie prawa.

Kiedy ojciec przekazał te warunki Coalhouse'owi, jego ludzie zaczęli się śmiać i krzyczeć. Mamy go, wołali. Musiał się na wszystko zgodzić. Dobra nasza. Wygraliśmy. Widok samochodu, a nade wszystko widok Conklina podzielał na nich ożywczo. Ale Coalhouse milczał. Siedział samotnie w Sali Zachodniej. Ojciec czekał. W miarę jak mijały minuty, ponury nastrój Coalhouse'a zaczął udzielać się jego ludziom. Zaniepokoił się. Wreszcie Coalhouse powiedział ojcu, dobrze, poddam się, ale sam. Dla moich chłopców żądam gwarancji swobodnego oddalenia się stąd i pełnej amnestii. Ale niech pan chwilę zaczeka, muszę im to powiedzieć.

Coalhouse wstał i poszedł do hallu, gdzie na niego czekali. Chłopcy stali zgromadzeni wokół detonatora. Byli oszołomieni. Nie musisz się z nimi targować, wołali. Trzymamy Morgana za jaja! Nie gadaj z nimi. Niech nam wydadzą Conklina i Forda, niech stąd odejdą, to opuścimy bibliotekę! Tak trzeba z nimi rozmawiać. Tak się prowadzi negocjacje, człowieku, tak się załatwia interesy!

Coalhouse był spokojny. Mówił cichym głosem. Policja nie zna waszych nazwisk. Miasto pochłonie was, wróćcie do dawnego życia. A ty z nami. Nie, odparł Coalhouse. Oni mnie stąd żywego nie puszcza, doskonale o tym wiecie. A gdyby mi się nawet udało uciec, to zrobiliby wszystko, żeby mnie schwytać. Razem z wami. Wszyscy zginęlibyście. Po co? W jakim celu?

Zawsze omawialiśmy wspólnie nasze sprawy, odezwał się jeden z chłopców. A teraz robisz nam taki kawał. Tak nie można, człowieku! Jesteśmy współnikami! Jeżeli nie możemy razem wyjść, to wysadzamy budę, powiedział inny. Czy ty wiesz, co robisz? – spytał młodszy brat. Zdradzasz nas. Albo wszyscy wychodzimy

stąd jako wolni ludzie, albo wszyscy giniemy. Podpisałeś ten list jako prezydent Tymczasowego Rządu Amerykańskiego. Coalhouse skinął potakująco głową. Bo myślałem, że taka frazeologia podniesie morale naszej grupy, odparł. Dla nas to była święta prawda, krzyknął młodszy brat. Święta prawda! Tam, na ulicy, jest tyle ludzi, że moglibyśmy stworzyć z nich armię!

Żaden teoretyk rewolucji nie mógłby zaprzeczyć, że skoro miało się wroga tak potężnego i liczebnego jak cała biała rasa, zwrócenie Murzynowi Forda było równie dobrym początkiem jak każdy inny. Młodszy brat zaczął wrzeszczeć na Coalhouse'a. Nie wolno ci zmieniać własnych warunków! Nie wolno ci z niczego rezygnować! Nie zdradzisz nas chyba dla jednego samochodu! Wcale nie zmieniłem warunków, stwierdził Coalhouse. Czy ten cholerny Ford wystarcza ci za całą sprawiedliwość? – warknął młodszy brat. Czy będziesz zadowolony dopiero wtedy, kiedy wpięprzą ci wyrok śmierci? Wyrok został wydany na mnie w momencie, kiedy umarła Sara, powiedział Coalhouse. A jeżeli chodzi o tego Forda, to muszą go doprowadzić do takiego stanu, w jakim był, kiedy przejeżdżałem koło remizy. Ja nie zmieniłem warunków, to oni komplikowali sytuację, dopóki się im opierali. Wytargowałem dla was życie w zamian za Conklina, i dzięki za to Bogu.

W kilka minut później ojciec powrócił na drugą stronę ulicy. W imię sprawiedliwości Coalhouse zgodził się poddać, powiedział. Ale jego ludzie są przeciwni. Należą do innego pokolenia. To potwory. Ojciec wzdrygnął się. Niepoczytalni ludzie. Ślepo wierzą w swoją sprawę. Nie chcą niczyjej pomocy. Są gotowi utworzyć armię! To po prostu groźni rebelianci.

Upór Coalhouse'a był opoką, która pozwalała mu bronić przed wszystkimi argumentami jego ludzi. Ojciec Siedział, że stoi pomiędzy Morganem a katastrofą. Ale nie wspominał o tym prokuratorowi okręgowemu. Uznał, że Whitman będzie miał i bez tego wystarczająco dużo kłopotów. Tak było w rzeczywistości. Whitman wypił kilka szklanek whisky. Policzki pokrywała mu gęsta szczecina, wyłupiaste oczy zaczerwieniły się, kołnierzyk koszuli zwinął się od potu. Krążył po pokoju. Stawał przy oknie. Wbijał pięść prawej ręki w lewą dłoń. Co pewien czas wracał do tekstu depechy Morgana. Ojciec odchrząknął. Tam nie ma ani słowa o tym, że ma pan powiesić jego współników, powiedział. Co takiego? – zdziwił się Whitman. Co takiego? No tak, ma pan rację. Rozejrzył się za krzesłem. A ilu ich tam jest? – zapytał. Pięciu, odparł ojciec, pomijając podświadomie młodszego brata. Whitman westchnął. Wydaje mi się, że to jest najlepsze wyjście, odezwał się znowu ojciec. Chyba tak, odpowiedział prokurator okręgowy. Ale co ja powiem reporterom? Powie im pan, że po pierwsze, Coalhouse został ujęty, po drugie, kolekcja Morgana jest uratowana, po trzecie, miasto jest znowu bezpieczne i że wszystkie środki, jakimi rozporządza pan i policja, zostaną zmobilizowane w celu przychwycenia tych rzezimieszków i że władze nie spoczną, dopóki ostatni z nich nie znajdzie się za kratkami. Whitman zastanawiał się przez chwilę. Każę ich śledzić, mruknął. Dotrę do ich kryjówek. To będzie niemożliwe, odpowiedział ojciec. Wezmą zakładnika i nie uwolnią go, dopóki nie uznają, że nic im nie grozi. Kto będzie tym zakładnikiem? Ja, odpowiedział ojciec. Rozumiem, szepnął Whitman. No dobrze, ale czy ten czarnuch wyobraża sobie, że sam zostanie w budynku? Chyba tak, odparł ojciec, będzie się trzymał z daleka od okien i nie spuści ręki z lewarka detonatora. Sądzę, że to wystarczy.

Być może w tym momencie ojciec miał jeszcze nadzieję, że po swoim uwolnieniu będzie mógł zaprowadzić policję do kryjówki tych przestępców. Był zdania, że bez Coalhouse'a zabraknie im odwagi i inteligencji, żeby umknąć przedstawicielom prawa. Uważał ich za anarchistów, morderców i podpalaczy, wiedział, na co ich stać, mimo to nie bał się o siebie. Uważał się za lepszego od każdego z nich. Jeżeli zaś chodzi o młodszego brata, to był nim tak zgorszony, że sama myśl o tym, że przyczyni się do jego ujęcia, sprawiała mu radość.

Whitman długo patrzył w przestrzeń. No dobrze, powiedział wreszcie. Doskonale. Poczekamy, aż się ściemni, żeby ci gapie nie widzieli, co robimy. Zgadza się ze względu na pana Morgana, tę jego cholerną Biblię Gutenbergowską i ten jego przekłety pięciostronicowy list George'a Washingtona.

Negocjacje były skończone.

Kilka rozmów telefonicznych z zakładami Forda odniosło skutek i o ósmej rano na Trzydziestą Szóstą Ulicę zajechała furgonetka z wszystkimi częściami zamiennymi do modelu T. Firma Pantasote przysłała dach z dermy. Urzędnicy Morgana przyrzekli, że wszystkie koszty zostaną pokryte. Willie Conklin – bacznie obserwowany przez tłum i pod nadzorem dwóch mechaników – rozebrał cały samochód i złożył go z powrotem, część po części. Za pomocą wyciągu wielokrążkowego wyjęto stary motor. Conklin pocił się, kłął, a nawet płakał od czasu do czasu, ale pracował bez przerwy. Założył nowe opony, wmontował nowe zderzaki, nową chłodnicę, iskrownik, drzwi, lampy, szyby i siedzenia. O piątej po południu, kiedy słońce wciąż jeszcze niemiłosiernie przygrzewało, robota była skończona. Na skraju chodnika stał czarny błyszczący Ford, model T, z pięknym dachem ze sztucznej skóry.

Przez cały ten dzień ludzie Coalhouse'a przychodzili do niego próbując skłonić go do zmiany decyzji. Wysuwali coraz bardziej szalone argumenty. Mówili, że są narodem. Był bardzo cierpliwy. Zrozumiał, że boją się, iż bez niego nie będą wiedzieli, co robić dalej. Uważali go za samobójcę. Byli zagubieni i zrozpaczeni. Pod wieczór w bibliotece zapanował nastrój głębokiej depresji. Młodzi ludzie patrzyli apatycznie przez okna na ulicę, na której stał teraz samochód, którym Coalhouse przez tyle tygodni jeździł do swojej narzeczonej.

Coalhouse ani razu nie podszedł do okna, żeby go obejrzyć. Siedział przy biurku Pierponta Morgana w Sali Zachodniej i pisał testament.

Młodszy brat milczał milczeniem pełnym gorzkości. Ojciec przebywał teraz w bibliotece w charakterze oficjalnego zakładnika. Chciał się rozmówić ze szwagrem. Zastanawiał się, co powie żonie. Ale dopiero kiedy zaczęło się ściemniać i zbliżała się godzina ewakuacji z biblioteki, zdobył się na konfrontację. Mogła to być ostatnia okazja do rozmowy w cztery oczy.

Młody człowiek był w toalecie tuż przy frontowych drzwiach. Zmywał sobie twarz. Zobaczył w lustrze ojca. Ja od ciebie nic nie chcę, powiedział ojciec. Ale czy nie uważasz, że twojej siostrze należy się jakieś wytłumaczenie? Jeżeli ona dobrze się zastanowi, odparł młodszy brat, to na pewno wszystko zrozumie. Przez ciebie nie mogę jej nic przekazać. Jesteś człowiekiem zawsze z siebie zadowolonym i nie masz poczucia historii. Kiepsko płacisz swoim ludziom, nie jesteś wrażliwy na ich dołę. Rozumiem, odparł ojciec. Uważasz się za dżentelmena we wszystkim, co robisz, a to jest iluzja, jaką dzielisz z tymi, którzy uciskają ludzkość, dodał młodszy brat. Pracowałeś w moim przedsiębiorstwie i mieszkałeś pod moim dachem, zauważył ojciec. Byłeś wspaniałomyślny, bo mogłeś sobie na to pozwolić, odparł młodszy brat. Przekonasz się jednak wkrótce, że spłaciłem zaciągnięty u ciebie dług. Nachylony nad umywalką, namydlił sobie energicznie twarz, spłukał gorącą wodą i osuszył ręcznikiem z wyhaftowanymi inicjałami JPM. Rzucił ręcznik na ziemię, wciągnął koszulę, wyjął z kieszeni spinki, przypiął kołnierzyk do koszuli, zawiązał krawat, naciągnął szelki na ramiona. Zjechał cały świat, powiedział jeszcze, i nie nauczyłeś się niczego. Jesteś przekonany, że zajmując dom stanowiący cudzą własność i grożąc, że go zniszczymy, popełniamy zbrodnię. W rzeczywistości jest to gniazdo sępa. Jaskinia szakala. Nałożył marynarkę, przeciągnął rękami po ogolonej głowie, nacisnął na czoło filcowy kapelusz i obejrzał się w lustrze. Do widzenia, powiedział. Nie zobaczysz mnie już więcej. Możesz powiedzieć mojej siostrze, że nigdy jej nie zapomnę. Przez chwilę stał wpatrując się w podłogę. Był zmuszony odchrząknąć. Możesz jej też powiedzieć, że zawsze kochałem ją i podziwiałem.

Ludzie Coalhouse'a zgromadzili się w hallu. Wszyscy byli znowu starannie ubrani w ciemne ubrania, krawaty i miękkie kapelusze. Coalhouse poradził im, żeby podnieśli do góry kołnierze marynarek i opuścili runda kapeluszy. Ich środkiem ucieczki miał być Ford, model T. Coalhouse wytłumaczył im, jak zapuścić motor, i dodał, że muszą pokręcić korbą. Zadzwońcie tu do mnie, jak już będziecie w bezpiecznym miejscu, zażądał. A ja? – odezwał się ojciec, czy nie jadę z nimi? Oto nasz zakładnik, powiedział Coalhouse, wskazując na młodszego brata. Wszystkie białe twarze są jednakowe. Chłopcy wybuchnęli śmiechem. Stojąc pod mosiężnymi drzwiami, Coalhouse pocałował każdego z nich w policzek. Młodszego brata równie serdecznie jak pozostałych. Spojrzał na kieszonkowy zegarek. W tej samej chwili zgasły reflektory na ulicy. Coalhouse zajął teraz miejsce młodszego brata na marmurowej ławie i położył ręce na detonatorze. Wcisnął się go na dwa tempa, krzyknął młodszy brat, do połowy jest luz, potem opór. Dobra jest, odpowiedział Coalhouse. No to jazda. Jeden z młodych ludzi otworzył mosiężne drzwi i wszyscy – już bez dalszych ceregieli – wyszli na ulicę. Drzwi zatrzasnęły się za nimi. Niech je pan zarygluje, zwrócił się Coalhouse do ojca. Ojciec wykonał polecenie. Potem przyłożył ucho do drzwi. Ale słyszał tylko swój własny, ciężki oddech. Oddech człowieka przestraszonego. Po kilku chwilach rozległo się stłumione skrzywienie kół i klekot luźnych desek, po których przejeżdżał samochód. Ojciec pobiegł w głąb hallu. Już odjechali, krzyknął. Coalhouse Walker wciąż siedział okrakiem na marmurowej ławie z rękami na detonatorze. Ojciec przykucnął na podłodze, opierając się plecami o marmurową ścianę. Z głową na kolanach. Siedzieli tak nieruchomo. Po chwili Coalhouse poprosił ojca, żeby

powiedział mu coś o jego synu. Czy już zaczął chodzić, czy ma dobry apetyt, jakie zna słowa i w ogóle o każdym drobiazgu, jaki ojciec może sobie przypomnieć.

Część IV

Mniej więcej w dwie godziny później Coalhouse Walker wyszedł z gmachu biblioteki z podniesionymi do góry rękami i ruszył przez Trzydziątą Szóstą Ulicę. Zgodnie z umową. Chodniki i jezdnia były całkowicie opróżnione z ludzi. Twarzą w twarz do niego stał oddział nowojorskiej policji uzbrojony w karabiny. Ulicę zamykały dwa szpalery policjantów na koniach, ustawione w odległości trzydziestu metrów od siebie. I to w tak ścisłym szyku, że tworzyli niemalże ścianę. W tej sytuacji ludzie zgromadzeni na Madison Avenue czy dalej na Park Avenue nie mogli obserwować Coalhouse'a. Generatory na skrzyżowaniach warczały niemilosiernie. Władze twierdziły później, że mimo jaskrawego oświetlenia i bardzo niesprzyjających okoliczności Murzyn usiłował ratować się ucieczką. Ale on wiedział, że wystarczyło gwałtownie poruszyć głową, opuścić nieco ręce, a nawet tylko uśmiechnąć się, żeby stracić życie. Ojciec – stojący w hallu biblioteki – usłyszał salwę plutonu egzekucyjnego. Wrzasnął. Podbiegł do okna. Ciało Coalhouse'a podrygiwało jeszcze na jezdni, jak gdyby chciało zetrzeć z niej własną krew. Policjanci wciąż strzelali zapamiętale. Konie rżały i stawały dęba.

Zgromadzeni w harlemskiej kryjówce ludzie Coalhouse'a doskonale wiedzieli, jaki koniec spotka ich przywódcę. Znaleźli się tam wszyscy, z wyjątkiem człowieka, za którym szli dotychczas bez wahania. Pokoje zdawały im się puste. Nic już nie miało dla nich znaczenia. Prawie ze sobą nie rozmawiali. Wszyscy, z wyjątkiem młodszego brata, postanowili pozostać w Nowym Jorku. Model T ukryli w pobliskim zaułku.

Przypuszczali, że policja zrobiła na nim jakiś znak rozpoznawczy. Ponieważ młodszy brat miał opuścić miasto, przydzielono mu samochód. W środku nocy dotarł na przystań promu przy Sto Dwudziestej Piątej Ulicy i przejechał do New Jersey. Ruszył na południe. Prawdopodobnie miał przy sobie jakieś pieniądze, chociaż nie wiadomo, gdzie i jakim sposobem je zdobył. Minął Filadelfię. Minął Baltimore. Przejeżdżał przez małe murzyńskie wsie. Murzyni pracujący na polach prostowali się, żeby mu się przyjrzeć. Samochód zostawiał za sobą gęstą smugę kurzu. Przejeżdżał przez małe miasteczka Georgii. Na skwerach w skąnym cieniu mizernych drzew ludzie rozmawiali o tym, że należy powiesić Żyda Leo Franka za to, co zrobił czternastoletniej chrześcijańskiej dziewczynce Mary Phagan. Pluli na suchą ziemię. Młodszy brat ścigał się z pociągami towarowymi, przejeżdżał przez chłodne tunele pod krytymi mostami. Nie patrzył na mapę. Spał na polach. Jechał od jednej stacji benzynowej do drugiej. Kupował najrozmaitsze narzędzia, dętki, kanistry na benzynę, puszki z olejem, obcęgi, drut i różne części zamienne. Wszystko to piętrzyło się na tylnym siedzeniu. I wciąż jechał dalej. Drzewa stawały się coraz rzadsze. W końcu nie było ich wcale. Pozostały tylko skały i krzaki bylicy. Wspaniałe zachody słońca roziskrzały doliny i wysuszone pola. Raz samochód stanął i nie chciał ruszyć dalej. Pociągnął go zaprzęgnięty w muły wóz, na którym siedziała grupa dzieciaków.

W Taos, w stanie Nowy Meksyk, młodszy brat trafił do komuny artystów, którzy malowali pustynne pejzaże i ubierali się w serapy. Przyjechali tu z Nowego Jorku, z Greenwich Village. Jego skrajne wyczerpanie wzbudziło ich sympatię. Był ponury, nawet kiedy pił. Pozostał z nimi przez kilka dni i odpoczął. Przespał się ze znacznie starszą od siebie kobietą.

Młodszy brat od pewnego czasu zaczesywał lekko już przerzedzone włosy na bok. Zapamiętał jasną brodę. Jego delikatna skóra łuszczyła się, stale mrużył zmęczone słońcem oczy. Pojechał do Teksasu. Ubranie rozpadło się na nim. Kupił niebieskie farmerki, mokasyny i meksykański koc. W przygranicznym mieście Presidio sprzedał samochód jakiemuś sklepikarzowi i zabierając ze sobą tylko skórzany worek na wodę, przeszedł w bród rzekę Rio Grande i znalazł się w Meksyku, w mieście Ojinaga. Miasto to było zajmowane wielokrotnie to przez wojska federalne, to przez meksykańskich powstańców. Domy zbudowane z suszonej na słońcu cegły pozbawione były dachów. Kościół został podziurawiony przez kule armatnie. Mieszkańcy koczowali na podwórkach. Ulice pokryte były białym pyłem. Znajdowało się tam kilka oddziałów północnej dywizji Francisco Villi. Młodszy brat zgłosił się do nich i został przyjęty jako *compañero*.

Kiedy Villa ruszył na południe, posuwając się wzdłuż zniszczonych szyn kolei centralnej do położonego w odległości trzystu kilometrów Torreónu, młodszy brat był w pierwszych szeregach. Przemierzali konno rozległą pustynię meksykańską porośniętą cylindrowymi kaktusami, a także odmianą zwaną hiszpańskim bagnetem. Obozowali na ranczach albo w chłodnym cieniu obronnych murów opactw, palili *macuche* zawiniętą w łuski kaczanów kukurydzy. Kobiety otulone ciemnymi chustami dźwigały na głowach dzbany z wodą.

Po zwycięstwie pod Torreónem młodszy brat zaczął nosić skrzyżowane na piersiach pasy z nabojami. Był wprawdzie villistą, ale marzył o przyłączeniu się do Zapaty. Wojsko przenosiło się z miejsca na miejsce, jadąc na dachach wagonów towarowych. Żołnierzom towarzyszyły rodziny. Koczowali na tych dachach z dziećmi, bronią, betami i koszami pełnymi zapasów żywnościowych. Były wśród nich markietanki i karmiące matki. Kolej wiodła przez pustynię. Ludzie cierpieli. Dym i iskry buchające z lokomotyw wywoływały zapalenie oczu i krtani. Chronili się przed słońcem pod parasolami.

W mieście Meksyku zwołano zebranie przywódców powstania z różnych dzielnic kraju. Celem było sformułowanie kolejnego hasła rewolucji. Po obaleniu zniechęconego tyrańca Diaza przez reformistę

nazwiskiem Madero, władzę objął niejaki generał Huerta, Aztek. Teraz Huerty też już nie było i Carranza, człowiek o dość umiarkowanych poglądach, próbował rządzić krajem. W stolicy roiło się od najrozmaitszych ugrupowań, skorumpowanych urzędników, zagranicznych kupców i szpiegów. W ten chaotyczny świat wtargnął Zapata ze swoją armią złożoną głównie z chłopów z południa. Na miasto padł strach. Ludzie Zapaty mieli opinię dzikusów i mieszkańcy Meksyku bali się ich. Młodszy brat stał w grupie ludzi Villi i przyglądał się wjeżdżającym do miasta oddziałom. Nagle ludzie zaczęli się śmiać. Okazało się, że ci groźni wojownicy z południa nie umieją nawet dobrze mówić po hiszpańsku. Było wśród nich wiele dzieci. Kiedy dotarli do pałacu Chapultepec, wytrzeszczali oczy z podziwu. Mieli na sobie łachmany. Nie chcieli wejść na chodnik Paseo de la Reforma, szerokiego bulwaru pełnego wspaniałych domów, wysokich drzew, kawiarni i restauracji, ale szli środkiem jezdni rozdeptując końskie łajno. Przerażeniem napawały ich elektryczne tramwaje. Strzelali do wozów strażackich. A sam wielki Zapata – pozując dla fotografów w pałacu – pozwolił Villi zająć prezydencki hotel.

Campeños z południa nie byli zachwyceni ani stolicą, ani hasłami rewolucyjnymi ugrupowań umiarkowanych. Kiedy opuszczali miasto, młodszy brat przyłączył się do nich. Oficerom Villi nie wyznał, że posiada pewne specjalne umiejętności. Ale kiedy znalazł się u boku Emiliano Zapaty, powiedział mu, że wie, jak robić bomby, i że umie reperować broń palną. Potrafię wysadzić w powietrze każdy obiekt, powiedział. Zapata kazał mu zademonstrować wybuch na pustyni. Młodszy brat wypełnił wysuszone tykwy piaskiem z odrobiną prochu. Nitki kaczanów kukurydzy zwinął w lonty. Zapalił je ostrożnie i kierując się kompasem rzucił każdą w inną stronę świata. Eksplozje wyrwały cztery głębokie leje o przekroju bez mała trzech metrów. Przez cały następny rok młodszy brat prowadził wypadki na pola naftowe, rafinerie i garnizony federalne. Zapatyści szanowali go, chociaż uważali za szaleńca. W czasie jednej z tych akcji młodszy brat został ogłuszony. Po pewnym czasie stracił całkowicie słuch. Patrzył, jak eksplodują jego ładunki, ale nic nie słyszał. Wysokie, żelazne słupy podtrzymujące szyny górskiej kolei wylatywały w górę bezszelestnie i spadały do głębokich przepaści. Całe fabryki wraz z metalowymi dachami zamieniały się w biały pył. Nikt nie zna dokładnie okoliczności, w jakich zginął, ale było to prawdopodobnie w czasie utarczki z wojskami rządowymi niedaleko plantacji Chinameca, w stanie Morelos, w tym samym prawie miejscu, w którym w kilka lat później Zapata dostał się w zasadzkę i padł pod gradem kul.

W tym czasie prezydentem Stanów Zjednoczonych został oczywiście Woodrow Wilson. Naród wybrał go, gdyż uchodził za autentycznego bojownika. Teddy Roosevelt był innego zdania. Roosevelt oskarżał Wilsona o to, że brzydzi się wojną. Jego zdaniem, Wilson miał pruderyjny, a zarazem przerażony wyraz twarzy człowieka, który przełknął kawałek ryby razem z ośmi. Ale nowy prezydent postanowił dać piechocie morskiej okazję do wypróbowania sił i zarządził desant na Vera Cruz. Żeby zaś dać szansę armii lądowej, kazał jej przekroczyć granicę Meksyku i ruszyć w pościg za Pancho Villą. Wilson nosił okulary bez oprawki i był moralistą. Kiedy nadeszła wielka wojna, rzucił się w nią z pasją człowieka obrażonego. Ani syn Theodore Roosevelta, Quentin, który miał zginąć w starciu powietrznym nad Francją, ani Stary Łoś, jak nazywano samego Theodore Roosevelta, który wkrótce potem umarł ze zgrzyoty, nie przeżyli tej wojny, którą Wilson jakoby tak się brzydził.

Znaki zbliżającej się katastrofy ukazywały się wszędzie. W Europie, w Hadze, otwarto z wielką pompą Pałac Pokoju i czterdzieści dwa kraje przysłały swoich przedstawicieli. W Wiedniu na zebraniu Drugiej Międzynarodówki uchwalono rezolucję głoszącą, że klasa robotnicza nigdy już nie weźmie udziału w żadnej imperialistycznej wojnie. Paryscy malarze zaczęli robić portrety, umieszczając dwoje oczu po tej samej stronie twarzy. Pewien żydowski profesor z Zurychu ogłosił pracę, w której udawał, że przestrzeń jest zakrzywiona. Nic z tych rzeczy nie uchodziło uwagi Pierponta Morgana. Wysiadł ze statku w Cherbourgu. Incydent z Murzynem w nowojorskiej bibliotece wymazał już z pamięci. Ruszył jak co roku przez kontynent, przenosząc się prywatnym pociągiem z kraju do kraju, odwiedzając po drodze bankierów, premierów i królów. Zauważył, że ci ostatni są w znacznie gorszych humorach niż do niedawna. Niektórzy z członków rodzin królewskich byli nie tylko pełni melancholii, popadli wręcz w histerię. Przewracali kieliszki z winem, jękali się, wrzeszczeli na służbę. Morgan przyglądał im się uważnie. Doszedł do wniosku, że stanowią przeżytek. Wszyscy i to we wszystkich krajach byli ze sobą spokrewnieni. Żenili się między sobą od tylu pokoleń, że musieli sobie przekazać wszelkie najgorsze cechy – głupotę, gnuśność, kretynizm – a to dało jak najgorsze rezultaty. Na pogrzebie Edwarda VII w Londynie przepychali się naprzód, szturchając się łokciami i niczym zgraja dzieci walczyli o najlepsze miejsca w orszaku.

Morgan pojechał do Rzymu i jak zwykle zajął całe piętro w Grand Hotelu. Srebrna taca trzymana przez lokaja szybko wypełniła się wizytówkami. Przez kilka tygodni przyjmował w salonie książąt, hrabiów i innych arystokratów. Przynosili mu skarby rodzinne sprzed wielu lat. Niektórzy potrzebowali pieniędzy na życie, inni po prostu chcieli mieć gotówkę. Ale wszyscy przede wszystkim marzyli o tym, żeby możliwie jak najprędzej wyjechać z Europy. Morgan siedział na twardym krześle z rękami opartymi na srebrnej gałce laski i oglądał obrazy, majolikę, porcelanę, fajans, przedmioty z mosiądzu, płaskorzeźby i mszały. Kiwał głową na znak zgody

albo potrząsał nią przecząco. Powoli pokój wypełniał się dziełami sztuki. Zaproponowano mu kupno pięknego złotego krucyfiks, który otwierał się i stawał sztyletem. Skinął głową na znak zgody. Kolejka złożona z włoskich arystokratów ciągnęła się przez hall hotelowy aż na ulicę i za róg. Przychodzili do Morgana w tużurkach, cylindrach i jasnych getrach. W rękach trzymali laski spacerowe. Pod pachą paczki w brązowym papierze. Niektórzy proponowali mu własne żony lub dzieci. Urodziwe, młode kobiety o jasnej cerze i przesmutnych oczach. Wydelikaconych młodych chłopców. Pewien osobnik przyprowadził bliźnięta, chłopca i dziewczynkę, ubranych w szare, welurowe stroje ozdobione koronkami. Ojciec rozebrał dzieci i obracał je na wszystkie strony.

Morgan pozostał w Europie do chwili, gdy zawiadomiono go, że w Aleksandrii czeka na niego statek przysposobiony do podróży w górę Nilu. Przed odjazdem spróbował – po raz ostatni – namówić Henry'ego Forda do przyjazdu do Egiptu. Posłał mu długą depezę. Ford odpowiedział, że nie może wyjechać z Michiganu, ponieważ jest właśnie w trakcie skomplikowanych negocjacji z pewnym naukowcem, który twierdzi, że wynalazł stężone paliwo samochodowe w postaci zielonej kapsułki. Morgan kazał sobie przygotować багаż. Wydał instrukcje w sprawie pakowania oraz wysyłki swoich nowych nabytków do Nowego Jorku i wyruszył do Aleksandrii. Była jesień. Kiedy dotarł do Aleksandrii i przystani, na której stał jego stalowy parowiec, kazał kapitanowi natychmiast odbić od brzegu.

Celem podróży Morgana do Egiptu było tym razem znalezienie odpowiedniego miejsca na zbudowanie sobie piramidy. W sejfie kabiny przechowywał plany sporządzone na zamówienie – i w ścisłej tajemnicy – przez firmę McKim i White. Był przekonany, że przy użyciu nowoczesnej techniki budowlanej, to jest fabrycznie ociosanych kamieni, koparek parowych, kranów i tak dalej, można będzie w ciągu niespełna trzech lat zbudować solidny grobowiec. Projekt ten ekscytował go jak nic dotychczas. Piramida miała zawierać fałszywą i prawdziwą komnatę królewską, wodoszczelny skarbiec, opadający i wznoszący się korytarz. Z brzegiem Nilu miała ją łączyć droga prowadząca do grobli.

Najpierw Morgan kazał zatrzymać się w Gizie. Chciał mieć przedsmak tego, co czuje umierający człowiek, którego dusza wędruje ku niebu po promieniach słońca, aby powtórnie się narodzić. Statek wpłynął do portu nocą i stojąc przy prawej burcie Morgan patrzył na rysujące się na de granatowego, ugwieżdżonego nieba potężne sylwetki piramid. Zszedł na ląd, u stóp rampy przywitała go grupa mężczyzn w burnusach. Wsadzono go na grzbiet wielbłąda i zawieziono starożytnym szlakiem północnym prosto przed wejście do Wielkiej Piramidy. Mimo ostrzeżeń postanowił spędzić w niej resztę nocy. Miał nadzieję, że bóg Ozyrys wyjawia mu swoje zamiary w stosunku do jego *ka*, czyli duszy, i jego *ba*, czyli fizycznej witalności. Szedł za przewodnikami korytarzem. Światło łuczywa rzucało wielkie, ruchome cienie na zrobione z kamiennych bloków ściany i sufit. Po licznych zakrętach i kilku stromych, trudnych, wąskich przejściach, przez które trzeba się było przeczołgiwać na czworakach, Morgan znalazł się w samym sercu budowli. Zapłacił przewodnikom połowę umówionej sumy, bo chciał być pewny, że wrócą po niego nad ranem, żeby odebrać należną im resztę pieniędzy. Odeszli, życząc mu dobrej nocy. Pozostał sam w ciemnej komorze, oświetlonej jedynie słabym światłem jednej czy dwu gwiazd prześwitujących przez szparę wentylacyjną w suficie.

Morgan nie chciał tej nocy spać. Oto był w królewskiej komnacie, którą już przed wielu laty obrabowano ze wszystkiego, co niegdyś zawierała. Usiadł na wełnianym kocu, zimno ciągnące od ziemi przenikało go jednak do szpiku kości. Miał przy sobie złote, opatrzone monogramem pudełko z zapalkami, ale ze względów zasadniczych nie zapalał ich. Nie pociągał też koniaku z płaskiej butelki. Wsłuchiwał się w ciemność, wpatrywał się w nią i czekał na jakikolwiek znak od boga Ozyrysa. Po kilku godzinach zdrzemnął się. Śniło mu się, że jest kupcem, siedzi w kucki na bazarze i droczy się z grupą dragomanów. Wszystko to działo się w którymś z jego poprzednich wcieleń. Sen tak go zaniepokoił, że zbudził się nagle. Poczul, że coś po nim pełza. Wstał. Swędziało go ciało. Postanowił zapalić jedną zapalkę. W jej słabym świetle spostrzegł na kocu sporą kolonię pluskw. Kiedy zapalka zgasła, postanowił już się nie kłaść. Chodził po komnacie wyciągając przed siebie rękę po to, żeby nie zderzyć się z kamienną ścianą. Poruszał się z zachodu na wschód i z północy na południe, chociaż nie był tego całkiem pewien. Doszedł do wniosku, że w takich warunkach trzeba bardzo uważać, żeby odróżnić prawdziwe znaki od fałszywych. To, że śniło mu się, iż jest kupcem na bazarze, uznał za fałszywy znak. Pluskwy też musiały być fałszywym znakiem. Prawdziwym znakiem mogłoby być pojawienie się małych, czerwonych ptaszków o ludzkich głowach, przelatujących powoli przez komnatę i oświetlających ją własną poświatą. Ptaków *ba ba*, które Morgan znał z egipskich fresków. Ale ptaki *ba ba* jakoś mu się nie ukazywały, a noc dobiegała końca. Po pewnym czasie Morgan stwierdził, patrząc przez szparę w suficie, że gwiazdy zbladły i romb nocnego nieba zrobił się szary. Pozwolił sobie na łyk koniaku. Nogi mu zeszywniały, plecy rozboleły, trzęsła go febra.

Wraz z arabskimi przewodnikami zjawili się w piramidzie urzędnicy Morgana. Wyprowadzono go. Ku swojemu zdumieniu stwierdził, że jest już ranek. Niebo było błękitne, a kamienne pole dokoła piramidy – różowe. Kiedy mijał Wielkiego Sfinksa i obejrzał się, zobaczył na nim tłum ludzi, którzy wyglądali zupełnie jak robaki. Łazili po łapach sfinksa, siedzieli w jego oczodołach i ustach, kucali na jego ramionach, stali na jego

głowie i wymachiwali rękami. Morgan wzdrygnął się. Świętokradcy byli ubrani w stroje baseballowe. Na dole fotografowie rozstawili statywy i wsuwając głowy pod czarne płachty, robili zdjęcie po zdjęciu. Co się tu, na Boga, dzieje, zapytał Morgan. Jego przewodnicy zatrzymali się i rozmawiali ze stojącymi przy swoich wielbłądach Arabami, którzy zdawali się być bardzo podnieceni. Jeden z urzędników Morgana powrócił ze zwiadu z informacją, że są to zawodnicy zespołu „Giants”, ekipa baseballowa reprezentująca Nowy Jork, która zdobyła tego roku tytuł mistrza USA i proporzec przechodni, a teraz objeżdża dokoła świata grając mecze pokazowe. Proporzec przechodni? – powtórzył Morgan. Proporzec przechodni? Krępy, brzydki mężczyzna w pasiastych bryczesach i bawełnianej podkoszulce podbiegł do niego z wyciągniętą ręką. Na głowie miał absurdalnie małą czapkę, w ustach niedopałek grubego cygara. Podkutymi butami walił w kamienie antycznego bruku. To jest pan McGraw, menażer drużyny, który pragnie panu złożyć swoje uszanowanie, powiedział urzędnik Morgana. Stary pan bez słowa wbił obcas w boki swojego wielbłąda i przewracając arabskiego przewodnika, ruszył w drogę na statek.

Wkrótce po tej przygodzie Morgan poważnie zapadł na zdrowiu. Kazał się zawieźć z powrotem do Rzymu. Ale nie czuł niepokoju, uważał bowiem, że choroba jest właśnie owym znakiem, na jaki czekał. Był widać znowu tak bardzo potrzebny na ziemi, że został zwolniony od rytuału złożenia do grobu. Najbliżsi członkowie jego rodziny przybyli do Rzymu. Nie martwcie się, powiedział do nich. Wojna wszystko przyspiesza. Nie mieli pojęcia, o co mu chodzi. Byli obecni przy jego łożu, kiedy umierał – nie bez swoistej radości. Miał siedemdziesiąt sześć lat.

Wkrótce po śmierci Morgana arcyksiążę Franciszek Ferdynand wjechał do miasta Sarajewo, stolicy Bośni, żeby dokonać inspekcji stacjonujących tam wojsk. Wraz z nim przybyła jego żona, księżniczka Zofia. Arcyksiążę zdjął ozdobiony piórami hełm i trzymał go przed sobą. Nagle rozległ się silny huk, podniósł się kurz i wrzask. Arcyksiężca Franciszka Ferdynanda i księżniczkę Zofię zasypało kredowym pyłem. Mieli pełno kurzu w ustach, w oczach, na ubraniu. Ktoś widać rzucił bombę. Burmistrz Sarajewa struchlał z przerażenia. Arcyksiążę nie posiadał się ze złości. Cały dzień zmarnowany, powiedział i przerywając uroczystości kazał szoferowi zawrócić i opuścić Sarajewo. Ich księżęce mości jechały sportowym Daimlerem. Szofer nie znał miasta i skręcił w niewłaściwą ulicę. Zatrzymał wóz, włączył tylny bieg i próbował się cofnąć. Później dopiero okazało się, że zatrzymał samochód tuż przed młodym serbskim patriotą, członkiem grupy zamachowców, którzy rzucili bombę i rozpierzchli się w przekonaniu, że druga okazja zabicia arcyksięcia już się nie nadarzy. Ów patriotą wskoczył na stopień Daimlera, wycelował pistolet prosto w arcyksięcia i nacisnął spust. Padły strzały. Księżniczka Zofia upadła mężowi na kolana. Z krtani arcyksięcia trysnęła krew. Rozległy się krzyki. Zielone pióra hełmu arcyksięcia zrobiły się czarne od krwi. Żołnierze ujeli mordercę. Rzucili go na ziemię. Zawlekli do więzienia.

Gazety nowojorskie podały tę wiadomość komentując ją jako jeszcze jeden objaw gwałtownych rozgrywek politycznych, tak charakterystycznych dla Bałkanów. Niewielu Amerykanów czuło sympatię do zamordowanego następcy austro-węgierskiego tronu. Ale iluzjonista Harry Houdini, przeczytawszy w czasie śniadania wiadomość o jego śmierci, odczuł ją jak stratę dobrego znajomego. Coś takiego, mruknął. Przypomniawszy sobie ponurego, flegmatycznego, ostrzyżonego na jeża arcyksięcia, przyglądającego mu się beznamytnie spode łba. Reprezentant wielkiego imperium, symbol wielkiej potęgi, a zginął nędznie w ciągu jednej sekundy, to wprost nie do wiary, pomyślał i trochę się tym przeraził.

Tak się zdarzyło, że Houdini miał tegoż dnia wykonać – pod gołym niebem – jeden ze swoich najbardziej widowiskowych numerów. Nie mógł się wobec tego wdać w nazbyt szczegółowe i długie rozmyślenia na temat śmierci arcyksięcia. Wyszedł z domu, skinął na taksówkę i pojechał na Times Square. Tam w obecności kilku tysięcy widzów i w półtorej godziny później założono mu kaftan bezpieczeństwa, związano nogi stalową liną i z pomocą ustawionego na dachu żurawia wciągnięto na wysokość połowy wieżowca „Timesa”. Za każdym obrotem krążka Houdini unosił się nieco wyżej. Obracał się na wietrze. Na dole tłum szalał z podziwu. Dzień był ciepły, niebo błękitne. Im wyżej się unosił, tym słabiej dochodziły do niego odgłosy ulicy. Nad wejściem do teatru „Palace” położonego o pięć ulic dalej zobaczył własne nazwisko wypisane żarówkami. Widział je oczywiście do góry nogami. Auta trąbiły, trolejbusy zatrzymywały się na Times Square. Kierowcy wyskakiwali, żeby zobaczyć, co się dzieje. Policjanci konni dmuchali w gwizdki. Houdini widział wszystko na opak – pojazdy, ludzi, chodniki, policjantów konnych, domy. Niebo znalazło się u jego stóp. Minął wielką tablicę na gmachu „Timesa”, na której umieszczano wyniki meczów baseballowych. Oddychał głęboko. Był spokojny jak zawsze w obliczu niebezpieczeństwa. Spędził przecież wiele lat na wyrabianiu w sobie możliwie największej dyscypliny i sprawności fizycznej. Poinstruował swoich pomocników, żeby podciągnęli go do poziomu dwunastego piętra – nie wyżej – bo wolał nie być zbyt dobrze widoczny z dołu. Zamierzał wysupłać się z kaftana bezpieczeństwa, zrzucić go z siebie, odbić się w górę tak zwanym korkociągiem, pochwycić metalową linę przymocowaną do krępujących mu nogi kajdanów, wyprostować się, stanąć na wielkim haku i zjechać w dół, machając rękami do oklaskujących go tłumów. Houdini był ostatnio w znacznie lepszym stanie psychicznym. Żałoba po matce, lęk przed utratą popularności, uczucie, że życie nie ma sensu, że jego

osiągnięcia są śmiechu warte – wszystkie te codzienne udręki odczuwał mniej dotkliwie. Był przekonany, że przyczynił się do tego fakt, iż znalazł sobie nowy cel – demaskowanie oszukańczych spirytystów. W imię pamięci ukochanej matki przerywał ich seanse i odkrywał prostackie praktyki mediów oraz skomplikowane aparaty, jakimi posługiwali się ci szarlatani dla zamydlenia oczu prostaczkom. Na każdym seansie ofiarowywał dziesięć tysięcy dolarów premii temu medium, które potrafiłoby wywołać zjawisko spirytystyczne, jakiego on, Houdini, nie mógłby zrealizować za pomocą różnych mechanizmów. Prasa była tym zachwycona. Publiczność także. Ale jemu nie o to chodziło. Czuł, że teraz, kiedy matka umarła, zadaniem jego jest obrona niebios. Był pewny, że uda mu się niebawem dotrzeć do rejonów, w których ona teraz przebywa. Jego detektywi odwiedzali siedziby spirytystów we wszystkich miastach, w których występował. On zaś zjawiał się na seansach, przebrany za siwą wdowę, z twarzą zakrytą welonem. Kiedy stolik zaczynał lewitować, puszczał światło latarki elektrycznej ha druty, którymi go podnoszono. Zrywał pokrowce z gramofonów. Łapał unoszące się nad głowami uczestników seansu trąby i wyciągał zza kotar ukrytych manipulatorów. Potem wstawał, dramatycznym gestem zdierał siwą perukę z głowy i przedstawiał się zebrany. Wytaczano mu dziesiątki procesów.

Houdini zorientował się, że jest już na właściwej wysokości. Wiatr był tutaj nieco silniejszy. Obracało nim. Znalazł się na chwilę twarzą do okien gmachu „Timesa” i zaraz potem miał przed sobą otwartą przestrzeń ziejącą nad Broadwayem i Siódmą Aleją. Hej, Houdini! – usłyszał czyjś głos. Wiatr obrócił Houdiniego ponownie twarzą do fasady gmachu. Zobaczył, że w jednym z okien na dwunastym piętrze stoi człowiek i uśmiecha się do niego. Hej, Houdini! – powtórzył. Pies ci mordę lizał! Odpieprz się, warknął magik. Wiedział, jak uwolnić się z kaftana bezpieczeństwa w ciągu niecałej minuty. Ale wołał to robić wolniej, żeby ludziom się nie zdawało, że ich oszukuje. Nie spieszył się zatem. I udawał, że się szamoce. Z dołu dochodziły go ochy i achy. Lina napinała się i drgała. Po chwili znalazł się górną częścią ciała i głową we wnętrzu kaftana uszytego z grubego, żaglowego płótna, które w ogóle nie przepuszczało światła. Postanowił odpocząć przez chwilę. Wisiał głową w dół, wysoko nad Broadwayem, był rok 1914, arcyksiążę Franciszek Ferdynand właśnie zginął z rąk zamachowca. I w tym momencie z głębi pamięci Houdiniego wyłoniła się pewna scena. Przedstawiała małego chłopca przyglądającego się własnemu odbiciu w błyszczącej, mosiężnej latarni samochodu.

Opis tego dziwnego zdarzenia znaleziono później w nie opublikowanych notatkach Harry’ego Houdiniego. Zawód, jaki wykonywał, wytworzył w nim skłonność do pewnej przesady, więc należałoby może Sceptycznie ocenić twierdzenie, że było to jego jedyne autentycznie mistyczne przeżycie. Ale faktem jest, że w archiwach rodziny znajduje się wizytówka Houdiniego z datą, z której wynika, że w tydzień po przedstawieniu na Times Square próbował złożyć nam wizytę. Ale nie zastał nikogo. Był to już okres rozkładu naszej rodziny. Matka, chłopiec i synek Sary, który był ochrzczony jako Coalhouse Walker, znajdowali się w sportowym Packardzie, z matką przy kierownicy. Zwiedzili groty Howe, po czym udali się na całe lato do Prout’s Neck, na wybrzeżu stanu Maine, gdzie malarz Winslow Homer spędził ostatnie lata swojego życia. Ojciec i matka odzywali się do siebie bardzo uprzejmie, ale rzadko. Śmierć młodszego brata w Meksyku stała się ostateczną przyczyną ich niemalże permanentnej obecnej separacji. Dziadek nie przeżył zimy i spoczywał teraz na cmentarzu Pierwszego Kościoła Kongregacjonalistów przy North Avenue w New Rochelle. Ojciec przeniósł się do Waszyngtonu. Po powrocie do domu i do fabryki znalazł w szufladzie biurka młodszego brata mnóstwo rysunków i planów. Na tym polegała spleta długu, o której młodszy brat napomknął tajemniczo w czasie ich ostatniej rozmowy w Bibliotece Morgana. W ciągu osiemnastu miesięcy poprzedzających jego wyjazd młodszy brat opracował siedemnaście typów najrozmaitszej broni. Niektóre projekty wymagały tak wysokiego poziomu techniki, że przemysł amerykański zrealizował je dopiero w czasie drugiej wojny światowej. Był tam między innymi projekt bezodrzutowego granatnika raketowego, niezmiernie czulej miny lądowej, miny głębinowej wybuchającej na sygnał dźwiękowy, celownika karabinowego wykorzystującego promienie podczerwone, pocisków smugowych, karabinu repetującego, lekkiego karabinu maszynowego, szrapnela, zgęszczonej nitrogliceryny i przenośnego miotacza płomieni. Ojciec udał się do Waszyngtonu właśnie po to, żeby zaproponować czynnikom wojskowym realizację kilku rodzajów broni, w związku z czym stał się bywalcem gabinetów wysokich oficerów wojska i marynarki. Negocjował kontrakty, demonstrował prototypy, brał udział w naradach, kręcił się w kuluarach Kongresu, rozmawiał z politykami, z przedstawicielami różnych grup nacisku, wydawał obiady, kolacje i najrozmaitsze przyjęcia, organizował weekendy. W związku z tym wszystkim musiał wynająć apartament w hotelu Hay-Adams. Żeby móc łatwiej zapomnieć o osobistych kłopotach, rzucił się w wir pracy z większą niż kiedykolwiek zaciekłością. Kiedy w Europie wybuchła wielka wojna, był jednym z pierwszych, których przeraziła niechęć do walki wykazywana przez Woodrowa Wilsona i otwarcie – na długo, zanim administracja uznała to za konieczne – głosił, że Ameryka musi przygotować się do udziału w wojnie. Kilka obcych rządów interesowało się śmiercionośnymi wynalazkami młodszego brata i w porozumieniu z doradcami z Departamentu Stanu ojciec negocjował z jednymi kosztem drugich. Niemców traktował wprost niegrzecznie, dla Anglików był przyjazny i stawiał im dobre warunki. Był pewien, że prędzej czy później Ameryka przyłączy się do aliantów, co rzeczywiście stało się w 1917 roku, chociaż było faktycznie

nieuniknione już od roku 1915, kiedy to brytyjski statek pasażerski „Lusitania” został storpedowany przez niemiecką łódź podwodną u południowo-zachodnich brzegów Irlandii. „Lusitania”, zarejestrowana jako uzbrojony statek towarowy, w rzeczywistości przewoziła w swoich lukach gazy bojowe i inną broń. Tysiąc dwieście osób, mężczyzn, kobiet i dzieci, straciło na niej życie, w tym wielu obywateli amerykańskich, a wśród nich ojciec, który płynął do Londynu z pierwszym transportem granatów, min głębinowych i zagęszczonej nitrogliceryny dla brytyjskiego Ministerstwa Wojny i Admiralicji. Nitrogliceryna przyczyniła się niewątpliwie do monstrualnego wybuchu, który poprzedził błyskawiczne zatonięcie statku.

Biedny ojciec, mogę sobie wyobrazić jego ostatnią ekspedycję. Przybywa do nowej krainy, a włosy jeżą mu się na głowie ze zdumienia, nie może wydobyć z siebie słowa, jest oślepiiony. Spod jego nóg unoszą się tumany piasku. Klęka i rozkłada ramiona uroczystym gestem mima, imigranta – którym był przez całe swoje życie – nieustannie przybijającego do brzegu własnego Ja.

Matka przez rok nosiła żałobę. Pod koniec tego okresu Tata, który upewnił się definitywnie, że jego żona nie żyje, zaproponował jej małżeństwo. Nie jestem oczywiście żadnym baronem, powiedział, ale żydowskim socjalistą z Łotwy. Matka przyjęła oświadczenia bez chwili wahania. Uwielbiała go, przepadała za jego towarzysztwem. Podziwiali nawzajem siłę swoich charakterów. Ślubu udzielił im sędzia stanu cywilnego w Nowym Jorku. Uznali się za wybrańców losu. Ich małżeństwo było jednym nieustającym pasmem radości, mimo że pozostało bezdzietne. Tata zarabiał sporo pieniędzy na produkcji filmów przygotowujących naród psychicznie do udziału w wojnie. Takich jak *Slade, agent wywiadu* albo *Cienie niemieckiej łodzi podwodnej*. Ale największy sukces dopiero go czekał. Dom w New Rochelle został odnajęty i cała rodzina przeniosła się do Kalifornii. Zamieszkali w wielkim białym domu pokrytym stiukiem, z dachem z pomarańczowych dachówek i dużymi oknami z wykuszami. Przed domem kwitły klomby czerwonych kwiatów, ulica była wysadzona palmami. Pewnego ranka Tata wyjrzał przez okno gabinetu. Na trawniku siedziała trójka jego podopiecznych. Za nimi na chodniku stał trzykołowy rower. Dzieciaki wygrzewały się na słońcu i rozmawiały ze sobą z ożywieniem. Kruczowłosa dziewczynka, jasnowłosa pasierb i czarny, zaadoptowany chłopczyk, *das schwarze Kind*. I nagle przyszedł Tacie do głowy pomysł zrobienia filmu o grupie zaprzyjaźnionych ze sobą dzieci – białych i czarnych, tłustych i chudych, biednych i bogatych, po prostu filmu o gromadce urwisów z tej samej dzielnicy i ich zabawnych przygodach, o bandzie takich samych jak my wszyscy figlarzy, ich tarapatkach i o tym, jak sobie z nimi radzili. Z pomysłu tego powstał nie jeden film, ale cała seria. A potem skończyła się epoka ragu zagłuszona ciężkim oddechem maszyn zupełnie tak, jakby historia była tylko melodyjką z pianoli. Ameryka przystąpiła do wojny i wygrała ją. Anarchistka Emma Goldman została deportowana. Piękna, zmysłowa Ewelina Nesbit straciła urodę i wszelki słuch po niej zaginął. A Harry K. Thaw, wypuszczony po latach z zakładu dla umysłowo chorych, osiedlił się w Newport i każdego roku brał udział w paradzie z okazji dnia zawieszenia broni.